

Egz. archiwalny IBL

JASEŁKA.

WYCIĄG

Z PAMIĘTNIKÓW KTOSIA

SPISANY PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Tom IV.

INSTYTUT
BADAN LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-900 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-64-31 w. 42

IBL 2014

KIJÓW.

Nakładem LEONA IDZIKOWSKIEGO Księgarza.

1862.



[Handwritten signature]

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 19 (31) Lipca 1861 r.

Starszy Cenzor,
ANTONI FUNKENSTEIN.

[Faint handwritten signature]

[Faint handwritten notes]

WÓLIK

[Faint handwritten text at the top of the page, likely bleed-through from the reverse side.]

Kilka tygodni upłynęło od ostatnich wypadków, a Jerzy jeszcze się był nie pokazał ani w Robowie, ani u Hrabini; oczekiwano go co chwila i wypatrywano nadaremnie. Zajęty był w Horycy urządzeniem domu dla tej, która mu się tak niespodzianie narzuciła za matkę, i całą swą czułość przez długie oszczędzaną życie, zlała na głowę przybranego dziecięcia.

W Pińsku smutny ów dom zwany Murowanką, sprzedano, przewieziono sprzęt lepszy i panna Izabella z pośpiechem kobiety, która lęka się by jej na odrobinę szczęścia nie zabrakło życia, przyjechała zaraz do Horycy. Juraś obmyślił wszystko, aby jej było wygodnie: wyrestaurowano na nowo opuszczoną górę domu, odświeżono pustki, poustawiano sprzęty, a dwór stary Hrabiego w podziwio

i nie bez strachu wyglądał nowęj swęj pani. Naturalnie wszyscy teraz pozostali na swych miejscach, nawet Paweł, który był niezmiernie zajęty; i choć miał dawne uprzedzenia przeciwko pannie Morosz, otrząsł się z nich powoli, widząc jak kochała Jerzego, domyślając się, że w tém przywiązaniu było coś i dla nieboszczyka pana.

— Tak to tam było coś niezłego!—mówił pocichu, — a że to do śmierci człowieka nie poznasz! Ktoby to powiedział na rok wprzód, że się tak wszystko obróci?

Lacyna pokręcał węsą i poprawiał czuba, resztką zalotności dziwne mu jakieś myśli pędziła do głowy: a nuż nowa dziedziczka Horycy (czy to takie trafiają się rzeczy?) upodoba sobie mężką jego fizyonomią, lub da mu przynajmniej swe zaufanie wyłączne i szczególny fawor? Kobieta — mówił w duchu — powinna się poznać na takim jak on człowieku.

Radwanowicz bardzo był rad, że mu biblioteki nie ruszą, ale z powodu niewiasty mającej panować nad Horycą, cytował czasem ró-

zne nieciekawe rzeczy z Ekkleziasty, z Erazma Rotterdama i Rabelazyusza (bo tak Rabelego nazywał), kręcąc głową i mruczając niezrozumiale pod nosem, czego głośno dopowiedzieć nie śmiał.

Jerzy nareszcie przygotował się przewieźć swą opiekunkę do Horycy i wprowadzić ją do tego domu, do którego pierwszy raz po marnościach młodości, wchodziła drżącą już stopą. Spodziewała się niegdyś być tu panią i towarzyszką szczęśliwą człowieka, który ją zólciał i octem napoił; — dziś przez grób jego wchodziła do pustki panią, wprawdzie... ale wdową i sierotą; lzy zjawily się na powiekach, a serce zabiło uczuciem nieodgadnioném żaloby i uspokojenia razem.

Gdy potem Jerzemu przyszło odjechać do Robowa, pocałowała go w głowę błogosławiąc, gdyż szczęście uczyniło ją pobożną jakąś i starszą niż dotąd była, dając jej powagę matki; ale wyprawila w tę podróż, obawiając się jej instynktowo.

— Dziecko moje, — rzekła przy rozstaniu — nie powiem ci co masz czynić, ty to wiesz le-

piej: jedną tylko uzbroję cię radą... Z dwóch kobiet które cię kochać mogą, bo któżby cię nie kochał? jeśli jedna uśmiechać się będzie, druga poglądać łzawo—wybierz raczej uśmiech niż płacz. Łzy miłosne są strumieniem egoizmu, a uśmiech zwykle bywa pokrywką ofiarną bóleści. Nie znam obu tych, o których mi mówiłaś, nie umiem nic powiedzieć więcej, niech serce wskaże bohdankę.

— Ale ja nie myślę wybierać, matko,—rzekł Jerzy,—dla mnie jest jedna na świecie: Lola tylko.

— Siostra!

Juraś spuścił oczy.

— Więc żadna!—rzekł zcicha i z tém odjechał.

Na drodze już zręcznie zastawione czekały go sidła i strażę. U téj saméj nieminionéj karczemki smutnego oblicza, od której go już raz schwytano do Pułkownikowéj, stał oddawna posłaniec Maxa z listem oznajmującym mu, że jest chory mocno i gwałtownie widzieć się z nim potrzebuje, a o przybycie na imię święte przyjaźni zaklina.

Max nie był chorym wcale, ale obrachował, że pewniej go chorobą i zakłębciem tém pociąganie, niż najusilniejszą prośbą.

W domu ex-Pułkownikowej miodowe dni szybko już były przeleciały: artysta idealny coraz bardziej roztapiał się i przekształcał na obywatela-szlachcica, gospodarza zabiegłego, najprozaicniejszą w świecie i najabsolutniejszą istotę. Łzy biednej Amelii ukrywane, tajemne, nieraz już obmyły w kątku omyłkę, którą popełniła, i nieszczęsny koncert, w którym tak świetnie, tak ułudnie przyszły małżonek wystąpić umiał. Teraz był to sobie prosty tyran domowy, zimny jak lód, szyderski jak kat, zbrojny w miłość żony, którą się posługując, wyśmiewał.

W domu on panował jeden. Pułkownikowa za trochę okazanęj sobie czułości, za ten półmisek soczewicy, który jej podawał zgłodniałej, resztkę swych praw starszeństwa pozbywała się codzien powoli. Stała się pokorną sługą nie tego, którego zaślubiła, ale nowego człowieka, niespodziewanego, innego, w którego się

ów długowłosy artysta chyżo przemienić potrafił.

Jerzy musiał uleść gwałtownej prośbie i pojechał do Danowa; znalazł Maxa w paradnym szlafroku i choć nie chorego jak sobie wyobrażał, ale na wypadek jego przybycia, udającego chorobę dosyć szczęśliwie.

— Co ci to jest przyjacielu?— spytał go na wstępie.

— Cóż chcesz! nudy wiejskie!— odparł Max ziewając i powracając do roli dawniej— przywykłem trochę do cygańskiego życia. W tych dostatkach, w tém życiu regularném jak zegarek Breguet'a, napadają mnie choroby dziwne, zachcenia osobliwsze, niecierpliwości dziwnego zwierzęcia, zamkniętego w klatce... Nudzę się!

— Pracuj!— rzekł Jerzy.

— Muzyka mi obrzydła!

— Gospodaruj.

— To rzecz nie zabawna. Chciałem się z tobą widzieć, ale nie dla porady dla siebie, mam do ciebie interes.

Wyszedł spojrzeć za drzwi i stanął w posta-

ci mentora przed Jurasiem, widocznie zabierając się do przemowy.

— Jest to sekret wielki, ale ci go wyjawić muszę. Szczęśliwy człowiecze, domyślasz się lub nie, ale to pewna, żeś wzbudził miłość w dziewczynie, która za tobą schnie i umiera.

— Ja? ^zdla mnie? co ty pleciesz—zawołał Jerzy.

— No, nie plotę.

— O kimże mówisz?

— Rozumie się, że o ślicznej Anecie; jakbyś to się nie domyślał? Aneta kocha się w tobie. Dziewczyna kilka lat żartowała sobie z młodzieży, aż nareszcie przyszła kréska na Matyska... znalazł się mściciel.

— To jakieś bałamuctwo! — rzekł Jerzy chmurno.

— Ale, ale, żartuj zdrów: ja kiedy mówię, to na pewnych zasadach! są fakta!

— Zkądże ci to urosło?

— Prawda szczerą: jest chora z miłości! Rodzice, mówię ci to pod największym sekretem, rozesłali wszędzie gońców, aby cię ściągnąć. Mów, co poczniesz? co myślisz? co czujesz.

— Aneta dosyć mi się podobała, ale...

— Nie ma ale, to dosyć!

— Przepraszam, jest ale, bo jęj niekocham—
odparł Jerzy.

— Jakże wiesz? Co u ciebie zowie się ko-
chaniem?

— Gdybyś mię o to pytał przed kilku mie-
siącami, możebym ci nie umiał odpowiedzieć,
dziś wiem co jest kochanie.

— Aha! jestem w domu! więc inna! ale któż?

Jerzy zamilkł jak skała.

— Czy mnie upoważniasz do robienia plot-
ki?—spytał po chwili próżnego oczekiwania
Max.

— Nie, ale do szczerego powiedzenia tego
co wiesz: prawda przedewszystkiem.

Max się zamyślił i pokiwał głową.

— Ale ona cię kocha.

— To wymysł, to potwarze! Któż ma prawo
badać serce kobiety i ręczyć za to, co się
w niem dzieje? Nie wierz temu i nie powtarzaj.

— Ale pojedziesz do nich...

— Teraz zdaje mi się że nie mogę,—rzekł
Jerzy—mogłaby ta bytność moja dać powód

do nowych paplanin, jakiś pozór: nie chcę tego!

Na tém się skończyło prawie, i Jerzy niedługo bawiąc, podrażniony przykro, pośpieszył do Robowa uściskać pocziwego Ottona. Zastał dom pustkowielem, gdyż Otto podług swojego zwyczaju poszedł na grób ojca i narzeczonej, a Martynek do miasteczka; siadł więc oczekując na nich, spocząć sam jeden w tym domku, który mu tyle przypominał, niedawnych jeszcze, bolesnych i miłych dziejów.

Myśl jego pobiegła na przegląd życia, aż do głębi lat dziecinnych, aż do kolebki mglistej, do pierwszych brzasków młodości; potem na zielone niwy swobody, do chwil, w których panem będąc siebie, niczém jeszcze nie związany błądził po stepach... Powoli przechodząc do terazniejszego życia, które się tak dziwnie z nieznanymi zupełnie niedawno żywiołóm uplotło.

— Co dalej czeka? co będzie? pytał się wchodząc w siebie. Czy ona może być moją? czy przyjdzie mi dalej wieść życie potargane, rozerwane, bolące i tęskne, lub zniżyć zwycię-

żonemu w szranki powszednie, do pracy codziennéj i zaprzéć się nadziei, marzeń, nawet artykułów mojej młodej wiary? Czy każdy tak w końcu apostatą zostać musi? Nie! rzekł w sobie krzepiąc się, cierpieć to nic jeszcze, ale wiernym być potrzeba sobie, przekonaniom i przeczuciom młodym: to zadanie życia. Ściera w nas powoli uczucie ideałów sam żywot, wiemy o tém, czujemy to, czemuż nie starać się zetknięcia z nim szorstkiego unikać?

Wchodzący Otto rzucił mu się na szyję.

— Cóż ty tu tak marzysz? młodzieńcze, — zawołał wesół — masz już matkę, masz spokojny chléb, rodzinę, czegoż ci jeszcze chmura wisi na czole?

— A! bo mi jeszcze czegoś braknie! — rzekł Jerzy.

— No! to wiem, ale tego ci zawsze braknąć będzie — odparł Otto z uśmiechem smutnym. — Człowiek żyje pragnieniem, umarły tylko nie łaknie i nie pragnie. Pijemy i nie możemy się napić nigdy: ambrozja, która nasycza, nie wytrysnie z ziemi!

— Słuchaj, — rzekł Jerzy — tyś moim przyjacielem lub nikt; masz serce co kochać u. niało i pozostać wierném cieniem wśród rzeczywistości... do końca: poradź mi, powiedz, pociesz, naucz co czynić: — ja kocham.

— Teraz dopiero stałeś się w pełni człowiekiem — odparł Otto poważnie — ale kochaj jak mąż, miłością surową, wielką, cichą i spokojną, miłością jak moja, raz na wieki.

— Taką czuję w sobie.

— Nie pytam się nawet kogo.

Jerzy zakrył oczy.

— Siostra moja.

— Jakto siostra? któż taki? — rzekł Otto.

— Znasz Lolę przecie.

— Znam, to źle... ale miłość się nie wybiera — rzekł powoli — a ona?

— Powiedzieliśmy sobie, żeśmy złączeni na wieki.

— Tak, sercami, — odezwał się Otto — nie wiem czy dłonie się wasze połączą. Ani Hrabina, ani Hrabia nie pozwolą na to nigdy: pokrewieństwo zbyt jest blizkie, prawo nawet kościelne związku takiego zabrania.

— Byłoby to prawdą?

— Jest tak! przygotuj się cierpieć i czekać.

— Będę czekał.

— Związki podobne nie są bezprzykładne, ale się z nimi łączy idea niebłogosławieństwa, ale im stawia przeszkody: miłość to odrazu namaszczone na cierpienie.

— Przyjmę je chętnie,— rzekł Jerzy— usta moje poślubiły jej usta, dłonie się związały, serca zjednoczyły się na zawsze.

— Nic więc ci nie powiem, kochaj! Ale chcesz rady?— dodał osmucony Otto— nie okazuj jej zbytnej miłości abyś nie zwiększał bolu; dziewczę to proste, szczere, pełne życia, w niej miłość musi być raną krwawą, którą każde dotknięcie rozdrażnia.

— Nie mogę kłamać.

— Oddał się.

— Ottonie, tyż mi to radzisz?

— Milczę.

— Opuszczając tę okolicę, muszę przecie— odparł Jerzy— pojechać do nich, pożegnać się z nimi, opisać im nowe położenie moje, wytłumaczyć się... zobaczyć ją.

Otto milczał.

— Stało się—rzekł—Bóg reszty dokona. Co będzie, On wie jeden, ale uzbrój się przyjacielu i miej mężstwo.

— Tego mi nie zabraknie.

— Nigdy go nadto mieć nie możesz. Miłość twoja nie powinna być płaczliwą i dziecinną, ale poważną i mężką za dwoje: jej i sobie musisz wskazać drogę. Ty tak masz ją kochać żywą jak ja miłuję umarłą, wiernie chodząc do mogiły i milcząc przy niej na modlitwie.

Długo tak jeszcze rozmawiali, a noc nadchodząca ledwie ich rozpędziła. Nazajutrz Jerzy pośpieszył do Hrabiny, pędzony gorączkową niecierpliwością.

Jakieś przeczucia bolesne biły mu w duszy, nigdzie nic o nich posłyszeć, nie się o nich nie mógł dowiedzieć. Gdy zajechał przed ganek, myślał, że ich nie zastał, bo nikt naprzeciw niemu nie wyszedł; służący wreszcie, którego spotkał w przedpokoju, oznajmił mu, że panna była chora, a sam poszedł dać wieść Hrabinie.

Jerzy zadrzał, pomieszany wszedł do saloniku, w którym milczenie smutne zastał tylko... Po chwili szelest dał się słyszeć i cała skłopotana, zmieniona ukazała się Hrabina, witając Jerzego twarzą chłodną, pomieszana, nie swoją.

— A Lola? — zapytał żywo przybyły.

— Lola trochę słaba — odpowiedziała matka unikając jego wzroku — nic tu nie jest straszniejszego, jednakże musiałam ją położyć.

Rozmowa przerwała się, a co najboleśniej dotknęło Jerzego, to zmiana Hrabiny, którą nazywał matką, nie dawno jeszcze tak czulej dla niego, dziś ostygliej, trzymającej się na wodzy z uczuciem, aby go nie okazać, ze słowy aby ich z ust nie puścić. Jerzy poznać jej nie mógł, a ile razy szczerzej, od serca przemówił, głos jego rozbijał się o chłód umyślny, o jakiś zimny opór obliczony, niepojęty dla niego. Nareszcie opowiadanie o pannie Morosz, o Horycy, o nowém życiu, o tej kobiecie która dlań stała się matką, choć przedłużane umyślnie, wyczerpać się musiało; Jerzy czuł się w położeniu niespodzianém, jakby spętany. Nie mó-

wili do siebie jak dawniej, Hrabina cierpiała sama widocznie, coś ich dzieliło i oddalało. Jerzy nie umiał sobie tego wytłumaczyć, ale i wytrwać w tém nie mógł.

— Stryjenko — rzekł wreszcie, zbierając się na odwagę — między ostatnimi memi a dzisiejszemi odwiedzinami i przyjęciem jest różnica, której nie mogę nie uczuć: jam człowiek szczery i prosty, kłamać nie umiem i nie chcę, milczenie mnie męczy, mówmy otwarcie.

Hrabina długo popatrzyła mu w oczy z zapytaniem, uśmiechnęła się jakoś niedowierząco.

— Chcę wierzyć — rzekła — żeś szczery i poczciwy, ale niedoświadczenie jest czasem tak szkodliwe jak zdrada. Nie będę się tała przed tobą, mam ci wiele do wyrzucenia.

— Mnie??

— Tobie, Jerzy. Nic spodziewałam się płochości po tobie. Młody jesteś, może to naturalne, alem ja przywykła widzieć w tobie człowieka dojrzałego. Tyś może sam nie ocenił swęj nierozwagi, ale już ludzie na nią boją.

— Cóżem zrobił?

— Jerzy, byłeś bratem Loli, i powinieneś był pozostać bratem jej tylko — odpowiedziała surowo Hrabina.

Zamilkli chwilę.

— Stryjenko — rzekł Jerzy — są uczucia za które człowiek nie odpowiada, bo panem ich nie jest.

— Niechże je kryje w głębi serca...

— Takem czynił, alem nie wiedział, przyznaję się do winy, że uczucie pocziwe i święte może być występniem i zmuszoniem się ukrywać.

— Na coś się starał je rozbudzić?

— Ja?

— Nie chcę ci czynić wymówek, może Lola w Bogu i modlitwie znaleźć pokój, który z twojej przyczyny postradała, ale łez moich i trwogi, ty nie potrafisz obliczyć...

— Mam więc na wieki być ztąd wygnanym? — zapytał Jerzy z boleścią.

— Sam się wygnasz, jeśli masz litość nad matką i nad nią. Związek między wami jest

niemożliwym, miłość występna, nadzieje daremne; dla ciebie to może było tylko igraszką, gdy dla niej chodzi o śmierć lub życie.

— Igraszką dla mnie? — wybuchnął powstając Jerzy, — pani! ty którąś matką nazywał, możeż-że mi to zarzucić? Najświętsze uczucie dla którego gotów jestem dać życie, nazywasz igraszką?

— Sądziłam tak — odparła spuszczać oczy Hrabina, — z tego przynajmniej, że dwóch naraz kochać nie można i zwodzić się niegodzi.

— Dwóch! na Boga! — zakrzyknął Jerzy, — ja tego nie rozumiem!

— A Aneta?

— Czemu dla mnie Aneta? — śmiejąc się gorzko zawołał młody chłopiec, — Aneta! a to prawdziwie niepojęte! Któż znowu tę potwarz rzucił na mnie?

— Waszysey przecie wiedzą, że tam bywasz, że się w tobie rozkochała, że ją uwodzisz.

Jerzy pochwyił się za głowę.

— Stryjenko, — rzekł popędliwie chwytając ze stołu różaniec, przy którym wisiał krzyż, — wierzysz w ukrzyżowanego?

— Jerzy! co za pytanie!

— Wierzysz, że nawet zbrodniarz nie ma odwagi przysiąc krzywo na krew umęczonego niewinnie?

— Co mówisz?

— Otóż! przysięgam ci, że to potwarz nie-pocziwa!

— Nie przysięgaj, wierzę ci, chcę wierzyć, ale cóż to pomoże?

— Jeżeli winien, to tyle tylko, że m Lole pokochał jak siostrę, a dał temu uczuciu wyrosnąć w sercu więcej, niż świat i prawo wasze pozwala; ale ją kocham jedną, ją pierwszą i ostatnią i na wieki!

Hrabina pobladła, niespokój straszny odmalował się na jej twarzy; jakby ta przysięga powiększyła jeszcze jej trwogę, załamała ręce, spojrzała na drzwi przelękniona i drżąca.

We drzwiach, do których Jerzy obrócony był plecami, od kilku chwil stała Lola w białej sukience, blada, chwytając każde słowo wychodzące z ust Jerzego z tym wyrazem prawdy, który fałszu przypuścić nawet nie dozwala. Nagle pochyliła się, oparła o drzwi

i niemogąc wytrwać, choć matce dała słowo że nie wyjdzie, wybiegła, objęła rękami szyję Jerzego, zawiesiła się na niej z uczuciem, i patrząc mu w oczy łzawym a pełnym boleści wzrokiem, zawołała :

— Tak jest, on mnie kocha, ja nie wierzę, nie wierzyłam nigdy tej potwarzy! Matko, ja więcej już nie chcę, on mnie kocha!

I domawiając tych słów, Lola, która wstała z łóżka mimo zakazu, osłabiona, wzruszona, powoli białe rozpuszczając ręce, zachwiała się, posłoniła, i nim matka i Jerzy mieli czas zwrócić się ku niej, jak podcięty kwiatek na ziemię upadła.

Hrabina krzyknęła przeraźliwie..

Na licu zemdlałego dziecięcia był wyraz takiej błogości anielskiej, że Jerzy któremu łzy trysnęły z oczów, pomyślał, czy warto ją było budzić do ciężkiego życia... Ale osłabienie było tylko chwilowe: wnet otworzyła oczy, podniosła się, podała mu chłodną rękę i powstała.

— Matko, — zawołała błagająco — ten raz, ten ostatni raz pozwól nam chwilkę zostać

z sobą: czyż to grzechem być może? Czyż Bóg potępi mnie i jego, żeśmy pokochali nie wiedząc jeszcze co nas rozdziela? Przysięgam ci mamó droga, że pierwsze nań wejrzenie było dla mnie życiem nowém: uczułam, że on jest tym, który mi był przyznaczony na osłodę życia, na dopełnienie jego... Czy będzie mężem? czy pozostanie bratem? ja nie myślę, bylebym kochać go mogła, byle on mnie kochał.

Hrabina płakała; głos ten dziecka, błaganie jego, złamały ją: usiadła smutna biorąc rękę córki, którą poczęła gorącemi całować usta. Jerzy przypadł na kolana i chwycił drugą jej rękę, i była chwila milczenia i łez, która ich połączyła wszystko troje w jakimś niemem zapomnieniu.

— Odezwij się do mnie Jerzy, — przemówiła nareszcie Lola. — Bóg już wie kiedy zobaczymy się znowu: ja chcę głos twój posłyszeć, chcę się twą myślą nakarmić, mam do ciebie pytań tysiące, chcę ci powiedzieć tyle rzeczy...

— To wszystko Lolu droga, — odparł Jerzy, — zaczyna się i kończy na tém jednym, że kocham ciebie. Ten kto śmiał mówić inaczej,

kłamał bezczelnie, dziś ty mu wierzyć nie możesz.

— Jam nigdy nie wierzyła! mój Jerzy, to być nie mogło! Nasza miłość jest jak sznur złoty, który pochwycić mogą i targać, ale go nie rozerwą.

I spuściła główkę.

— Mów, — rzekła, — jam łakoma cię słuchać.

Jerzy musiał wezwany choremu dziecięciu, opowiadać znowu swoje dzieje, a Hrabina słuchając i wpatrując się w nich milcząca, przekonała się jak to uczucie, które ją przerażało, silnem i wielkiem być musiało. Lola w ciągu téj półgodzinnej rozmowy ożywiła się, odżyła, nabrała siły, na twarz jój wystąpił rumieniec, zdawała się uzdrowioną cudownie: każde słowo Jerzego wlewało w nią moc nową...

To przywiązanie tak gwałtowne, w macierzyńskiem sercu Hrabinej odbiło się, stawiając w niém dwa ostateczne wyroki—śmierć lub grzech. Drząc cała, ufała tylko w Bogu, że oboje odwrócić potrafi, ale sama nie wiedziała co począć. Łzy jój płynęły na rękę Loli,

ciche, gorące, błagając o litość; kilka razy spojrzała na Jerzego, niemając siły go odegnąć, a każda chwila zdawała się jej zwiększać niebezpieczeństwo.

— Któż mógł wam, — spytał w końcu Jerzy, — spleść tę baśń o Anecie?

— Od której ja mało nie umarłam, — przerwała Lola, — chcieli mi ciebie wystawić kłamcą, zabić we mnie wiarę, wydrzeć mi mój ideał... A! to była chwila okropna! Na miejscu mojego Jerzego stanął ktoś, szatańska postać z niewinnym wzrokiem, a zdradą w sercu... Gdyby tak kiedy być miało, żyć nie warto!

— Ale któż to przyniósł?

— Kto? — odpowiedziała matka, — wszyscy: Max... doktor poczciwy; sami nawet państwo Jędrzejostwo będąc tu z córką, dawali do zrozumienia... Aneta płoniąc się gdy o tobie była mowa, pół-zwierzając się przed Lolą, popotwierdziła te plotki...

— Na Boga! to spisek, — zawołał Jerzy — to niegodny podstęp!

— Nie, — odparła Lola, której boleść dawała jasnowidzenie, — ja teraz czuję i rozumiem

wszystko. Aneta kocha biedna, ona cierpi jak ja.

— Ale to być nie może!

— Aneta kocha! — powtórzyła Lola, — ja się jej nie dziwuję, można cię poznać i nie kochać?

Jerzy odpowiedział pocałowaniem jej ręki.

Hrabina była w dziwném położeniu: czuła, że im bardziej przedłuża się ta rozmowa i bytność Jerzego, tém uczucie rozżarza się mocniej, tém większe grozi niebezpieczeństwo; ale złamana obawą o zdrowie Loli, słaba dla swej jedynaczki, nie śmiała im przerywać chwili téj czystego szczęścia, może jedyniej w życiu. Chciała odejść i obawiała się ich porzucić, siedziała przykuta. Jerzy zopomniiał o czasie, o godzinach, dzień przeleciał błyskawicą, wieczór się zbliżał. Lola nie wychodziła na chwilę, bała się wstać, aby ruch jej nie był znakiem odjazdu.

— Kiedy ty do nas powrócisz? — cicho szepnęła do Jerzego.

— Nie odjechałbym, gdyby można.

— A! pozostać ci nie wolno! Ludzie! matka

twoja, potrzeba ci odjechać mój Jerzy: jedź, —
dodała, — ale wierz w serce siostry i myśl
o mnie.

Ciche szeptanie oddaliło Hrabinię.

— Mój Boże, — rzekła do siebie w duchu, —
cóż te dzieci biedne złego mówić mogą?? Mo-
że to chwila ostatnia... niech ją spędzą swo-
bodnie.

Zaledwie matka odeszła, Lola powstała
z kanapy.

— Jerzy, — spytała, — masz ty jaką obrączkę?

— Mam, jedną ojcowską, którą mi oddał
przed skonaniem, wskazując mi abym ją nosił.

— Ja mam tylko pierścionek z N. Panną-
Jerzy, nam się potrzeba zaręczyć, ja będę po-
tém spokojniejszą jeszcze; mówią, że zaręczy-
ny tak są święte, jak ślub. W obec Boga
i aniołów zaręczam się z tobą, jeśli nie na ży-
cie, to na śmierć. Nie będziemy mężem i żo-
ną, ale dwojgiem dusz poślubionych na wieki.
Niech ta obrączka uprzytomnia nam przysię-
gę: weź Jerzy, ja biorę twoją....

I skłoniła białe czoło ku niemu, a szukając ust jej, Jerzy znalazł na twarzy łyzy gorące, które spił z pocałunkiem na wargach jej drżących.

Wtém matka niespokojna weszła.

Trzeba się było rozstać i pożegnać. Lola sama teraz podała mu rękę, z uśmiechem uspokojenia.

— Mój Jerzy, — odezwała się, — oddalenie nic nie znaczy, możemy pisać do siebie; jedź, ja ci wierzę. Gdyby mi jutro przyszli oznajmić, żeś inną poślubił, ja śmiać się będę.

— Miej i zachowaj tę wiarę, — rzekł Jerzy, — jeśli ci powiedzą żeś umarł, to prawdą być może; żeś zdradził — to niepodobna. Tyś mojem życiem, tyś wszystkiem.

— Jerzy, — przerwała matka, — jedź już, proszę cię jedź! Loli to przedłużone wzruszenie szkodzić może... ja się obawiam.

— A! kiedyż zobaczymy się znowu? —

Na to pytanie nie było odpowiedzi. Jerzy uściskał jej rękę, ode drzwi spojrział jeszcze na nią, i zobaczywszy jak się rzuciła w objęcia matki, odjechał.



Gdy przybył do Robowa, gdzie Ottona zastał z Maxem, blady był i niedopoznania zmieniony. Otto odgadł, że coś zająś musiało, bo twarz Jerzego zdradzała cierpienie, ale nie śmiał go pytać.

Wesoły nastrój towarzystwa, które tu zastał, wydał mu się przykrym i dziwnym: padł na kanapę zamyślony i znękany.

— A ty nie wiesz, — rzekł Max, zaraz, — że ja tu po ciebie przyjechałem z doktorem, i jutro wieziemy cię wprost do Jędrzejostwa.

— Mnie? ja nie pojedę! — odparł Jerzy stanowczo.

— Jesteś proszony,

— Przepróście za mnie.

— Dlaczegoż?

— Nie mogę.

Na te słowa ziewając i przecierając oczy Szemere, który odpoczywał w kątku:

— Co? co? — przerwał, — kto nie może? dlaczego? o co to chodzi?

— Sam osądź doktorze, czy się to godzi, — kończył Max, — proszony do państwa Jędrzejostwa, droży nam się Jerzy i odmawia.

— Odmawia jechać do tak ładnej panny? — zawołał Szemere, — o zgroza! *o tempora! o mores!* Dawniej byłoby to sromotą, żeby kawaler pannie i jakiejże jeszcze pannie, śmiał odmawiać, żeby się wahał nawet jechać do domu, dokąd go tak serdecznie proszą i nęcą....

— Kochany doktorze, — odezwał się Jerzy, — i dawniej i dzisiaj pomiędzy matką a panną wybór był zawsze jeden i konieczny: ja spieszę do mojej matki; powtóre, jeśli chcesz, chodź ze mną, powiem ci coś na ucho.

— I owszém, lubię gadanie na ucho, — odpowiedział doktor, — ty mnie na ucho, ja jemu na ucho, on tamtemu, tamten innemu, i tak to sobie przez wszystkie uszy przeleci, a nazywa się sekret. To piękna inwencja!

— No! jak ci się podoba, ale są rzeczy, które ja mówię na ucho.

Wyszli do drugiego pokoju, Jerzy wyciągnął mu rękę.

— Kochany doktorze, mam cię za uczciwego człowieka i dlatego ciebie wybrałem.

— Bardzo mi to pochlebia, ale niekoniecz-

nie tym, którzy zostali za drzwiami. No! gadajmy.

— Po co mnie tam ciągniesz?

— No! bo ci tam będą radzi, rodzice i panna.

Jerzy popatrzył w oczy.

— Jesteś przyjacielem ich domu?— spytał.

— Wielkim.

— No to nie powinienesz mnie tam wieść; z tego jeżdżenia rodzą się głupie i niepotrzebne plotki, a koniec końcem to do niczego nie prowadzi.

— Do niczego? jakże to pan rozumiesz?

— Rozgadano po sąsiedztwie Bóg wie co, przykro mi, boleśnie: ledwie ją parę razy widział, a już plotą, że się o pannę staram...

— To ci krzywdy nie robi.

— Ale czyni ją pannie.

— No! a gdyby się sprawdziło?

— Właśnie, że sprawdzić się nie może.

— Dlaczego nie może? nie łap ryb przed niewodem; a jeśli ci się podoba, jeśli się ty podobasz, jeśli się pokochacie? Co nie jest, to być może i bardzo może.

— Jeszcze raz powiadam ci doktorze, być nie może.

— Toś już zakaty uparty; ale dlaczego?

— Dlatego, — rzekł ciszej Jerzy cedząc po słówku, — że ten kto komu innemu przyrzekł i dał słowo, a jest uczciwym człowiekiem, słowa sercu swojemu i osobie wybranej dotrzymuje.

Doktor stanął zdumiony i trochę zmieszany, pokiwał głową, milczał długo, zażył tabaki, potem począł przechadzać się po pokoju.

— Zły interes, — rzekł, — zły! nie ma po co jeździć w istocie. Ale gdzieżeś się W Pan u licha mógł tak rychło uplątać? Chyba z jaką garderobianą, boś tu nawet, o ile wiem, nikogo nie widział.

— To rzecz moja.

— A nie wykręt??

— Nie mam zwyczaju kłamać, ani potrzeby się wykręcać!

— Ślicznie robisz, ale to do licha głupio!

— Wróćmy do towarzystwa, — rzekł Jerzy.

Max rozповідаł o swoim gospodarstwie, jak wprzód o muzyce, doskonale umiejac

się przechwalać; i w najżywszych malując barwach nowe zajęcia, plany i projekta. Otto słuchał i podziwiał jak prędko potrafił z artysty stać się obywatelem, jak do serca wzięwszy szlachectwo swe świeżej daty, bronił już zżarcie tradycyi szlacheckiej, prerogatyw, patryarchalnój władzy nad wieśniakami i kochanej pańszczyzny; jak tłumaczył dawny serdeczny pana z kmieciem stosunek, prawa własności, nietykalność ziemi i t. p. rzeczy do stanu i powołania nowego odnoszące się, których katechizm zwykły już umiał napamięć.

Obsyty w tę nową skórę, Max był już solidarną częstką ogółu i dorabiał się, wkupywał w bractwo, do którego pragnął należeć, powtarzając co chwila: — My szlachta, my właściciele, my posiadacze ziemscy.

W dodatku potrzeba wiedzieć, że go już tak wzięto na seryo i wierzono mu święcie, iż niektórzy sąsiedzi, których przekrzyczyć potrafił, mieli go za wyrocznię i przyszłą obywatelstwa podporę. Max miał już teraz muzykę za bajbardzo, śmiał się z tych co się jój poświęcali, nie potrzebował jój na nic; a gdy wiecz-

rem grać zaczęli, usiadł z Szemerem do marmyasa, by czas zabić.

Jerzy byłby tu sobie szczęśliwe chwile spędzone po przybyciu z Maxem, i swobodę swą dawną, przypomniawszy, gdyby wspomnienie Loli bladłej, znękanłej, chorej i smutnej, nie dojmowało go boleśnie. Wyrzucał sobie teraz, że uległ pierwszemu popędowi, że sobie dał z ust i piersi wyrwać wyznanie, że się uczuciu dał unieść... ale już było zapóźno.

W Zarubińcach Hrabia, który wszystkie swe projekta szczęśliwie przyprowadził do skutku, mając teraz obfite do rozporządzenia fundusze, całkiem się oddał swęj namiętności wynalazków, i olbrzymie zakreślał plany, o których tylko jeden Malczak wiedział. Żółtowski uznany za coraz niedołęźniejszego, niezdolnego pojąć żadnej wielkiej myśli człowieka, całkiem pozostał usunięty, na stronie. Była mowa o podróży do Paryża, dla dopilnowania zamówionych tam wzorów i machin. Malczak na ten czas miał pozostać w Zarubińcach z wła-

dzą dyskrecyonalną i nadzorem nad wszystkim. Wzięte za Horycę pieniądze projekt ten jeszcze prawdopodobniejszym czyniły, a choć Żółtowski radził najprzód płacić długi pilniejsze i majątek oczyszczać, Hrabia Rajmund ani chciał słuchać: kredyt jego poprawił się, po cóż miał płacić? Nikt się nie upominał, przyszłość jasniała mu świetnie.

Marzenie jednak o niej nie mogło zupełnie zaspokoić potrzeb serca. Często w życiu naszym, maluczkie jakieś na pozór miejsce zajmuje człowiek, lecz gdy go nam zabraknie, wielka po nim zostaje próżnia. Tak się tu stało po wyjeździe Loli z Hrabinią:

Oprócz tego Hrabia Rajmund dotknięty był w miłości własnej tem, że go żona opuściła, nie zgadzając się z nim na odarcie synowca i opierając się jego zdaniu. Ten dzień w którym pokorna dotąd kobieta wypowiedziała mu posłuszeństwo i skazała się na osamotnienie, na ubóstwo, na rozdział jak od zapowietrzonego, boleśnie mu się zawsze przypominał. Cierpiało serce i miłość własna cierpiała. Zrazu sądził, że to była tylko pogroźka, że Hrabina

mogła się oddalić chwilowo, ale nie wytrwa bez niego, że powróci sama upokorzona i zawstydzona, że to są jedném słowem strachy na Lachy. Lecz gdy powoli Marya wszystko co osobistą jej własność stanowiło, przewieźć kazała, gdy się zaczęła urządzać jak na zawsze w swęj wiosce, Hrabia począł się coraz bardziej niepokoić. W domu brakło mu czegoś, był sam, robił co chciał; ale często łapał się w drodze na górę do pokojów Hrabiny, i zawracał z przykrém przypomnieniem że jej nie było: uśmiechu Loli, jej szczebiotania i ранnego pocałunku mu brakło. Sam z Malczakiem, który z swą krzywą gębą na szatana wyglądał, skazany na jednostajny pokarm jego pochlebstw i plotek, czuł, że jakiegoś czystsze go żywiołu brakło jego życiu.

Miał on usłużnych donosicieli, którzy mu dość regularnie zdawali raporta z tego co się działo u Hrabiny, ale ci tylko to co widzieli przynieść mogli: wielu rzeczy od nich dowiedzieć się nie mógł. Zrazu chciał sam jechać, duma go wstrzymała; potem wstyd żeby się nie zdało, że upokorzony i skruszony sam się

o przebaczenie doprasza; potem coraz żywiej czując udręczenie, za to co doznawał, począł głęboką urazę mieć do żony, i o zbliżeniu się do niej mowy ni myśli nie było.

Ale koniec końcem niepokój i zgryzoty rosły co chwila, Malczak baczenie na to poglądał z boku, a choć mu wielu rzeczy dotykać nie wypadało, cieszył się że sam pozostał, starał się nieznacznie uspokajać, zajmować, rozrywać, aby tęsknoty nie dopuścić. Hrabia miał w nim jednego z tych zauszników bajecznych, jakich tylko słabi ludzie przy sobie ścierpieć i wyrobić umieją.

Codzień zrana, za ledwie wstał, Malczak w swoich pantofelkach i watowanym kaftaniku zjawiał się we drzwiach sypialni i stawał na rozkazy. Rozmowa jednostajnie zawsze zaczynała się od zapytania:

— A co tam na dworze?

Na co Malczak miał talent odpowiadać coraz inaczej, kreśląc obraz nie tyle tego co było, jak przepowiednię tego co być miało.

Później rozmowa zwykle zwracała się do ukochanych machin, kólek, trybów i t. p. Mal-

czak miał tu sposobność zręcznego podziwiania geniuszu Hrabiego, i wprowadzenia go w dobry humor, który potem pozwalał mu już bezkarnie mówić co ślina do gęby przyniosła.

Posiedzenia te ranne przy picciu kawy, często tak się rozwijały naiwnemi ze strony Hrabiego wyznaniami, że nawet Malczak z nich, stojąc w ciemnym kątku, się uśmiechał.

W obec ludzi nie przyjmował Hrabia ani tak bez wyboru każdego kadzidła, ani tak prosto w piersi wymierzonych admiracyj; między nim a Malczakiem przestrzeń stawała ogromna: tu zacierały się położenia różnice, występowali tylko dwaj ludzie, z których jeden łaknął uwielbień, drugi mu je głodnemu dosyć niezręcznie przyprawione podawał.

— A! proszę JW. Hrabiego—mówił Malczak—gdybyś JW. Pan żył w innym kraju, na rękachby go nosili, monumentaby stawili: co to taki geniusz! Ale u nas, proszę JW. Pana, czy to się na ludziach poznają?

— Masz racją! Ja zawsze się dziwuję, jak ty, prosty człowiek tyle możesz mieć zdrowego

rozsądku. U nas się wszystko marnuje, największe geniusze w niwecz idą. Nie pochlebiam sobie, żebym na równi stał z wielu znakomitemi mechanikami i wynalazcami, ale tym rutynistom brak śmiałości w pomysłach, samorzutności, a ja to właśnie posiadam w najwyższym stopniu! Egzekucya jest słabszą stroną u mnie, ale i tu gdyby...

— Ale proszę JW. Hrabiego, gdybyśmy my sami wszystkiego nie robili własnymi rękami, coby to było?

— Ja ci wprost powiem—dodawał Hrabia zwykle—gdyby nie twój talent i tegobym nie zrealizował co jest: któż tu u nas co zrobić potrafi? gdzie co wypróbować? kogo zapytać? Wreszcie człowiek potrzebuje zachęty: tu znajdzie tylko śmiech i obojętność.

— Taż to, proszę JW. Pana, z nas doprawdy niektórzy śmieją się jak z waryatów.

— Bo zawsze geniusz musi być zapoznany—wołał Hrabia w zapale—to jest jego znamieniem: wszyscy wielcy ludzie dopiero po śmierci zostali ocenieni.

— Już to darmo — wzdychał Malczak, choć w duchu się uśmiechał — taki to los nasz, panie!

Krzywa gęba wielce mu ku temu była pomocną, że choć się czasem i rozśmiał z pana, wyraz szyderstwa nikał w tych fałdach kactwa, i odkryć go w nich nie było podobna, bo zawsze miał minę złośliwą.

Takie zwykle rano toczyły się rozmowy, niemal codzien jednostajnie się powtarzające, a teraz tylko urozmaicane dopytywaniem nieznacznym o Hrabinę, o której wszystkich czynnościach Malczak starał się być dokładnie zawiadomionym.

Po dobrowolnym zrzeczeniu się Jerzego, Hrabia napisał do żony, ale odebrał od niej odpowiedź tylko zaklinającą go, aby tego daru spowodowanego testamentem nie przyjmował. Na list ten nie odpisał już wcale. Uraza do żony rosła w miarę jej wytrwałości, a może z tego powodu, że w głębi własnego serca, sam Hrabia czuł się mniej od niej czystym i upokorzonym. Przed Malczakiem nie odkrywał on się z tym żalem, udawał nawet że się ułożyli tak mieszkać dla zdrowszego powie-

trza, dla drewnianego domu i t. p., ale w tém zachowywała się tylko pozornie przyzwoitość: wiedział Hrabia że Malczak rozumie udanie, Malczak czuł iż Hrabia nie sądzi, by się dał la- da czém zaspokoić. Ale dla obu tak było jakoś zręczniejsz i składniejsz.

Z samego toku rozmów, objaśnień, zapytań znać było, że Hrabia się poróżnił z żoną, ale zachowywano powierzchownie *decorum*.

Malczak ze swęj strony wcale ku zgodzie rzeczy nie obracał, i owszem, zdawna nie lubiąc Hrabiny, czując ją na przeszkodzie, szanować ją zmuszony i wystrzegać się, a nie- umiejąc sobie zjednać najpodlejszém pochleb- stwem: teraz korzystał z okoliczności i raczėj rozdzielał niż zbliżał ich ku sobie. Znalazło się zawsze coś dobrodusznie opowiedzianego, co Hrabiego rozjątrzyć mogło.

Malczak obrachowywał, stopniował swe wia- domości, wylewał je i cedził po kropełce, da- jąc dowody, że był prawdziwie na intryganta stworzony i mógłby niepospolitą w danych wypadkach grać rolę. Im wyraźniej czuć mu się dawało usposobienie do tęsknoty w panu,

tém zręczniejszą zgodę i zbliżenie się czynił niepodobieństwem, trudności zmyślając z tamtej strony, tłumacząc każde słowo opacznie; posługując się Zóltowskim nawet, który się wcale nie domyślał, co mu mówić kazano.

Jak przy długim zżyciu się z człowiekiem, proste często stworzenie, wykształceniem niższe, sercem mniejsze, potrafi zawładać silniejszą istotą, jest doprawdy jedną z tajemnic słabości ludzkich. Chwyta ono zręcznie za objawione mu życiem chorobliwe oznaki, często śmiesznie, często niezgrabnie ciągnąc przez nie potem gdzie i jak zażąda. Opanowany czuje nawet, że się poddał w niewolę, a oprzec się jej nie umie: tak się i tu działo.

Malczak był już oddawna znakomitą w Zarubińcach figurą, teraz dążył przez faworytyzm do samowładztwa; zdawało się to niepodobnym patrząc na jego brudną minę, pantofelki i szlafroczek, a jednak tak było w istocie.

Ostatnich dni Malczak wiedział doskonale przez garderobianę, której uczynił zwierzenie się swych afektów i kapitałów, że Jerzy kochał się w Loli; ile razy tam był, co z sobą

mówili w ganku (bo Julka ich podsłuchiwała), co potem zaszło i jak Lola zachorowała, i jak znów przyjechał Jerzy, jak przyjęła go matka i córka, jak potem się rozstali. Nie śmiał jednak z tą ważną wiadomością wystąpić Malczak odrazu, przygotowywał ją powoli, a ile razy o pani była mowa, z wielkiem uszanowaniem, ale z jakąś głęboką o niej odzywał się boleścią.

W końcu wypadło mu już wystąpić, aby go kto nie uprzedził. Wszedł więc z rana, gdy Hrabia, wedle obyczaju zapijał kawę powoli, chodząc po pokoju wielkimi krokami, z myślami wielkimi, które jakoś w rannej godzinie żywiej mu się nasuwały.

Jak sucharka do kawy, brakło mu Malczaka; zobaczywszy go pokornie przy drzwiach stojącego na swoim miejscu, aż się ucieszył.

— No, cóż stary? jakieś tam spał?

— E! co tam spać—rzekł, drapiąc się po głowie Malczak—czy to tam spać!

— A cóż?

— Człowiek przy Jaśnie Panu to się takich dziwów napatrzy a namysli we dnie, że potem

nocą ani oka zmrużyć: koła mu po głowie chodzą, walce warczą, tryby piszczą...

— A no, to coś i ja tak śnię nieraz o moich machinach. Bieda, mój Malczak, tym co pracują: trud ten szalony i we śnie ich nie opuszcza. Ot, patrz na tę gawiedź próżniaczą, jak to im dobrze, jak to śpi i tyje...

— A w dodatku, jeszcze się z nas śmieją— dodał Malczak.

— A no! tak zawsze... Cóż na dworze?

— Skwar, Jaśnie Panie; duszno, słońce rano wstało, deszcz będzie we dnie: nie chybi, i w *barometrze* spadło.

— A no! a wiatr?

— Zachodni.

— Deszcz pewny. Żółtowski w domu?

— Był z rana, pojechał po gospodarstwie, bo u niego jak na deszcz się zbiera, pewnie kopy w polu.

— A już to prawda, ma szczęście ten człowiek najniezręczniejszy w świecie.

— Kiedy nikogo nie słucha.

— Uparty i głupi, ale się człek do niego przyzwyczaił: przynajmniej milczy.

Malczak się rozśmiał.

— We dworze nic nowego?—spytał Hrabia.

— Nie, proszę pana; nie słyszałem.—Tu chrząknął.—Tylko tu się ktoś przyjeżdżał do wiadadywać od Hrabinej, czy nie było doktora.

— Co tam, kto słaby?

— Nie wiem, to podobno panienka.

— Panienka? dawno?

— O! to już nie dziś, podobno kilka dni czy więcej.

— Cóż to tam takiego?

— Ja tam nie wiem! zwyczajnie, proszę Jaśnie Pana, Hrabina nasza to taka dobra, taka dobra, że sama sobie rady dać nie potrafi; choćby i w tém...

— Tego się domyślałem, dziwy się tam dziać muszą.

— A oczywiście że się dzieją.

— No, co takiego?

— Zwyczajnie.... może to plotki ludzkich języków.

— Ale, przecie mnie to obchodzi co gadają.

— At, gadają... nasza pani to dobroć sama...

Hrabia chodził mrużąc.

— A przez tę dobroć to i panienkę może trochę popsuła.

— Może być, uwaga twoja bardzo trafna.

— Ja zawsze, przez przywiązanie do pani i do panienki mówiłem, żebyno co z tego złego nie wynikło.

— Rozsądek nad stan i pozycją! zawsze to powtarzam.

— Ja czułem, że temu tylko oko i opieka Jaśnie Pana mogły zapobiedz...

— Otóż ja i zdaleka czuwam nad niemi, ale zajęcia moje i prace naukowe... No, cóż to tam plotą, bo to mnie obchodzi bardzo; gadajno, gadaj?

— Nie warto powtarzać, może to i bajki.

— Mów, mów: ja rozeznam co prawda.

— Ludzie prawią, że pani przez dobroć serca swojego, bo to anioł, prosiła pana, jak zaczęła się tak bardzo litować nad panem Jerzym a przyciągać go tam, słyszę, jeździł, jeździł, a płakali tam, a desperowali razem, aż i panienka się w nim słyszę... pokochała.

Hrabia rzucił się i wzdrygnął, a Malczak uląkł się sądząc, że nagle zawielką dał dozę.

— Co ty pleciesz?

— Ja téż mówię, że to mogą być bajki.

— Oczywiście: brat stryjeczny, hołysz jakiś.

— Otóż to, słyszę, że i pani bardzo perswadowała, że to brat stryjeczny, ale panienska aż się od tego rozchorowała.

— Z tego się rozchorowała? Malczak!

— Mówią, że jakoby z tego, ale kto tam wie: może zaziębiła się siedząc z nim w ganku albo co.

— I cóż jeszcze?

— Koniec końcem, że gdy ostatnią razą przyjechał pan Jerzy, wyklula się cała historia: zmusili go, że dał słowo, iż bywać dalej przestanie.

— I to wszystko stało się tak, że ja o tém nie wiedziałem ni słowa, gdy chodzi o moje dziecko, o mój dom, o imię moje! Otóż to kobiety, otóż to puść je tylko same! A już, prawda czy nie, ludzie nas wzięli na zęby. Sama myśl przeraża! On moim zięciem! ten przybłęda, którego własny zaparł się ojciec, bez wychowania, bez wykształcenia... A potem jeszcze powiedzieliby ludzie, że czułem wy-

rzadzoną krzywdę i chciałem mu ją wynagrodzić!

Hrabia mówił przerywanemi wyrazy, rzucał się i gniewał.

— A rozumiem!—dodał po chwili.— Myśl ta tylko w głowie tak niedołężnej jak ona kobiety urodzić się mogła, ona to sama skleiła; ale na Boga, nie dopuszczę by co z tego wyrosło! nie pozwolę! Zaprzęgać konie!

— Ale, proszę Jaśnie Pana—wtrącił Malczak przelęknięty gniewem Hrabiego—może to jeszcze wszystko bajki.

— Zaprzęgać mi konie!—krzyknął groźnie Hrabia rzucając szlafrok,—a ty tymczasem pamiętaj, aby mi tryb żelazny dopuścić do miary: rozmiar ci dałem.

— Ale, gdyby...

— Nie gadać! ruszaj po konie! ja jechać muszę! słyszałeś?

— Bo ja,—dorzucił Malczak drząc—z obowiązku wygadałem się zwyczajnie; co człek posłszy, to niesie do swojego pana. Zresztą, kto tam wie!

— Cicho! mnie wiedzieć co fałsz a co praw-
da, uczyć mnie niepotrzeba! Rozumiem jak
rzeczy stoją. Dobrześ zrobił, żeś mi powiedział
wszystko, reszta do mnie należy; zaprzęgać
konie!

Malczak trochę przestraszony zbyt szybkie-
mi skutkami donosu, poszedł, rad nie rad, ka-
zać konie zaprzęgać; ale że znał Hrabiego
i wiedział, że tylko w pierwszym zapędzie jest
niepohamowany, starał się aby konie mogły
być dopiero za parę godzin gotowe; potem
gdy już stanęły przed gankiem, przybiegł
z owym trybem i rozmiarem, zaczął rozpyty-
wać o jakieś koło, wrzucił coś o jakiejś ma-
chynie, o której pragnął się wyjaśnić i tak kil-
ka dobrych godzin zmarudził, aż Hrabia zna-
cznie ostygł. Chmura jednak nie zeszła mu
z czoła i wyjechał zasepiony.

W drodze znowu mocno się myślami wła-
snemi rozognił, i gdy wszedł do salonu Hra-
biny, miał poważną i surową minę sędziego.
Loli nie zastał przy matce, znowu była chorą
i stan jej jakoś się pogorszył.

Małżonkowie znaleźli się sami, a Marya rozczulona przybyciem męża, patrząc mu w oczy, serdecznie uścisnęła jego rękę... Rajmund milczał. Po chwili dopiero zebrawszy myśli rozpoczął rozmowę.

— Doszły mię wieści dziwne, nawpół tylko dają im wiare; mógłbym jednak i muszę spytać się coś zrobiła z Lolą? co się z nią stało?

— Jakież cię wieści dojsć mogły?—zapytała przerażona Marya.

— Lola chora; szepczą o jakichś tajemnych choroby przyczynach, zmartwieniu: nie wiem. Wytłumacz mi się pani. To dziecię równie mnie obchodzi jak ciebie, równe do niego mam prawa: chcę wiedzieć, co się tu stało?

— Ale nic? cóż ci mam powiedzieć?

Hrabina zalała się łzami, Rajmund zamilkł.

— Otóż to są skutki samowolności kobiecej, gdy żony chcą sobą kierować same i od rad doświadczonego wyłamują się towarzysza: daj Boże, bym przyszedł w porę.

— Na Boga, mój mężu—odpowiedziała Marya z pokorą—mówmy spokojnie. Jeżeli co się stało, byłoby to zarówno i pod twojem speł-

niło się okiem. Lola jest jeszcze takim dzieckiem, Jerzy się jój podobał od pierwszego wejścia.

— Tak! a WPani pieszcząc go, użalając się nad nim, przygotowałaś to uczucie, utworzyłaś drogę intrydze: ośmielił się zwrócić na nią oko! Siostra! na Boga! to zgroza!—wybuchnął Hrabia,—to wstyd i hańba dla domu... samo podejrzenie czegoś podobnego nas kala! Ja muszę się z nią widzieć i powiem jój stanowczo.

Hrabina porwała się przestraszona i rozkrzyżowując ręce, stanęła we drzwiach zasłaniając je sobą, blada jak mur i drżąca.

— Chyba po moim trupie przejdiesz do niej,—zawołała—ja winna jestem, być może, ale ja znam to dziecko, które przy mojej piersi urosło: jest to drobniuchny kwiatek, który lada nieostrożne dotknięcie zgnieść może. Jeśli ja winna, odpokutuję, złe naprawię sama; ale nie pozwolę nad nią się znęcać! Dziś Lola jest tak chora, że najmniejsze rozdrażnienie, stan jój nieskończenie pogorszyć może... Hrabio! zlituj się.

— Tak! zawsze te pieszczoty!—krzyknął Rajmund — pobłażanie bez końca!! obawy! a skutkiem tego choroba dziecka, śmiech ludzi i wstyd rodziny!!

— Przyjmuję, niech wszystko spada na mnie.

— Ale to dziecko jest mojem również, nie zapominaj WPani! — zawołał Rajmund — Cóż mi z tego, że grzech i wina spadną na ciebie? Ja chcę ją ocalić, ja muszę, jedném słowem rozbić te czcze marzenia, zamknąć głupie nadzieje, przyprowadzić ją do rozumu. Puszczaj mnie do niej!

Hrabina ukłękła, złożyła ręce i płacząc pochwyciła go za nogi.

— Mężu mój drogi, ojcze, panie, nie idź! lub jeśli chcesz zobaczyć chore swe dziecko, przyjdź doń ze słowem pociechy, z uśmiechem ojca, z pogodą na czole, nie pogarszaj jój stanu. Zlituj się nad nią, zlituj nademną!!

— Dość już tych płaczów i tragedyj, bezwarunkowo chcę widzieć Lolę; muszę ją widzieć: będę wiedział jak sobie postąpić!

Hrabina opamiętawszy się wstała, ale w okamgnieniu zamknęła drzwi na klucz, i nie mówiąc słowa, w dłoni go drżącej ścisnęła; potem wysilona upadła na krzesło.

Gniewny Rajmund stał przed nią i zżył się.

— Jaki? ja nie mam prawa widzieć własnego dziecka? Cóż to znowu, puścisz mnie WPani czy nie?

— Hrabio, słowo tylko twoje, — że jej nic o tym nie wspomnisz? słowo?

— Nie przyjmuję żadnych warunków: zobaczymy.

— Ja cię błagam.

— Ja dyktuję prawa — rzekł Hrabia dumnie. — WPani się zapominasz.

Walka ta przedłużona w końcu osłabiła Hrabinę i znużyła do ostatka; blada, bez tchu, skłoniła głowę, zdając się blizką omdlenia zawołała wody: nim ją podano, klucz odedrzwi położyła na stole.

Hrabia tymczasem z zimną krwią wziął go powoli, otworzył drzwi i wszedł nie oglądając się na żonę, przez parę izdebek do pokoiku,

w którym biedna chora leżała. Marya zobaczyła to, ale osłabienie nie dawało jej już nie przedsięwziąć: modliła się pocichu i płakała.

W małym pokoju od ogrodu leżała w swoim łóżeczku blada dziewczeczka, a że jej już oznajmiono o przybyciu ojca, przybrała się do niego w biały kaftanik, w czepeczek świeży, i czekała myśląc, że przyjdzie ją po dawnemu w czoło pocałować. Serce biło jej trochę, bo myślała sobie: a nuż on wie? co on powie? co ja mu odpowiem?

Nieśmiałą była z ojcem, bała się groźnego wejrzenia i brwi namarszczonych.

Wszedłszy powoli, stanął w progu, popatrzał na nią, i znać spodziewając się znaleźć ją gorzej, widząc tak ubraną i tylko w łóżeczku leżącą, jakby ją trochę zaboląła głowa: wszystko co mu żona mówiła o chorobie, wziął za zwykłą przesadę. Postanowił więc, korzystając ze zręczności, odrazu skończyć rozprawę.

Widząc, że Lola nie wstaje i nie przychodzi do niego, sam zbliżył się do niej, a przywitał

ją tak zimno, że odrazu serce jej przeczuć mogło z czém przychodził.

— Wiem o wszystkiém—odezwał się ojciec zmierzwszy ją okiem surowém—wiem... nie tyle ty winna jesteś ile matka, i ten niepoczciwy młokos...

— Matka! kochany ojcze!—łamiąc ręce porwała się Lola—ona, on, ale cóż za wina ich? jaka moja?

— Cicho, dziewczyno! nie kłamać przedemną!

Lola zbladła, łzy potoczyły się jej na twarzy perliste, a serce zaczęło bić tak żywo, że ruch jego zdradzało pokrycie: przestraszone-mi oczyma szukała matki.

— Przyszedłem tu po to tylko—rzekł ojciec—abym ci zapowiedział jedno: nie ludź się żadną nadzieją. Wszystko to coście marzyć mogli jest szaleństwem, grzechem i hańbą: prędzejbym umarł, niż na to pozwolił! Mogła matka przez słabość pobłażać, mógł on mieć w tém swe rachuby, mogłaś ty uledz niedoświadczona; ale to intryga brudna, której ja nie dopuszczę dokonać.

— Kochany ojcie — siadając na łóeczku odezwała się Lola odważniej, niżby się spodziewać można, — jeśli tu kto winien, to ani matka, ani on, ale ja jedna! Grzech ten zrodził się w sercu mojem, urosł w niem nim go postrzegłam, wybuchnął nim wiedziałam, że to wina i plama. Matka cierpiała za mnie, on cierpi: jam jedna występna.

— Dosyc mi tych deklamacyj! — przerwał ojciec — zostaw mi sąd o tém; wiedz tylko jedno, że umrę raczej niż dopuszczę abyście choć nadzieję mieć mogli; że pod błogosławieństwem ojcowskiem, słyszysz: że pod błogosławieństwem, zakazuję ci myśleć o tém. To jest moja wola i niezmienne postanowienie.

Lola powoli upadła bez tchu na poduszki, a gdy weszła, a raczej wlokąc się powoli wciśnęła matka, już oczy jój stanęły słupem, ręce się ścisnęły, zęby zacięły, i omdlenie w kość i marmur obróciło ją całą.

— Wody! ratunku! lekarza! — załamując ręce wołała biedna matka — Lolu! dziecko moje! serce moje! to ja!

„ Nie spojrzała na męża, nie był to czas czynienia wyrzutów, bo i sam Hrabia zatrzymał się przelękły, nie wiedząc co począć, jak się tłumaczyć, i niepokojąc o skutki swojego uporu.

Słudzy rozbiegli się po leki, Lola leżała jak martwa. Marya wskazała tylko mężowi ręką aby wyszedł, a Rajmund posłuszny tą razą znikł za drzwiami.

Sam uczuł, że widok jego przy rozbudzeniu mógł córkę znowu o ten sam stan przyprawić.

Nie rychło otwarły się jej źrenice, usta przepuściły westchnienie, oczy lży; pierś znowu wciągnęła powietrze i rączki schwyciły za bolące serce.

Budząc się dziecina najprzód szukała matki i rzuciła się na jej szyję, tuląc główkę w objęciach.

— Uspokój się, uspokój, uśnij, odpocznij; pomódl się droga Lolu: w Bogu zawsze nadzieja!

— O! dla mnie nie ma nadziei! ja noszę na sobie przekleństwo ojca, bo nie kochać go nie

mogę, bo nie myślę o nim nie potrafię, a ojciec przeklął nas oboje.

— Dziecko moje, to ci się tak zdało; jam słuchała: on nie to powiedział.

— Serce moje to uczuło.

I jakby opamiętawszy się powiodła oczyma szukając ojca, a nie znalazwszy go, zamilkła.

Stan jednak Loli pogorszył się mocno i lekarz wezwany, który nadjechał wieczorem, zostając przy chorąg, prosił, aby po drugiego posłano.

— Nic tu nie jest jeszcze—rzekł do matki—ale zawsze, ja nie jestem tak biegłym na słabości kobiece lekarzem; wolę mieć kogoś do pomocy. Ze mnie konował; dobrze to, gdy sobie prosty człowiek nogę skaleczy, ale nie gdy dziecko dorastające roznerwuje się, a jeszcze tak delikatne.

Hrabia milczący pozostał chwilę, ale widząc sam że sobie nieopatrnie postąpił, nie umiając poradzić, nie chcąc swych słów odwołać, nie mogąc inaczéj się odezwać, pożegnał żonę i odjechał nie mówiąc słowa. Marya nie robiła mu wymówek próżnych; milcząc przyjęła

zimne jego pocałowanie i rozstali się chłodno, z bólem w sercu oboje.

— To dziecko zgubione — rzekł siadając do powozu Rajmund — pieśczołami, pochlebstwy: na to nie ma już ratunku.

U państwa Jędrzejostwa oczekiwano niecierpliwie przybycia Jerzego, którego spiskowi sprzysiężeni przyjaciele domu, obowiązali się żywcem lub martwego dostawić pannie Anecie.

Sam Jędrus mocno za tém latał, matka pracowała pocichu, a Aneta spokojnie jak pieśczone dziecicę, oczekiwala pewnego już skutku. Chciała, — więc być musiało.

Nie mówiono jęj nic o poczynionych staraniach, bo o nich wiedzić nie była powinna, ale dziewczę przebiegłe łatwo się ich mogło domysleć.

Doniesiono wreszcie, że Jerzy już jest w sąsiedztwie, spodziewać się go zaczęto lada dzień, lada godzina, nie wątpiąc na chwilę, że go przywiozą. Ludzie nawet przygotowani byli na wypadek gościa, i paradne serwisy stały

poprzykrywane serwetami i owoce w szafach pod kloszami czekały; a Jędrus doglądał tylko aby na zawołanie wszystko w całym blasku stanęło.

Tymczasem dni mijały, a Jerzy nie przybywał.

Po obiedzie, trzeciego dnia próżnych oczekiwań, postrzeżono bryczkę w tumanach kurzu, a Jędrus wpadł do żony zdyszany z niespodzianką, że jadą od strony Robowa.

Z tego jada, zrobiło się wkrótce tylko jedzie, bo to był Max, który dłużej nie chcąc ich trzymać w niepewności, sam przybywał co rychlej ze złą nowiną.

Jędrus nań już czekał w ganku,

— A? co to? sam?—spytał.

— Sam,—rzekł Max, ale obawiał się spowiadać przed Jędrusiem, który zresztą czując swoje nicość, nie miał do tego pretensyi, i poszedł tylko za gościem do pokoju żony.

Stasia obejrzawszy się, przyjęła go dość kwaśno.

— A cóż? a on?—spytała.

— A on? — powtórzył wciskając się pod łokieć Maxowi Jędrus. I.

— Licho wie co mu się tam stało, — zawołał Max zachmurzony — prosiłem go, ciągnąłem, namawiałem.

— Więc cóż? — przerwała Stasia.

— Odłożył to dla niezmiernych zajęć... interesu... nie wiem tam co, strasznie zakłopotany.

— Ale trzeba mu było powiedzieć, że go Stasia bardzo a bardzo prosiła — rzekł Jędrus naiwnie — pewnie mu tego nie powiedzieli.

— Ale cicho! — przerwała żona.

— Tak jest! cicho! Właściwie — poprawił się Jędrus — nienależało mu powiedzieć tego wyraźnie, ale dać do zrozumienia.

— Ja mu różne rzeczy dawałem do zrozumienia, ale zajęty i uparty...

— A doktor? — spytała matka.

— Doktor pracował także...

— A finalnie cóż on na to? — spytał Jędrus.

— Cicho-bo, panie Jędrzeju!

— No, jak cicho to cicho! — rzekł do siebie ustępując się męż.

I stanął zakładając ręce jak Napoleon, co było jego metodą w obec ludzi, gdy chciał dać delikatnie uczuć żonie, że sobie już zanadto z nim pozwala.

— To dziwak, to zupełny szalenię — dodał Max.

— Ja zawsze od początku mówiłem jedno: szalenię, — rzekł Jędrus.

— Ale cichoż, panie Jędrzeju!

P. Jędrzej ruszył ramionami.

— Ale jakże się rzeczy miały, mów pan — powtórzyła Stasia wskazując krzesło.

— Robiłem co było można: nie dał się wziąć.

— Nas przecie nie skompromitowałeś — spytała gospodyni.

— A! uchwaj Boże!

— To głupiec! — rzekł pocichu Jędrzej.

Gdy tak rozmowa pocichu się toczy w pokoju samęj pani, niecierpliwa Aneta wbiegła, rzuciła okiem po twarzach i zrozumiała wszystko: odgadła niepowodzenie, ale natychmiast przybrała pozór obojętności i wesela. Maxa przywitała śmiejąc się, zaczęła szczebiotać,

i, aż się wszyscy zdziwili, tak potrafiła panować nad sobą.

— Po co jęj ten cudak!— rzekł Jędrus oszukany, w duchu— ona sobie żartuje z niego i ma rozum.

Matka to jednak inaczej zrozumieć musiała i wyszła z nią po chwili do drugiego pokoju, a potem powoli w ganek od ogrodu.

— Nie ma tu co grać w ciuciubabkę, moja mamó— odezwała się Aneta pierwsza, — kiedy ja tak dobrze widzę jak i wy... Max przyjechał z raportem że Jerzy nie będzie, nie prawda?

— Ale on nie miał czasu, moje dziecko— odpowiedziała zafrasowana matka.

— Rozumiem wszystko, i to żeście się niepotrzebnie o niego starali, i jak on sobie z nami postąpił. Trzeba się mnie było poradzić: to do niczego wszystko.

Matka zafrasowana milczała, Aneta z zaciętymi od gniewu usteczkami, stała przed nią pozornie spokojna, ale w duszy rozdrażniona.

— Nie ma co tacić! ja go kocham, on mnie nie kocha; kocha Lole, czy nie wiem tam ko-

go, ale ja go muszę mieć, mieć będę — dodała tupiąc nóżką — musi być i będzie moim!

— Cicho! na Boga! — przerwała przestraszona Stasia.

— Cicho? dlaczego? — spytała Aneta — niech słyszy kto chce, on sam; co mi to szkodzi! On będzie moim! dobrym czy złym sposobem, dziś czy jutro; mieć go chcę i będę. Raz w życiu zabiło mi serce i nie pozwolę, by uderzyło darmo! Rozpaczać nie myślę, rozpacz rozum odbiera; płakać nie będę, płacz oczy psuje: ale przysięgam, musi być moim! będzie!

Wyraz z jakim te słowa wyrzekła Aneta czynił je przerażającymi jak groźba śmierci; szatan nie inaczej musiał wypowiadać wojnę Bogu, jak ona wypowiadała ją ukochanemu. Matka przelęknęła się i zadrżała, tak straszne w tej chwili wydało jej się własne dziecko.

— Co mówisz? na Boga! pomiarkuj się dziecko moje! — zawołała.

— Stało się, przysięgam i dotrzymam przysięgi. Jak? kiedy go mieć będę? nie wiem: ale będzie moim. Jeżeli się ożeni, wydrę go

żonie; jeśli uciecze, dogonię: jeśli odepchnie—zabiję!

— Aneto!—krzyknęła matka dostając spazmów—to szal! to okropność!

— Tak! to szal!—spokojnie domówiła dziewczyna—ja wiem, ale to nic nie pomoże: Kocham go. A teraz—dodała zimniej—proszę cię matko, żadnych w mojem imieniu starań bezemnie, ani słowa, ani kroku; jestem sama dość silna, by pokierować sobą i zwyciężyć los jeśli mi się oprze. Ani słowa ojcu, nikomu... Widzisz żem zdrowa, przytomna, pewna siebie, spokojna; dość tego: nie jestem dzieckiem.

Wróćmy do gości.

I z twarzą na której tylko lekki rumieniec dowodził świeżo przegorzałego uczucia, Aneta śpiewając jakąś piosenkę przeszła do salonu, usiadła przy Maxie i spokojnie rozmawiać z nim poczęła o rzeczach obojętnych.

Nawiasem ktoś powiedział, że Lola chora, a Aneta mocno się nad jej losem poczęła użalać.

— Nie dalej jak jutro pojedziemy do niej, mammo.

— My! a pojedziemy.

— O! pojedziemy!— dodał Jędrus.

— Ja tak kocham tę biedną Lolę, ten śliczny kwiatek naszej doliny! — dodała Aneta.

Max natrącił coś o Jerzym, a dziewczę odezwało się obojętnie:

— Co to za szkoda że tak zaniedbany, tak zdziczały, że tak późno wszedł w lepszy świat, wnosząc już weń nałogi i obyczaje innego życia.

— Jaki to rozum u tej dziewczyny! — szepnął Jędrus—niech ją... anieli kochają! Ja zawsze mówiłem, że im się ta miłość jakaś przywidziała; przecież sama mówi że dziki... Ale one mnie tu mają za głupiego! cóż robić!

Max, który niedaleko widział gdy nie o niego chodziło, dał się tak wziąć jak i drudzy: jedna tylko matka jaśniej to rozumiała, ale przerażona milczała.

Tak skończył się spokojnie wieczór, a nazajutrz pan Jędrzej odebrał formalną dyspozycją kazać zaprządz do karety cztery gnia-

de konie, gdyż panie jechać miały do Hrabinej.

Aneta wstała spokojną, tylko oczko jej błyskało czasem jaskrawym ogniem przytłumionego gniewu; ubrała się czarno, ułożyła twarz smutną i zadysponowawszy ubiór dla matki, bo i to od jej rozporządzenia zależało, punkt o drugiej siadła do powozu.

Podróż minęła w milczeniu, a gdy wysiedli przed gankiem i weszli do salki, zrazu nie zastali nikogo.

Po chwilce, nie ubrana, z zapłakanemi oczyma, biedna Hrabina wysunęła się zmieszana do swoich gości, bo na wsi niepodobna ich nie przyjąć, choćby kto konał w domu.

— A! cóż to pani dobrodziejce? — spytała Stasia — czy nie chora?

— Ja, nie; córka mi słaba: pojdziesz pani niespokojność moję — odparła Hrabina — jedyne dziecię!

— Cóż to takiego? przecież nic groźnego.

— Nie wiem: dla matki wszystko jest groźnem, moja droga pani...

— Teraz to panują katary, febry, i moja Anetka, także przez dni kilka była dosyć nie-domagającą...

— Mogę pójść zobaczyć kochaną Lolę? — przerwała Aneta.

Hrabina zafrasowała się.

— Nie wiem, może zasnęła...

— Ja wejść na palcach, nie zbudzę jej; zobaczę: tylko takbym chciała ją widzieć! Proszę mi pozwolić: trafię sama.

I nie czekając pozwolenia wsunęła się Aneta z jedwabnym sukni szelestem jak wąż do ciasnych drzwiczek, przez pokoiki sunąc, aż do łóżeczka, w którym leżała chora.

Lola była napozór spokojna, ale strasznie zmieniona; oczki jej choć suche, zdawały się świeżemi wypalone łzami, źrenice powiększone, policzki wpadłe: pierś podnosiła się często i gwałtownie.

— A! cóż ci to jest, Loleczku! — przybiegając do niej zawołała Aneta — co ci to? chora jesteś?

— Tak, trochę...

— Wiesz, i ja byłam niezdrowa! — dodała Aneta siadając w jej nogach — ale nam młodym

tylko chcieć trzeba aby się dźwignąć. Nie słuchaj tylko doktorów; zobaczysz, siły ci przybędą, byleś wstała.

— A jakie rączki masz gorące? — rzekła biorąc ją za dłoń białą — czy masz pragnienie?

— O! wielkie!

— Nie mówmy o chorobie! to dzieciństwo! przyszło i przejdzie. Był tu kto u was, mieliście gości? My siedzimy jak zamurovani... A! co to za nudna okolica?

— U nas było kilka osób, ale ja wolę samotność!

— Był Emil?

— Był parę razy.

— Śliczny chłopiec: podobał ci się?

— Nie wiem, doprawdy nie przypatrzyłam mu się nawet.

— Żartujesz chyba, bo cóżbyśmy robiły biedne dziewczęta, gdybyśmy choć w oczy chłopcom nie spoglądały — dodała śmiejąc się Aneta. — Prawda, że nic pociesniejszego jak nasze z nimi na oczy rozmowy... Oczy daleko wyraźniej mówią niż usta: nieraz się uśmieję myśląc do czego służą te nasze rozmowy sło-

wami, gdy wejrzenia daleko jaśniej tłumaczą bez ogródki, odrazu, co w sercu i myśli.

— A, mój Boże, ja tego nigdy nie uważałam! — słabo odezwała się Lola.

— Przypatrz się tylko kiedy... Język to tak jasny i zrozumiały, a tak nic nie kompromitujący... Wchodzi, kłania się ceremonialnie, mówi o pogodzie i deszczu, a oczyma pyta: Będziesz ty mnie kochać czy nie?— Ja mu na to powoli odpowiadając o pogodzie: Nie wiem, zobaczę. — Patrz, jestem bardzo przystojny, mówią znów jego oczy. — I ja też nie jestem brzydką, odpowiadają moje. — Spójrzże na moją postawę... Zobacze moją rączkę i nóżkę... — Pokochałbym cię. — Pokochaj... zobaczę... — Jesteś ładna... Podobasz mi się i tak dalej... A mamy i papy ani wiedzą co się koło nich dzieje, a słowa sobie idą zimne, jak zdawkowa moneta dla dziadów: nie także to moja Lolu?

— Ty to wiesz lepiej...

— Rozumiem! ja daleko już dłużej żyję i doświadczeńsza jestem od ciebie—zawołała Aneta—powiem ci nawet, że tym mężczyznom czy

ustami mówią, czy oczyma, wierzyć nie można: najczęściej sobie żartują lub kłamią.

— Czyż wszyscy?

— O! nie ma wyjątków—zawołała Aneta— dla nich, ja, ty, druga, trzecia, to wszystko jedno; byle piękna, byle młoda, często byle bogata... Myśmy zawsze dzieci, dajemy się tak uwieść jak ta biedna Pułkownikowa, której się zachciało artysty, a złapała pospolitego ekonomczuka... Wierzimy wszystkie gdy serce kochać pragnie, wywołujemy fałszywe wyznania, świętokradzkie zaklęcia; potem te ich łachmany kładziemy na sercu... a!

— Ale czyż wszyscy? czy wszyscy? — powtórzyła Lola.

— Wszyscy są ludźmi — odpowiedziała Aneta—gorsi, lepsi; ale to zawsze ciż sami ludzie: ta sama w nich płochość i niewiara.

— Nie! to nie może być—zawołała Lola—nie mów mi tego...

— Jeśli chcesz, zamilczę—śmiejąc się prze-
rwała Aneta—ale gdyby kiedy spotkać cię to miało, moja Lolu, żeby ci się na świętości największe zaklął człowiek, poprzysięgając wie-

kuistą miłość, co niechybnie przyjdzie rychło, lub może już przyszło...

Aneta spojrzała na nią wzrokiem badawczym, a Lola pokraśniała i zadrżała.

— Wiedz, dziecię moje, że u nich przysięga — kończyła dziewczyna z uśmiechem, — zakłęcie, ślub nawet to igraszka. My tylko biedne bierzemy to na seryo, chwytamy chciwie cacka, a potem serce nam pęka, a oni się śmieją. Dla nich to sobie zabawka, oni tak liczą swoje podboje, jak my bóleści.

Smutnie Aneta zwiesiła głowę, bo smutek należał do programu, był przekonywającym argumentem.

— A! nie mów! nie mów! — przerwała jej Lola, — słuchając tego, serce zamiera. Miałożby tylko złe być prawdą, a wszystko co dobre i piękne złudzeniem?

— Niestety, my-bo, — zawołała Aneta, — przychodzimy na świat z jakimiś pozaświatowemi o nim pojęciami, a póki się człowiek nie zrezygnuje na prozę, dużo ucierpieć musi.

— Ale to tak nie jest! Czyżes ty miała czas tyle ucierpieć, by się tak wiele nauczyć?

— Ja? Jeśli chcesz prawdy, nie jedno mi się zdarzyło w życiu. Ale dziś, to rzeczy powszednie: wiem, że serc niema i nie szukam; dobieram sobie twarz, człowieka, sługę, faworyta, cacko jakieś: więcej nie chcę. Ja mu się nie poddam, on poddać mi się musi; miłości nie chcę: potrzebuję posłuszeństwa. Miłość, to dziecinny sen o białych aniołach.

Lola już nic nie odpowiedziała, ale chłód ogarnął ją przykry i serce się ścisnęło. Aneta jakby wrażenia nie postrzegła, mówiła dalej powoli:

— I ja przechorowałam na miłość; to tak jak szkarlatyna, raz w życiu przebyć ją potrzeba: potem już człowiek wolny na zawsze. Albo się z tego umrze, albo wyzdrowieje i potem już nic.

— Ty kochałaś?— spytała Lola.

— A! jak! jak kochałam! tak jak ty kochać będziesz, gdy pokochasz — zawołała Aneta, — i płakałam, i modliłam i chorowałam, i przysięgałam jemu! On mnie przysięgał i zamieniliśmy pierścionki...

Lola zbladła jak marmur, oddech się w jéj piersi powstrzymał.

— Chodziliśmy razem po księżycu, pisaliśmy listy, płakaliśmy sparci na ramionach naszych.

— A potem?

— A potem on znalazł bogatszą i młodszą.

— A ty?

— A ja? płakałam jeszcze trochę, chorowałam i pogardziłam nim i *niemi*.

— A! trafiłaś nieszczęśliwie! żal mi cię.

— Traf ten wszystkie nas spotyka; nikt nie jest szczęśliwszy: tylko jedna z nas przeboleje, druga gorzej, bo pójdzie do ołtarza, by w rok albo prędzej, jak Pułkownikowa zobaczyć, że Max genialny artysta, jest panem Maksymilianem kandydatem na podsędka, lubiącym barszcz z rurą i zrazy. Wzdychajże z nim po księżycu?

Tu szczebiotanie się urwało, bo Hrabina przeczuwszy, że zbyt długą rozmową córkę znużyć może, weszła z panią Jędrzejową, i salon przeniósł się do łóžeczka Loli.

Ale co się stać miało już się stało: w duszę Loli wstąpiła niewiara, zwątpienie; obok rozpacz stała obawa, przypomnienie słów, które ją mogły potwierdzać, tęsknota, gorzkie przecucia. Odpychała je dusza dziewczęca, ale te mary gdy raz przyjdą i staną u łoża, już ich nie odegnąć niczem.

Jak w duszy pobożnego człowieka, wątpliwość sceptyka i uśmiech niedowiarka wiecznie szatańskim piętują się przeczeniem, które i na modlitwie przychodzi; tak w sercu dziewczęcia zaszczipiona nieufność, przypomina się nawet wśród uścisku szczęścia.

Człowiek przynosi z sobą zapas wielki miłości, nadziei, wiary, kwiaty te młodość rozwija; lecz jak w kielich perskiej róży, gdy na nią kropla ranniej rosy padnie, już się pączek nie roztworzy, a plama i rdza zjadają go mimo słońca: tak mała rosy kropelka, tysiącna lży cząsteczka, co się do serca zakradnie, już uczuciu rozkwitnąć nie da.

Niepostrzeżony to znaczek na listku, plamka niedojrzana, ale z sobą śmierć przyniosła.

Jerzy powracał do Horycy rozręskniony, zbolęły; stanowczo odmówił bytności u Jędrzejostwa, nigdzie nie mógł się pokazać w tym stanie ducha: sam potrzebował być z sobą. Przez całą swą podróż, którą odbywał dość powolnie, mimowoli porównywał swobodną swą przeszłość, z trosk pełną chwilą terażniejszą. W sercu, w myślach wiele się rzeczy zmieniło; nie pomógł opór przeciwko światu, opasała go powoli żelaznym kołem niewola, z której ledwie kilka lat młodszych wyrывa. Odzyskać znowu tych chwil swobody cygańskiej nie było już podobna: dojrzałe lata przybyły z obowiązkami, z trudem i znojem, od których tylko egoizm mógł wyswobodzić. Jerzy lepiej zaczynał pojmować życie i treść jego, którą jest boleść; postrzegł, że kto ma serce cierpieć musi i wpleść się koniecznie w ten Holbejnowski taniec życia, z którego wyniść nie można, chyba do mogiły.

Więc wszystko było marzeniem, mówił sobie, więc ofiary i sny z przebudzeniem znikły jak mgły poranne! Z jednej strony przybrana matka, z drugiej ukochane dziewczę, dalej ro-

dzice, starzy słuźy i przyjaciele, nad których losem czuwać było potrzeba: wszystko to trzymało w związku ze społeczeństwem, w konieczności pracy, podległości, czuwania...

Ale pojął, że to co się poświęca światu i ludziom, płaci się serdeczną pociechą, i pierwszy raz zbliżając się do Horycy, zrozumiał rodzinę i słuźycz domowej strzechy... Tu nań czekano! było serce! oczy, co nań wyglądały.

W miasteczku schwycił go ks. Mizerya na drodze i uściskał nie mówiąc słowa.

— A, widzisz — przemówił po chwili — mizerye ludzkie, co to Pan Bóg robi! wielki z Niego majster! Wróciłeś do ojcowizny, będziesz się modlił w tym kćciołku, który dziada twego pamięta, i jeszcze mi w tym roku każesz łąkę wykosić. Bo to ja koniki hoduję, a siano już grubieje; to szuwar, na nic potem, a ja robotnika nie dostanę. Proszę, proszę: nim się kto zlituje i z kosą pójdzie, to drudzy już w stogi złożą.

— A! mój ojczel! i łąkę skosim i odmienim ją, jeśli zechcecie.

— O! już odmienim? — zawołał ks. Mizerya — stój chłopcze, niech sobie i szuwar będzie byle stary a mój: ja się z nim znam, a wy mi nowy dacie, to znów będzie sam hnidnik albo łoża: o nie! starych przyjaciół niepotrzeba mieniać. A co to ja tam na téj łące pacierzy namówiłem, a nakląłem grzeszną gębą w czasie sloty!

Ale cię już nie wstrzymuję, — dodał, — jedź, jedź, czekają tam we dworze: Paweł ciągle, słyszę wychodzi na zwiady ku grobli i rusza ramionami, że ciebie nie widać. *Deus te reducat*, bywaj zdrów moje dziecko, a kósarzy mi na wiosnę przysłać nie zapomnij, otawy ja kosić nie będę: *non bis in idem*.

Przybycie panny Izabelli wiele bardzo smutny dom Horycki zmieniło; ta co dla siebie nigdy o wygody i piękność nie dbała: pół wieku przesiedziawszy w opuszczoném domostwie miasteczka, tu dla przybranego dziecka krzątała się chcąc wszystko jak najwygodniejszem, miłym i wesołym uczynić. Stracony smak i poczucie piękna odzyskała, a Horyca w jój ręku wyświeżyła się do niepoznania, przynajmniej zewnątrz. Wewnątrz bowiem pusto, tylko

na górze pokoje przyozdobiono, dół jak był zostawując dla pamiątki, i zachowując nietykalnemi mieszkania Lacyny, Pawła i Radwanowicza, którzy się byli do nich przyzwyczaili.

Izdebka Siermięzkiego pełna makuter i przejęta wyziewem tabaki, schnących liści, próbek, niewodów, rupieci bez wartości, które wiek i nałóg gromadzą, nietkniętą wśród odświeżonej góry została. Drzwi tylko od niej pomalowano, co Pawłowi nie do rzeczy się wydało.

Życie nowe wstąpiło w zamarłą Horycę. Zbliżając się do dworu, choć osmucony wspomnieniem Loli, Jerzy uczuł się jakby weselszym, był u siebie, miał rodzinę. Brakło tu tylko téj, której uśmiech byłby rozjaśnił i ożywił wszystko, bez której już dla niego nigdzie spokoju i szczęścia być nie mogło. Wspomnił tu i westchnął wchodząc na próg, w którym powitała go panna Izabella.

Kto ją widział przed niedawnym czasem w Pińsku, a byłby ujrzał teraz, mógł jej nie poznać, tak przeistoczyło ją szczęście i zamiana uczucia zemsty i nienawiści przepalającego, na

pocziwe miłości i przywiązania uczucie. Żyła teraz tak w Jerzym, jak długie lata gryzła się pragnieniem zemsty nad ojcem jego. Wprawdzie twarz jój postarzała; bo i szczęście przychodząc nagle zjada człowieka; ale twarz jój jaśniała pogodą, oczy śmiały się spokojem, a kiedy rękę podała Jerzemu, dłoń jój od radości drżała. Przykro jój tylko było spojrzawszy na twarz syna, znaleźć na niej ślady cierpienia, zadumę i troskę już rozpoczętego życia.

Razem z p. Izabellą, Lacyna i Radwanowicz, dwór nieodstępny, przywitali w progu młodego pana; Rejentowicz był wesół, wyświeżony, rumiany do zbytku, co zawsze przypisywano wódce do poduszki, którą się bronił od bólu zębów. Radwanowicz nie schudł wcale, a z założonemi na tył rękami i okrągłą jak księżyc w pełni twarzą, miał minę niezmiernie poważną.

Serdeczne przyjęcie na chwilę tylko rozjaśniło oblicze chłopca, które zaraz posmutniało znowu; brakło mu jój, nie wiedział co się z nią działo: niepokój go uciskał.

P. Morosz nie śmiała pytać go o nic, przeczuwała, odgadła złe z oczów, ale starała się nie drażnić go nawet troskliwością zbyteczną. Wszyscy zaraz skupili się około młodego pana, który im powracał niosąc nowe z sobą życie. P. Izabella powiodła go po domu, aby mu porobione w nim pokazać zmiany.

Każdy czems się miał pochwalić: Paweł sypialnią, w której przybór myśliwski i różne wygodki uporządkował i zgromadził, p. Izabella kwiatami, Lacyna gospodarskimi rejestrami i spisami, które położył na oku, Radwanowicz projektem ułożenia systematycznego biblioteki, który od lat kilkunastu ciągle poprawiany, na zawsze miał pozostać w tece autora.

Zacny ex-professor uznawał potrzebę jakiegoś porządku, ale zarazem przeczuwał, że był już za stary, aby się nim posłużyć i w cichości postanawiał *statu quo* utrzymać, czemu się nikt nie sprzeciwiał.

Kiedy wreszcie z gorliwością się swą popisawszy, wszyscy się rozeszli, pocichu sobie szepcząc postrzeżenie, że panicz czegoś bardzo

smutny powrócił; p. Izabella powiodła go z sobą na górę, a towarzystwo dworskie, Paweł, Lacyna, bibliotekarz zeszli wzdychając do izdebki Radwanowicza, aby wziąć pod bliższe rozpoznanie co wyczytali na jego twarzy.

Paweł pierwszy kwestyą zagaił.

— Nieswój, — rzekł, — nieswój; nawet oto kiedy mu ten majątek odbierali ten Sędzia z Burdą, nie można powiedzieć żeby nie był weselszy: dzisiaj powrócił jak przybity.

— Oczywiście rzecz, że to nie bez kozery — odparł Radwanowicz powoli — fizys nie zwoździ, zkąd fizyognomonika, nauka jak świat stara. Świat *mundus immundus*, stary upudrowany popiołem popielcowym intrygant... Intryga i miłość — *Kabale und Liebe*, Schiller, Goethe, poezya niemiecka, Germania, Arminius, Tacyt... Cezarowie, Rzym; i widzicie państwo że wszelka droga do Rzymu prowadzi.

— Oto! już pojechał! — wykrzyknął Lacyna ruszając ramionami.

— A cóż? wszystko w doskonałym związku — rzekł Radwanowicz — czego się W Pan skarżysz? co pleciesz!

— W Pan sam pleciesz! — odburknął Rejentowicz.

— Ja plotę! słyszycie!

— Expresse W Pan sam! — powtórzył Lacyna — co ma za związek panicz z Rzymem...

— A ja ci pokażę iż ma... Rzym, zaraz i Romulus... Romulus fundator nowego Rzymu, Jerry założyciel nowój Horycy, a wilczyca...

— Otóż patrz, pannę Izabellę zrobi wilczycą!

Radwanowicz plasnął się ręką po ustach i głowę schował w ramiona jak złapany na uczynku.

— Nie, rzekł, wilczyca, to oczywiście Seredowiczowa.

— At! przystąpiło do nich! — przerwał Paweł — zawsze te głupstwa! Co jemu jest!

— A coby miało być — odparł Lacyna wracając do przedmiotu — on się musi kochać, bo u młodego kiedy na czole smutek, to nie chybi kochanie przyczyną.

— Jest racya — przerwał Radwanowicz — kochanie, *amor*, co na wywrot *Roma* znowu: cudny związek rzeczy! *Amor omnia vincit... Veni, vidi, vici*. Cezar! komentaryusze... i...

— Ah! dałżebyś pokój!—krzyknął Lacyna.

— Nigdy mi WPan mówić nie dajesz i sens nawpół rozcinasz!—boleśnie westchnął professor.

— Jak gdybyś kiedy WPan mógł mówić z sensem--westchnął Rejentowicz.

— E! to już do osobistości dochodzimy!—obruszył się bibliotekarz—zład honor obrażony, *honores mutant mores sed raro in meliores...*

— I znowu jedzie!—westchnął Lacyna.

— No! no! nie bój się WPan, powróci—dodał Radwanowicz.—O czymże mowa? o miłości naszego panicza, pamiętam...

— To już cała bieda,—rzekł Paweł—jak się nam jeszcze to lichy domiesza, nie damy z nim rady, póki go nie ożenim.

— Ale to najgorsza rzecz—szepnął na ucho Lacyna Radwanowiczowi—że kocha się, jak mówią w córce stryja, a swojej siostrze stryjecznej...

— Ehe! a prawo kanoniczne pozostało wlewo!—krzyknął professor;—nie będzie z tego słodu piwa! źle! źle! Wprawdzie historia nam

przedstawia mnóstwo związków podobnych, a nawet daleko bliższych... ale religia kładnie *veto* i przeklina...

Paweł pokiwał głową.

— To jeszcze może być nieprawda — przerwał — drudzy mówią o Anecie Żelizance; niczego panna, ale nadto rozumna i dużo już przebierała: oj to organista!!

— Przebierała! oczywiście organista! — podchwycił professor — zkład organy i nowy organ Bakona, o którym wy nie wiecie, i Logika i Arystoteles i znowu mój kochany Alexander Macedoński.

— Ażeby go diabli wzięli! tego Macedońskiego i z WPanem razem... — krzyknął Lacyna.

— Niechże mnie, ale za cóż Macedońskiego! nieszczęśliwego! — jęknął Radwanowicz.

— Bo mi dokuczył! ciągle wyłazi...

— A ma do tego prawo najzupełniejsze — odparł Radwanowicz — pójdę z WPanem o zakład, jeśli chcesz, choćby o kopę gruszek, zaczynij sobie WPan od czego chcesz, a ja ścisną

logiką dojdę zawsze do Alexandra Macedońskiego, a zresztą do czego ci się podoba...

— Z nim już gadać nie można...

— Ale i milczyć trudno — dodał zaraz Radwanowicz — więc cóż robić? dwie ostateczności: którą sobie wybierasz?

— A już milczę.

— Że się młody pokocha — rzekł powoli Paweł, który na intermedia rozmowy Radwanowicza i Lacyny wcale nie zważał — i nie powinna i nie grzech; ale czy to koniecznie ma już być ta jedyna i koniec? Drudzy się i w dieścieciu kochają nim na swoją natrafiają: ot i ja sam...

— E! ja we dwudziestu się kochałem — przerwał Lacyna — toby to było nic; ale kto jego wie jakie u niego kochanie. To zważcie państwo, że jaki człowiek taka u niego *expresse* miłość: człowiek lekki, miłość lekka.

— A jeśli ciężki to ciężka — wtrącił Radwanowicz — *pondus, ponderabilis*, a ztąd zaraz...

— Dajże mi pokój i nie przerywaj — ofuknął się Lacyna — nasz pan wygląda że wszyst-

ko bierze na seryo, więc jeśli i miłość weźmie na seryo, może być bardzo źle...

— Świadkiem historia i Abellardus, który był bardzo uczony człowiek, tak uczony że aż heretyk; jednak jak się zakochał w mniszce Heloizie, mości dobrodzieju, przepadł... Zkąd listy Heloizy, nowa tedy Heloiza Russa i mnóstwo Heloiz tandetnych... zkąd...

— Dosyc, że ty zawsze swoje brednie wtrącić musisz.

— Nieuchronnie— potwierdził professor— ale jakże, kiedy WPan zawsze mówisz z sensem, to dla równowagi europejskiej mój nonsens jest gwałtownie potrzebny. Koniec końcem my tu nic nie uradzimy i ja solwuję sessyą.

To mówiąc Radwanowicz wstał, i uczuwszy potrzebę przechadzki, pociągnął uspokojony ku miasteczku, pewien, że Pan Bóg w takich rzeczach lepiej radzi od ludzi.

W pokoju panny Izabelli ważniejsza pociachu wiodła się rozmowa. Tę chmurę na czole Jerzego, którą postrzegli domowi, widziała

i ona; gdy więc zostali sam na sam, odezwała się:

— Nie śmiem cię badać, ale jako twoja przywiązana matka i przyjaciółka, chciałabym wiedzieć z czém powracasz.

— Bez nadziei, ze smutkiem tylko — rzekł Jerzy — i z mocném postanowieniem wytrwania w uczuciu, które żyć musi we mnie, do śmierci.

— Widziałeś Lolę?

— Widziałem ją chorą, biedną, znękaną, we łzach, i pożegnaliśmy się tak, jak na długą wieczność... przyrzekając sobie tylko wytrwanie.

— Jakże przyjęła cię matka?

— Smutnie; ją to przywiązanie przeraża: widzi w niém grzech i przekleństwo...

— Wszak to są rzeczy, które przewidzieć było można z góry, którem przeczuła i dla których, jakkolwiek mi tu dobrze i spokojnie, choć odwykłam od świata, ludzi i odwiedzin, muszę do nich pojechać...

Jerzy wstał wzruszony.

— Jakto? chciałabyś?

— Muszę pojechać: może i moje słowo coś potrafi, może uspokoić, może na inne naprowadzi myśli, pocieszy, złagodzi... Chcę widzieć twoją Lolę, pomówić z niemi, jak z rodziną mojego syna. Wprawdzie przyjdzie mi to ciężko, ale czegożbym nie zrobiła dla ciebie? Mam przeczucie, że ta podróż przyda się na coś... Zobaczę się z Hrabinią, z Hrabią nawet, z którym jeszcze mam resztki interesu przedaży; wezmę z sobą Żerebę: nie trzeba zwlekać...

— A mnie nie wezmiesz?— spytał Jerzy.

— Nie: ty nie pojedziesz— odpowiedziała panna Izabella— będę swobodnicjszą sama... Zostań; miej nadzieję: czekaj...

— Ale mogęż ja mieć nadzieję?

— Zawsze ją mieć potrzeba— odpowiedziała przybrana matka.— Widzisz że czasem nawet w starości przychodzi babie lato ze słońcem i pogodą, jak dla mnie, dla której wszystkie już były nadzieje pogasły.

Ta podróż tak szybko przedsięwzięta, nie była wcale łatwą, jak się na pierwszy rzut oka zdawała. Występując jako przybrana matka Jerzego, chciała p. Morosz pokazać się

przyzwocie, a długie zasiedzenie w domu, opuszczenie się, tysiąc potrzeb zbytkownych uczyniło dla niej obcemi.

Musiano więc nagle wszystko zbierać, skupować, ściągać, urządzać na nowo, a to zajęcie gwałtowne nowém życiem napelniło Horycę. Krzatali się wszyscy począwszy od poczciwego Porciakiewicza, który się coraz serdeczniej do Jerzego przywiązywał, aż do Lacyny, który najgłośniej krzyczał, a najmniej robił, do staruszka Pawła, który gryzł się i swarzył, ale dreptał skutecznie. Radwanowicz tylko ze stoicyzmem filozofa poglądał na ten zamęt i rzucał zdania oderwane tyczące się chaosu, Kafarnaum... o co znowu dziesięć razy na dzień kłócili się z Lacyną, wedle staro-dawnego obyczaju.

Nim powóz nowy przyszedł z fabryki około Stepania, nim sześć koni dobrano do niego, umundurowano służbę, ujeżdżono forysia świeżo z łapciów wyzutego, zaopatrzone garderobę panny Morosz i zebrano do gromady wszystko to, co podróż w kraju naszym czyni nie-

zbędnem mieć z sobą, to jest całe podróżne gospodarstwo przewożne; dobrych dni kilkanaście upłynąć musiało.

Nareszcie panna Morosz była gotową, a cały dwór z Jerzym wyszedł ją wyprowadzać na ganek, żegnać, przestrzegać gdzie wypadało wysiąść na moście, do jakiego dążyć noclegu, żeby noc spokojnie przepędzić i t. d. i t. d. Paweł żałował, bo to była ruchawa natura, że mu niepodobieństwem było rozdzielić się na dwoje i nie mógł napół pojechać z panią, pół z paniczem pozostać.

Teraz próbował on już powoli, potroszeczkę kłócić się z paniczem, tak jak był zwykł ze starym panem, ale mu się to zupełnie nie udawało. Hrabia wiedział, że to Pawłowi potrzebnem było i wywoływał sprzeczki, które się zawsze kończyły czule lub pocieszenie; młody ustępował mu w obawie aby biedaka nie zmartwić i Paweł musiał się cofać, widząc, że drzwi które wylamuje, stoją otworem.

Nie rzucił jednak służby przy paniczu i ślizgał się cały dzień, chodząc niepotrzebnie po

jego pokojach. A że dlań spierać się i narzekać długi nałóg drugą uczynił naturą, obrał sobie Wicka na uciemiezonego, na nim zółć swą wylewając. Nieustannie łapał go na jakimś zdrożnym uczynku, dawał morały, a niekiedy kręcił go nawet za uszy.

Wicek począł z rozpaczny przedwcześnie tabakę zażywać, i to nieco złagodziło starego.

Zresztą też same dzieje powtarzały się w Horycy codzien, często nawet jednemi słowy, bo do nowych brakło karmy świeżej. Jerzy sam pozostawszy, pędził życie, które mu może najlepiej do stanu jego duszy przypadało: jeździł po polach, polował, łamał się z końmi młodemi, chodził na długie przechadzki.

Raz z jednej takiej powracając wieczorem, przyszedłszy do swojej izdebki, zdziwił się mocno, list nieznaną ręką napisany znalazłszy u łóżka na stoliku... Ręka i charakter wyraźnie były kobiece; rozerwał pieczętkę żywo i postrzegł z biciem serca, że list był od Loli.

Nim jeszcze miał go czas przeczytać, zadzwonił na Pawła, dopytując kto go przyniósł,

ale Paweł nie wiedział: podał go ktoś z miasteczka, komuś ze dworu i dojść było niepodobna. Zrobiono poszukiwanie jak najstaranniejsze, ale zdawało się, że oddawca umyślnie się zataił. Po dacie tylko poznać było można, że list musiał przyjść umyślnie i z wielkim pośpiechem.

— „Drogi mój — pisała Lola — obiecałam ci pisać, i choć tak smutną jestem, że nie przyniosę ci pociechy, dotrzymuję słowa. Mama nie wie o liście, muszę się z nim ukrywać: wiem że pisaćby mi nie pozwoliła. Ja sama czuję, że może robię nie dobrze, ale mi tęskno i choć przez ten zimny papier muszę z tobą pomóc. Tak daleko jesteśmy od siebie! tak daleko! Ja tam i myślę nawet do ciebie dobieść nie umiem.

„A! żebyś wiedział jak mi potrzeba ciebie, jak przykre zwątpienie serce mi uciska, i życie wysysa!! Myślę sobie, ty zapomnisz o mnie; myślę sobie, ty mnie kochać przestaniesz, myślę nawet, że przysięga mogła być czczym słowem, które się rzuca na lekko, aby czyjeś serce ukoić: że to wszystko są sny i marzenia

dziecinne dla ciebie, gdy dla mnie to treść życia! to życie samo!

„Nie wiem, chciałabym się wyleczyć z tej wątpliwości, z niewiary, które może rodzi choroba; chciałabym żebyś mi dodał ufności i siły, bo ja, ja ci ich nie prześlę, ja ich już nie mam, mój Jerzy!

„O mój najdroższy, mnie już nie chodzi o to biedne szczęście moje, które pogrzebałam głęboko, ale o wiarę w ludzi, bez którejbym żyć nie mogła. Jeżeli zwątpię o tobie, w kogóżbym uwierzyła? Jeśli zwątpię o ludziach, na cóż mi życie? po co przeszłość?

„A ja wątpię! ja cierpię!

„Napisz mi o sobie, odpowiedz długo; mnie trudno pisać wiele: nie chcę niepokoić mamy, która zagląda co chwila, płacze i martwi się biedna. I jej życie zatrute przez nas zostało! Napisz, napisz mi nadewszystko, że mnie kochasz, tak silnie, tak mocno, jakem ci ja pierwszy raz to powiedziała. Chcę być i będę twoją na zawsze.”

L.

„Wyglądam, proszę cię, błagam choć o słówko od ciebie: ono mi da życie!”

List zdradzał cierpienie, i Jerzy ucałował go przełknięty, rozgorączkowany. Oprócz choroby widać w nim było stan duszy niewłaściwy temu dziecięciu, które z taką wiarą i ufnością na pierś się jego rzuciło.

Siadł natychmiast odpisać, chwytając pióro z boleścią razem i rozkoszą.

„Droga moja siostrzyczko! aniele mój! List twój był dla mnie szczęściem póki trzymałem go w dłoniach, nie śmiejąc czytać; zranił mnie boleśnie. Któż cię napoił tą wątpliwością? Kto cię nauczył nie wierzyć? kto ci natchnął te czarne posądzania i niepokoje? To nie mogło przyjść z ciebie, ja tak znam serce twoje i duszę, że wiem, iż z niej ten czarny kwiat wyrosnąćby nie umiał? Nie wiem o niczem, ale domyślam się przecuciem wielkiego mojego przywiązania do ciebie, żeś ty nie zwątpiła pierwsza. Znam ludzi niewiele, ale serce moje dobrze; za nie ci ręczę, że się nie pokalało kłamstwem, nie zaprzysięgło fałszu, choćby nim życie okupić miało.

„Kochałem cię od pierwszego wejrzenia, kocham jak jedyną istotę wybraną, boś czysta,

anielska, boś tobą, a ja nad ciebie nie pojmuje
nie wyższego; kocham cię i kochać będę, a mi-
łość moja to nie igraszka swawolna, to nie za-
bawka dziecinna; ale uczucie wielkie, poważ-
ne, święte, które się nie lęka z czasem walczyć
i z ludźmi wojować. Szanuję siebie, bo ty mnie
kochasz... pragnę życia, bo w niém spotkamy
się jeszcze i dłonie nasze znów się połączą.
Nie, Lolu, siostrzyczko moja nie wąpi': nie
wąpi' nigdy. Mogłażes kiedy na ustach moich
schwycić szyderstwo, w oku fałsz, we mnie
zaród jaki tego, co cię przestrasza?... To myśl
nie twoja, ktoś obcy ci ją przyniósł, z innego
świata.

„A jest ich dwa na ziemi, rozdzielonych ca-
łą przepaścią, i myśmy jeszcze z tego białego
świata, który wierzy, kocha i umiéra; oni
z tamtego, który śmieje się, rachuje i żyje.
Bóg zmieszał te dwa ludzi rodzaje, jak połą-
czył na ziemi drapieżnego zwierza i bezbron-
ne istoty, aby były tamtych pastwą i ofiarą...
Zamiarów Bożych nikt nie przeczyta z życia,
choć księga ta wiecznie otwarta; lecz my jej
pisma nie znamy... Tak jest, ale Lolu droga,

ja nie należę do czarnych, i wolę być pożartym, jak karmić się łzami i bolem.

„Życie moje upływa w ciągłym marzeniu o tobie: chodzisz ze mną, lecisz nademną, jesteś we mnie, czuję ciebie dokoła. Świat mi się innym wydaje, bo wiem, że tam daleko bije to serduszko złote, dziecinne, pocziwe, do którego uderzeń ja mam prawo, które pierwszy raz zabiło dla mnie. Mozeszże pomyśleć, abym szczęśliwy twoim wyborem, tak podniesiony przez ciebie, mógł ten mój klejnot najdroższy zmarnować, odrzucić, sponiewierać? Lolu, jeśli ci myśl zwątpienia przyjdzie, odpchnij ją jak występek... jeśli ja kochać nie potrafię, nie ma miłości na ziemi.

„Spójrzyj na obrączkę moję, jak ja twój pierścionek przyciskam do ust, pisząc te słowa, i wierz, wierz, wierz, bom twój na zawsze.”

Nazajutrz rano chodziło tylko o to jak list ten, do którego jeszcze przybyły przypiski i dodatki, co najprędzej wyprawić. Jerzy nie mógł się obejść bez pomocy ludzi, potrzebował kogoś roztropnego i pewnego. Paweł już

był za ciężki: stawił się na zawołanie Lacyna, któremu musiał polecić wybór i nauczzenie posłańca.

Trochę zarumieniony rodzajem posługi, jakiej od niego wymagać musiał, przystąpił Jerzy do Rejentowicza.

— Kochany Lacyno — rzekł — trzeba żebyś mi pomógł do wysłania tego listu: jest to list ważny.

— Ja to już wiem! — kręcąc wąsa i odchrząkując, odpowiedział Rejentowicz.

— Potrzeba roztropnego człowieka, któryby go mógł zawieźć co najprędzej, nie tracąc chwili, i oddać... oddać... jakże ci to mam powiedzieć.

— Już ja się domyszę, tylko komu proszę J. Pana? — zapytał oehotny pomocnik.

— Siostrze mojej... — dokończył Jerzy — potrzeba go oddać tak... aby... do jej własnych rąk... Znajdziesz mi WPan kogo?

— Najpewniej, znajdę, a nawet już znalazłem, bo *express* ja go sam zawiozę.

— WPan? Nadto jesteś widoczny i znajomy.

— Nikt mnie tam nie zna, a jeśli potrzeba to się przebiorę.

— Mnieby się zdawało, że dosyć prostego, ale roztropnego ze wsi człowieka.

— Już ja to biorę na siebie. Czy ma być odpowiedź?— spytał Lacyna zbyt jakoś pewien, że sobie da radę.

— Nie wiem, nalegać niepotrzeba: to zależy może od okoliczności.

— Mówmy otwarcie, proszę JW. Pana— przerwał Rejentowicz, który to posłannictwo brał bardzo do serca— ja się *expresse* podejmuję wszystkiego, ale proszę mnie dobrze objaśnić.

— Nie mam tajemnic dla starych ojca przyjaciół... jest to list do mojej siostry. Ona chora, potrzebuje odemnie i czeka wiadomości; ale musi się kryć przed ojcem i matką: nikt o liście wiedzieć nie powinien. Oto rzecz cała.

— To się rozumie już,—przerwał Lacyna kładnąc rękę na sercu— to się spełni święcie, jak najlepiej, jak najbezpieczniej; sam jadę, i choćby przyszło głową nałożyć, stanie się jak JW. Pan życzysz. Lacyna w tém.

I z pewną dumą, jakby mówił *Zawisza*, powtórzył jeszcze:

— Lacyna w tém! proszę być spokojnym!

Jerzy, chociaż niewiele w istocie polegać mógł na Rejentowiczu, którego starego trzpiotowstwa nieraz już doświadczył, nie miał w tej chwili i nie mógł użyć kogo innego. Szło mu niezmiernie o to, aby list doszedł prędko i pewno; ofiarujący mu się tak natarczywie, zdawał mu się dobrej woli, roztropny, gorliwy, i tyle dał dowodów swojego przywiązania, że, choć na ten raz, zaufać mu zdawało się możliwém. Pojął rzecz i jej warunki. Jerzy uściślał go, podziękował serdecznie i nagląc tylko o pośpiech, odprawił.

Lacyna ze swój strony niezmiernie był rad temu zaufaniu pana i przedsięwziętej podróży; dawało mu to rolę powiernika, stroiło w nową powagę i potęgę, gorzał gorliwością niezmierną i rzucił się do drogi z nadzwyczajnym pędem.

Radwanowicz i Paweł czekali nań w jego izdebce, gdy wszedł do niej cały przejęty ważnością tego posłannictwa, pocierając czuba,

odchrząkując, prostując się i mrugając oczyma; ale tajemniczy i zamknięty jak Sybilijska księga.

Spojrzał po swych gościach i rzekł z westchnieniem:

— Wyjeżdżam.

— Co? W Pan? jedziesz?— spytał ex-profesor,— jedziesz, a dokądże?

— To mnie wiadomo.

Klasnął na Wicka.

— Pakować tłumoczek.

— Jakto? zaraz.

— Natychmiast.

— I nie wolnoby wiedzieć?

— To moja rzecz,— odparł tajemniczo Lacyna,— proszę się nie dopytywać, bo to sekret pański, to święte... trzymaj język za zębami...

— A no! jak tajemnica to tajemnica,— ruszając ramionami rzekł z cicha Radwanowicz siadając.— Zatem *sub rosa*, stul gębę i nie ma co badać, a nawet radziłbym na drogę aby nie przyszła ochota paplania, albo chustką gębę zawiązać lub plastrem *dyachylum* zalepić, bo z gębą nie żartować; figle płata: z kądem niedy-

skrecya, z kąd kłopot i bieda, i puszka Pandory, która nie była puszką od mydła.

— Już jedzie! — rozśmiał się Lacyna.

— A kiedy W Pan w podróż, to i ja sobie! — odpowiedział bibliotekarz.

Podano tedy śniadanie. Lacyna był bardzo poważny, milczący, nieco pochmurny i całkiem zamknięty w sobie. Paweł ani się go pytał nawet, Radwanowicz trochę przedrwiwał. Rejentowicz wyrósł ogromnie i zdawał się nie widzieć otaczających, tak był swą wielką missyą zaprzątnięty.

Z dwojakiego powodu, oprócz wymienionych już, Lacyna zawsze był bardzo rad wszelkiej z domu wycieczce. Mówiliśmy już o tém, że miał zwyczaj na noc usta wódką popłukiwać, zmuszony to czynić do poduszki, aby złośliwi ludzie inaczej tego sobie nie tłumaczyli... Od tego płukania często miewał ból głowy... w drodze zaś mógł sobie i we dnie pozwolić lekarstwa, będąc sam na sam z naturą tylko, powolną w tym względzie, lub obcemi, których użycie tego antydotu tak upowszechnionego nie miało prawa zadziwiać... Powtóre,

czułe serce Rejentowicza, który dotąd nie trafił na miłość prawdziwą, jakiej się życiem całym dobijał, zawsze marzyło, że gdzieś w podróży znajdzie ową piękną nieznajomą, która go miała pokochać i być nawzajem kochaną. Podróże więc wielce mu smakowały. I gdy furka którą miał ruszyć stanęła gotowa, a Radwanowicz i Paweł żegnać go poczęli, a on wynosząc nieodstępną dubeltówkę, torbę borsuczczą, węzełek z jajami twardemi, wędzoną kiełbasę, chleb i jakieś jeszcze tajemnicze zawiątko, siadł na wózek, uczuł się tak wesołym i szczęśliwym, że począł nucić półgłosem.

Nigdy człowiek nie wie kiedy ma zapłakać, a kiedy zaśpiewać.

— Bywajże mi zdrów,—rzekł Radwanowicz,—a powracaj rychło, bo cię oczekiwać będziemy sercem bijącym. Serce, *cor*, zkąd kordyalny i kord, i kordyaczny i opaczny.

— A niech tam pan Paweł mojego wyżła nakarmić pamięta!—zawołał Lacyna; skinął, i konie ruszyły. Tyleście go widzieli.

Lola wciąż jeszcze była chora, wstała wprawdzie z łóżeczka, ale blada, smutna, kaszląca i zmieniona, a troskliwość matki, wesołość poczciwego doktora, który ją swojemi żarcikami usiłował rozbawić, nic na to nie pomagały. Z dniem każdym ślady trawiącego ją cierpienia stawały się widoczniejsze; biedna matka płakała w kątku, aby łez jej swych nie pokazać, niepokojąc się tym stanem.

Często dnie całe siadywała Lola w oknie i poglądała nieruchomemi oczyma na drzewa i lasy nic nie widząc, jak zwykle ci, których dusza patrzy gdzieindziej. Napróżno starano się ją rozerwać. Częste nawet odwiedziny Anety, która jakąś nadzwyczajną czułość i przyjaźń okazywała dla Loli, nietylko nie pomagały, ale stan ten zdawały pogarszać jeszcze. Po każdej z nią rozmowie, Lola stawała się smutniejszą jeszcze, dostrzegła tego nawet matka; starała się unikać Anety, ale natrętnej i wylaniej przyjaźni niepodobna czasem się uchronić bez niegrzeczności, która wiele kosztuje. Trzeba było znosić, a pod pozorem książek, zabawy, kwiatów, choroby, przy-

wiązania, Aneta przyjeżdżała coraz częściej, przesiadywała dłużej, i nazajutrz na oczach Loli widoczniejsze były łez ślady.

Aneta okazywała jawnie, głośno i z wielkimi wykrzykniki swoją najserdeczniejszą przyjaźń dla téj biednej Loli.

Jednym z najczęstszych teraz gości w domu państwa Jędrzejostwa, był od niejakiego czasu Max Fermer. Czulość jego dla żony weszła w stan normalny, w jakim pozostać miała na zawsze; grzecznym był, ale niemogąc na nieustanne jej roztkliwianie się odpowiadać, co go zbyt wiele kosztowało, jawnie rozgłaszał swą teorią, że małżonkowie powinni miłość swą starannie tać przed oczyma ludzkimi, aby nie napędzać oskomy tym, którzy tego szczęścia nie kosztują. Postępował też z tą biedną Amelią zimno, nawet czasem trochę ostro, aby pokryć głębokie przywiązanie, które miał dla niej.

Natomiast nie mógł czy nie chciał wcale się z tem tać, że panna Aneta coraz bardziej się mu podobała. W domu państwa Jędrzejostwa był to gość nieustanny, sługa najwierniejszy,

a Jędrus pocichu nazywał go swoim adjutantem, co się kazało domyślać, że się miał za generała...

Max, choć głównie naturalnie starał się o łaski panny, której był zapalonym admiratorem, potem o względy matki, dla której czuł gwałtowny szacunek, nie zapominał wszelako i o Jędrusiu, czuła z nim wiążąc się przyjaźnią do tego stopnia, że długie nawet prowadzić był gotów rozmowy, co wcale nie było rzeczą łatwą, bo p. Jędrzej wielce w sobie zamknięty, jeśli miał jakie przymioty umysłu, jak najstaranniej ukrywał się z niemi.

P. Aneta bardzo dobrze znała Maxa, umiała go doskonale ocenić, ale pięknościom tego rodzaju często i najmniejsi słudzy są potrzebni, a gdy dworu ubywa, bierze się kto nawinie. Max nie był bez użytku: można go było posłać, posłużyć się nim, obracać jak się podobало. Codzienny prawie gość u państwa Jędrzejowstwa, smakował bardzo w rozmowie Anety, ubierał się do niej zdobywczo i godzinami całemi słuchał jej deklamacyi z taką poddańczą uległością i uwielbieniem, że mu-

siał wreszcie choć trochę sobie łaski zaskarbić. Zresztą piękne panie często nie przebie-
rają w kadzidłach i nie patrzą z jakiej one dy-
mią kadzielnicy. Powoli Max w ten sposób
wcisnął się do domu, który go już potrzebo-
wał. Aneta mówiła z nim o wszystkim, mię-
dzy innymi i o Loli, z boleścią przewidując,
ile ta jej przyjaciółka cierpieć będzie z powodu
swej nieszczęśliwej miłości... Max mocno też
ubolewał, dzieląc we wszystkim zdanie p.
Anety.

— Napróżno pracuję nad nią,—odezwała
się raz wieczorem piękność,—aby jej to wybić
z głowy: dziecię rozkołysane pieszczotami, jak
już sobie raz powiedziało że kocha, nie można
jej tego wyperswadować. Prawdziwie, byłby
to chrześcijański uczynek, gdyby co na to po-
radzić można.

— Zdaje mi się, że się teraz już widywać nie
mogą,—dodała Aneta,—bo ojciec i matka są
bardzo przeciwni; ale prawie pewna jestem, że
do siebie pisują: mam nawet poszlak, że nie-
dawno, chodził posłaniec tajemnie do Hory-
cy. Moja służąca ma siostrę cioteczną za eko-

nomem u hrabinéj, powiadano jéj że kogoś pochichu wyprawiono kilka dni temu. Zaczną się listy, i znów to biedne dziecko więcej cierpieć będzie...

— E! tym listom najłatwiejby można przeciąć drogę, — rzekł Max.

— Ale jakże się w to wdawać? — spytała Aneta, — pan sam czujesz? Choć istotnie byłby to miłosierny uczynek, rozerwać te stosunki; ale jakże tego dokazać? A mnie tak serce boli nad losem tego biednego dziecięcia...!

— Podzielam w zupełności uczucia pani, — odparł Max, — ale jakżeby można zadośćuczynić pragnieniu litościwego jéj serca?

— Ja sama nie wiem! Możliwym może dojść jak się z sobą kominikuja; przerwać to, zapobiedz: ja doprawdy nie wiem...

Aneta była trochę pomięszaną mówiąc te słowa.

— Ja o tém muszę pomyśleć! — odezwał się Max, — bo pani jak zawsze tak i teraz, masz najzupełniejszą słusność.

Na tém skończyła się rozmowa, i Max późno w noc potém powracał do domu, gdy

o kilkanaście kroków od karczemki stojącej na granicy między Danowem i Jędrzejówką, coś mu się około koni popsło: poszedł więc pieszo. Byłby może i tak do téj gospody na rozdrożu wstąpił, bo w niej umieścił niedawno na szynku bardzo ładną, młodziuchną, świeżo za mąż wydaną garderobianę swéj żony, sierotę, którą się troskliwie opiekował; ale zerwanie uprzęży było najbliższym do tego powodem. Choć noc już była późna, świeciło się jeszcze w karczemce; Max zastukał do drzwi. Nie wiem czy się go tam pupilla spodziewała, ale to pewna że zaraz otwarła drzwi z pośpiechem gosposia, utrzymując że po brzęku dzwonków uprzęży, poznała swojego dobrego opiekuna... Zarazem jednak mówiąc to, położyła palec na ustach, wskazując alkierz przedzielony tylko od izby karczemnej przegrodą z tarcic... W alkierzu się właśnie świeciło...

● Nie wiem czy ta, czy inna okoliczność w dość zły humor Maxa wprowadziła.

— Niech tam konie wytchną, — rzekł do ludzi, — poprawić uprząż: ja trochę odpocznę...

Piękna Zuzia przyjęła pana i dobrodzieja z oznakami największego uszanowania, starła ławkę, poprawiła ogień w kominie, zaczęła się krzątać bardzo, nawet sukienkę obciągać i włosy gładzić, uśmiechać, wdzięczyć, tak, że ktoś bardzo podejrzliwy, mógłby być Maxa i ją o jakieś poufale stosunki posądzić; bo szeptali, uśmiechali się, podawali sobie ręce, jakby w najlepszym byli porozumieniu: ale między sierotą i opiekunem, cóż dziwnego że trochę poufalsze wyrodzi się obejście? Godziż się znowu przypuszczać, aby tak świeżo ożeniony z miłości człowiek, dopuścił się tak niedarowanej płochości? I jak to pogodzić znowu z nadzwyczajną Maxa dla Anety czułością, zakrawającą na zakazany sentyment? Jakieżby to tam było serce? albo raczej jaki brak jego?

Zapewne sąsiedztwu jakiegoś podróżnego, który odpoczywał w alkierzu, i któremu przerywać nie chciano spoczynku, przypisać było potrzeba szepty między gosposią a panem, które zmuszały do tak często blizkiego ku sobie nachylania się, że złośliwy człowiek byłby ich

gotów o całusy posądzić. Zuzia była świeżuchna i bardzo ładna! a taka zalotnica!

W alkierzu tymczasem ów podróżny, który był na noc zajechał, nie śpiąc także nucił sobie przechadzając się, piosenkę bardzo czułą, którą niekiedy przerywał potężnym, spazmatycznym ziewaniem, to popijaniem czegoś, jakby lekarstwa, w pewnych dość regularnych czasu odstępach.

— Zuziu! kogo to tam masz?—zapytał cichutko pan.

— Albo ja wiem! jakiś podróżny, z wężami, trochę kulawy na jedną nogę; ale wesół i trzpiot choć nie bardzo już młody...

— Zkąd? kto?

— Nie wiem: gdzieś z Polesia, od Pińska...

Uderzyło to Maxa.

— Pójdźno mi, spytaj jego człowieka, zkąd i dokąd jada.

Zuzia posłuszna wybiegła do sieni, zabawiła kilka minut i powróciła szepcząc:

— Z jakiejś Horycy, od hrabiego Góry...

Max raptem wstał na nogi i zamyślił się głęboko.

— Dokąd jadą?

— Człowiek nie wie.

Myśl mu przez głowę przeszła dziwna.

— Nastawić samowar, — rzekł głośno do Zuzi, — coś mi zimno; a mąż twój?

— Pojechał do miasta, proszę pana.

Zuzia zaprzętnęła się około samowaru, który zaraz wyniosła z drugiego alkierza, a podróżny czy zniecierpliwiony tą późną krzątaniem, czy rozciekawiony rozmową, uchylił drzwi i pilno zaczął się przypatrywać Maxowi, który teraz, jakżeśmy powiedzieli, wyglądał już na tak poważnego obywatela, że go nawet można było zdaleka wziąć za marszałka.

— Hej! gospodyni! — zawołał podróżny.

Zuzia pospieszyła ku alkierzowi.

— Kto to tam przyjechał?

— E! to nasz pan.

— Jak się zowie?

— Albo ja tam wiem: pan to, i dosyć, który się niedawno z naszą panią pułkownikową ożenił: bardzo grzeczny i dobry człowiek.

— A! a! że grzeczny i dobry dla ciebie, to nie dziw, — odparł śmiejąc się rumiany podróżny.

żny, który przy téj zreczności Zuzię pod brodę pogładził, — ktoby to nie był dobry dla takiego buziaczka; ależ *expresse* pyszczek, niech go!...

Po tém przysłowiu już, a trochę po czułości na wdzięki kobiece, powinniście byli poznać szanownego Rejentowicza Lacynę.

Rejentowicz widząc że głaskaniu się nie broni gospościa, już miał wąsatą swą twarz przybliżyć do jój rumianych, śmiejących się ustek, gdy Zuzia rozśmiała się, zakręciła, fureknęła, i z alkierzyka wybiegła jak ptaszek.

Podróżny zaczął nucić w alkierzu, Max głośno z drugiej strony po izbie... Zuzia dmuchała w samowar i przyrządzała herbatę.

— A maszże herbatę?—spytał Max.

— Nie mam: myślałam że pan ma swoją.

— I ja nie mam! do kaduka! cóż to będzie!

— Ten pan ma!—szepnęła Zuzia wskazując na alkierz.

— A cóż mi z tego?

Lacyna ukazał się w progu.

— Jeżeli mogę, *expresse*, służyć moją herbatą, bardzoby mi było przyjemnie.

Max spojrzawszy nań poznał, że ma do czynienia z dobrze już podochoconym człowiekiem: zbliżył się doń i spostrzegł że napół wypróżniona flaszką jakiegoś płynu, stała przy nim na stole.

— Nie robi to panu subiekcyi?

— Bynajmniej: owszem będę bardzo szczęśliwy. — Ukłonili się sobie wzajemnie i Max wkroczył do alkierza.

— Muszę tu zaprowadzić ten porządek, żeby w karczmie przecie była herbata.

— Ale bo była herbata, — przerwała szczerbiotliwie Zuzia zbliżając się żywo, — tylko że mi ją oficerowie wypili, a mąż jeszcze nie przywiózł... Nawet bardzo dobra, bośmy ją po sześć złotych funt płacili w miasteczku...

Tymczasem niezważając na objaśnienia Zuzi dotyczące się herbaty, znajomość robiła się w alkierzu, gdzie Max zasiadł z cygarem, a Lacyna chodził z fajką.

-- Pan zdaleka? — spytał Max.

— Ja, od Pińska.

— Cóż tam słyhać?

— Nic, panie dobrodzieju: woda duża...

— A wolno spytać dokąd?— rzekł Max.

— Ja to tu w sąsiedztwo,—odparł Lacyna trochę jeszcze pan siebie i zachowujący resztę przytomności,—mam interesik...

Tymczasem kipiał samowar, przygotowywała się herbata, Lacyna się rozgadywał; nieznacznie wypaplał coś o Horycy, zkąd o starym hrabi. Max na to odparł że zna dobrze dom brata jego w Zarubińcach i że jest jego wielkim, serdecznym przyjacielem. Potem począł mówić o samej hrabinie z uwielbieniem, potem o hrabiance Loli z czcią największą.

Lacyna ucha nastawił.

— Różnie to teraz ludzie gadają, i nie wiadomo jak się to wszystko skończy,—dodał Max.—Słyszę hrabianka chora, hrabina odjechała od męża, jakieś nieporozumienia, kwasy; mówią, że poczciwy ten Jerzy kocha się w tej ślicznej Loli.

Lacyna ukąsił się za język.

— E! bo to gadanie!—rzekł.

— Jest podobieństwo — dodał Max — ja byłem i jestem w wielkiej z Jerzym przyjaźni,

a coś także o tém wiem, bo dla mnie on sekretów nie ma.

— Doprawdy? — spytał Lacyna.

— Przecież to ja Jerzego pierwszy w te strony przywiozłem, zemną on tu przybył, razem dawaliśmy ten koncert sławny, na którym go ojciec poznał. To mój serdeczny druh... O! my z nim jak dwaj bracia! Dlatego — dorzucił Max z przyciskiem — mówię, że coś i ja wiem, bo wszystko wiem...

— A! a! — odparł Lacyna nabierając uszanowania dla Maxa — to co innego.

Ale jeszcze się ukąsił za język.

— Dlatego to — dokończył Max patrząc mu w oczy — wiedząc, że WPan jedziesz z tamtych stron, pragnąłem się zbliżyć do niego, aby się coś o tym pocziwym naszym Jurasiu dowiedzieć. Ta jego nieszczęśliwa miłość nade wszystko mnie obchodzi, bo co to te biedne dzieci cierpią! Gdyby mnie słuchał lub chciał się poradzić, ale...

Lacyna milczał wciąż: podano herbatę.

— Gdyby w miejsce nie znajdującego się tu rumu, dolać kroplę przedziwnej starki? — zaproponował spojrzawszy na Maxa.

— A dobra starka?

— Starka nasza!? z Horycy! to sławna przecie, pięćdziesiątletnia: ani słyhać, ani poznać że to wódka, nektar: panie, *expresse* ambrozya, albo raczej najdoskonalsza jamajka!

— A! no! to spróbujemy.

Lacyna dolał zaraz Maxowi, który jako artysta obowiązany był mieć tęgą głowę, a niemniej dopuścił i sobie, choć czuł już, że mu się we łbie mroczyło nieco. Ale dowiedziona jest rzeczą, że człowiek najpochopniejszy do butelki kiedy już jej skosztował, zdaje mu się naówczas, że więcej już zaszkodzić nie może.

Siedli tedy do herbaty, którą Zuzia im nalewała, choć oba podobno nie bardzo radzi, że im wzajemna bytność ich, umizgi do pięknej szynkareczki przerwała. Lacyna wszakże miał na widoku, że się Maxa pozbędzie, a Max myślał że spoi Lacynę.

— Powiadasz pan, że byłeś i jesteś przyjacielem naszego Hrabiego — rozpoczął Rejentowicz — a! panie! co to za człowiek!

— Ja go znam lepiej niż wy wszyscy: co za człowiek! Ba! ja go widziałem na próbie, w ubóstwie! jam go pierwszy wsparł i między ludzi wyprowadził: nie chwając się, mnie to on winien wszystko.

— Między nami mówiąc, *expresse*, co to za dziwne losy!

— Ha! przechodził koleje! — rzekł Max. — A nie dolaliśmy tej jamajki: wcale piękna!

— O! że doskonała, za to mogę ręczyć honorem. Powiem panu, to szczęście, iż sprzedając Horycę, ludzie ślepi i nie znający się na wartości rzeczy, sprzedali i kufy z tą wódką: to kordyał! to cacko ta starka!

— A dużo jój macie?

Lacyna zamyslił się.

— Ja to tam nie wiem *expresse* — rzekł — bo rzadko tego używam; tylko w drodze, gdyż w podróży potrzebuję pokrzepienia.

— Cóż tam się dzieje z Jerzym? — spytał znowu Max — zmiłuj się, powróciwszy, kłaniaj

mu się od Fermera. Cóż? wesół? smutny? co porabia?

— Poluje, jeździ i wzdycha: oj! wzdycha!

— No! bo się taki kocha—przerwał Max— ja to wiem, bo mi się z wszystkiego zwierzył.

— On się panu zwierzył?—spytał Lacyna trochę zdziwiony.

— Przecie lepszego nie ma przyjaciela nademnie. A! kocha ją!...

— Hm!—rzekł Lacyna namyślając się pod wrażeniem starki, która mu głowę mąciła—gdyby... nie... ale nie!!

— Cóżście to powiedzieć chcieli?

— Nic, tak...

— Przysięgam, że zgadnę! bądźcie bo ze mną szczerzy.

Lacyna dolał wódki. Kłopotał go niepomału list, który wiozł, bo nie wiedział sam jak go odda; radby się był poradzić, coś z Maxa wyciągnąć, ale wahał się jeszcze.

— Zacny pan!—rzekł.

— Zacny chłopak i dobra jego starka!—dodał Fermer.

— Gdybyśmy jeszcze dolali? —

— Z miłą chęcią! to nektar nie wódka: mnie to orzeźwia.

— A istotnie i mnie to jakoś orzeźwia! — odezwał się Lacyna, który już nietylko na nogach własnych, ale nawet w krzeselku miał trudność się utrzymać i pochylał się to w prawo, to w lewo.

Zapili tedy znowu.

— Biedny chłopiec! — rzekł Lacyna.

— Nieszczęśliwy! każdyby mu rad z serca pomógł.

— Schnie, proszę pana z tej miłości, rzecz widoczna; schnie: ot tak w oczach usycha.

— Czemuż nie szuka sposobów, czy pannę wykraść, czy co: wszyscybyśmy mu pomogli.

— Nie, kraść! to on nie do tego, ani panny, ani żadnej rzeczy: zawsze to taki złodziejstwo — rzekł Lacyna. — Choć niby to nie jest kraść! bo, uważa pan (język mu się plątał), kraść! co jest kraść? jest to zabierać cudze. Tak? nieprawdaż, a człowiek nie może *expresse* do człowieka należeć, chyba żona do męża, a tu nie ten jest wypadek.

— Osoba wolna.

— Zatem kraść nie jest kraść—rzekł Lacy-
na—ale on znowu tegoby nie chciał... E! gdy-
by się mnie tylko udało!

— Co się to panu ma udać? mów! ja ci
z chęcią pomogę.

— E! czyżbyś chciał istotnie?

— Z serca i duszy: zobaczysz...

— Hm! ale przysiąże mi pan, że nie po-
wiesz nikomu.

— Z największą chęcią, przysięgnę...

— Nie! nie! to już ja i tak wierzę: nie przy-
sięgaj WPan—rzekł Lacyna—wszystko już
ci powiem.

— No, jak stoją rzeczy?

— A! — odparł Lacyna przysuwając się
z krzeselkiem, którego o mało nie wywrócił,
i oglądając się dokoła—wié pan po co ja jadę?

— Nie wiem—odparł Max naiwnie.

— Otóż ja, jako przyjacielowi pana mego,
którego mam zaszczyt w nim oglądać... mogę
wyznać pod największym sekretem, że wysła-
ny jestem *expresse*... z listem do Hrabianki.

— A!— rzekł Max, któremu w tejże chwili przyszły na myśl słowa Anety i zaraz gwałtowna w nim owładnęła chęć podchwycenia pisma, które niosło życie, wiarę, siłę biednemu oczekującemu go dziewczęciu.— A jakże się tam WPan myślisz dostać?

— Już ja to tam na miejscu starać się będę skutecznie jak naj... jak naj...—ale wódka nie dała wynaleźć przymiotnika.—Bo WPan nie wiesz—dodał Lacyna, wyrzekając się wyrazu, który przyjść nie chciał—może być, że jestem niepozorny (tu uśmiechnął się pijano), ale Rejentowicz Lacyna nie dla proporcji nosi głowę na karku! Złe mówię, nosi proporcją na głowie; złe mówię, nosi głowę na proporcji, czyli kark na proporcji. WPan Dobrodziej rozumiesz zresztą! tfu! co u licha!

Max postrzegł dopiero teraz, że Lacyną okrutnie już był pijany, i coraz niebezpieczniej kołysał się z krzeselkiem.

— Niech pan nie zważa—mówił dalej—na niepozorną *expresse* postać Rejentowicza; swego czasu był to koń, ale się trochę zjeździł. Nie! tak! nie! nie zjeździł. W potrzebie jeszcze

rachuj na niego jak na Lacynę. Wszystko jedno co Zawisza: to u nas w Pińsku rzecz wiadoma!

— Jestem tego pewny.

— Pan może i nie jesteś pewny—mówił nie mogąc ust zamknąć Lacyna—ale ja, *pewnissimus*, jak powiada Radwanowicz. Pan nie zna Radwanowicza, *ex-professora*, który ma zajączki w głowie. Nie? szkoda! myślałem że go pan zna. Mój wielki przyjaciel.

Jeszcze tedy nektaru tego!

I znowu dolawszy sobie z faszki, napił się, chciał wstać, pochylił się jakoś w tył niebezpiecznie i padł na siano, które mu w kącie posłano; a że chmury już oblegały mózg, wnet kilka słów ledwie wybełkotawszy, począł usypiać.

— Lacyna górą! Lacyna i Zawisza! Panno Petronello, mam serce gorące; daj Pawle tabaki! Do pana dobrodzieja, *expresse*, jamajka!!

Dalej nastąpiło niewyraźne mruczenie, bełkotanie, uśmiechy, i Rejentowicz oddał ducha, a Max poglądając na niego i widząc w jak niewygodnym położeniu się znajdował, gdyż nogi miał na poduszce a głowę na podłodze,

zawołał Zuzi aby mu pomogła lepiej go ułożyć w pościeli.

Z niezmierną troskliwością chodził około niego, rozebrał go nawet, porozpinał aby się nie dusił, dopilnował położenia, okrył, schował mu sakiewkę i papiery pod poduszkę, a potem wyniósł się cicho z izdebki gasząc światło, aby nic pocziwemu Lacy nie przerwało tak potrzebnego spoczynku.

W godzinę jakoś potem Max rzeźwy i wesół był już na drodze do domu, gdzie zastał Pułkownikową jeszcze na niego oczekującą, za co ją czule zgromił, że nie szanuje swojego drogiego zdrowia, ucałował jej rączki, i uściśkiem serdecznym długie chwile oddalenia i niepokoju sownie opłacił. Biedna Amelia nie śmiała mu robić wymówek, taki tym razem był serdeczny, a choć czuć było jakoś od niego nie bardzo estetyczny zapach gorzałki, nie mu za to nie powiedziała, acz nieprzyjemnie na nerwy jej podziałał. Małżeństwo było w doskonałej zgodzie, a Pułkownikowa kilkakroć tylko spytała go cicho: „Ja myślałam, że ty mnie już nie kochasz?”

Max na to buchnął śmiechem ogromnym, zaczął całować, ścisnąć i zmusił aby swe drogie dla niego szanując zdrowie, niepokojem się i bezsennością nie zabijała, gdy on i t. d. Plótk pod koniec jak Lacyna.

Nazajutrz zdziwiła się mocno pani Maxowa, gdy mąż jej oznajmił wstając, że musi znowu jechać do Jędrzejostwa.

— Znowu do Jędrzejostwa! — zawołała — ale cóż to jest?

— Ale bo to ten Jędrus winien — odparł Max — tak mnie on już nudzi, a nie mogę mu odmówić... Bo wiesz — szepnął jej na ucho, znając jej słabość — obiecują że mnie wybiorą na sędziego: słowo ci daję! Użyje wszelkich swych wpływów; tylko dziś tam ktoś u nich ma być ze szlachty, co to najgłośniej na wyborach krzyczą...

Pułkownikowa, która mocno pragnęła, ażeby mąż jej miał jakiś tytuł, coby dawny zastąpił, zgodziła się już na wszystko, prosiła tylko aby powracał wcześniej i nie zatrzymywał się nigdzie, co Max najuroczyściej jej przyrzekał,

będąc w duszy pewien, że go to do niczego nie obowiązuje.

Pojechał tedy i w porze obiadowej stanął u Jędrzejostwa, z podziwieniem nawet samego gospodarza.

— A! to ty i dziś tu?— spytał go pokręcając lewego wąsa, który widocznie podrastał, (dwa włosy w nim od roku przybyły).

Max nie zważając na niegrzeczne pytanie, odparł:

— I dziś, i zawsze i na wieki wieków, amen, kochany przyjacielu.

— Aleś ty nie do mnie przyjechał, idźże sobie do tych pań— rzekł Jędrus.

I wyprawił go do salonu, po którym krokiem majestatycznym chodziła właśnie Aneta z książką w ręku. Max stanął we drzwiach z miną zwyciężką, wesołą, rozpromienioną, i uśmiechnął się, ukazując jej zdaleka w palcach, biały zapieczętowany papierek.

— Dzień dobry pani! Wié pani co to jest?

— Cóż to być może?— surowo spytała Aneta.

— Niech pani zgaduje...

— Kobięty zadają zagadki, ale zgadywać ich nie są obowiązane.

— No! to ja pani powiem...

I zbliżył się, pewien skutku jaki uczyni objawienie tajemnicy.

— Przypomina sobie pani cośmy tu wczoraj mówili o Loli i Jerzym... Wyjechałem ztąd późno, i traf chciał że właśnie...

Tu począł po swojemu opisywać jak zjechał do karczemki, jak w niej napitego znalazł Lacynę, jak się ten przed nim z poselstwem wydał, i jak mu potem z kieszeni wypadł sam list do Hrabianki. Naturalnie, obawiając się aby nie została skompromitowaną, musiał go podnieść Max i schować...

Fizyonomia Anety w czasie tego opowiadania zdradzała żywy niepokój, i gorzej, nieukontentowanie, niecierpliwość, oburzenie prawie; Max nie zważając ciągnął dalej:

— Pamiętny tedy tego coś mi pani mówiła, bojąc się by ten list kompromitujący nie walał się po świecie, musiałem go wziąć, a wiedząc jak troskliwie czuwasz pani nad tą nieszczęśliwą, aby większym w przyszłości cier-

pieniom zapobiedz, składam zdobyć w ręce przyjaciółki...

Ale panna Aneta cofnęła się aż kilka kroków, napozór przelekła i oburzona.

— Co pan mówisz? — zawołała — ja sobie życzyłam? jam radziła? jam mogła panu podać myśl, aby cudze listy przejmować? ja? ja? ja?

— Ale, pani...

— WPan mnie obrażasz! Popelniles niedelikatność, gorzej: bo prawie występpek! To niegodnie! to szkaradnie! Schowaj pan sobie to pismo! zrób z niem co chcesz: ja wiedzieć o tem nie chcę, nie mogę: mnie to oburza!

Max osłupiał.

— Ależ proszę pani, jeśli się miało walczyć?

— Niechby się z niem stało co chciało: miałże kto prawo go dotknąć? P. Maxie, sam się zastanów?

Max zarumienił się i zmieszał.

— Cóżem miał zrobić?

— Nie pytać, nie patrzeć! nie brać! Dziwuję się panu! Pan, co tyle okazujesz zawsze

uczucia, mógłżeś popełnić taką... taką niedelikatność... czyż to podobna!

Zmieszany do reszty ex-artysta zabelkotał i umilkł; pomiarkował, że zaszedł zadaleko, Aneta oddaliła się od niego, okazując mu prawie wzgardę.

— Przyznaję się—rzekł—w najlepszej chęci popełniłem niedorzeczność, ale cóż z tem zrobić?

— Spal pan! wyrzuć! zniszcz! dogoń i oddaj Lacynie temu!

— Ja! ja mu oddać nie mogę, bobym się przyznał że wziąłem.

— Więc zniszczyć.

— Zniszczyć!—powtórzył, i chciał zacząć drzeć, ale Aneta szybko z rąk jego list pochwyliła.

— W drugim pokoju jest ogień na kominie, —dawaj pan!

I porwawszy pismo wybiegła, a za chwilę wróciła zarumieniona, ale spokojniejsza i ułagodzona nieco: Max stał przed nią jak winowajca.

— Prawdziwie w tém pana nie poznaję—
odezwała się powolnie—to rzecz dla mnie nie-
pojęta. Jak pan mogłeś dopuścić się co podo-
bnego? A jeśli się ludzie dowiedzą? co o pa-
nu pomyślą? Spojony posłaniec, wydarty
list! to szkaradnie! milczże pan przynajmniej!

— E! o to się nie frasuję — odpowiedział
Fermer — ten pijak dziś już nie pamięta co
się z nim wczoraj działo, szynkarka mu téż nie
powie z kim się spotkał, a poszukiwać nie mo-
że, boby się przyznał do winy: to przepadło!
Ale nie samaż pani mówiłaś wczoraj...

— Ja! — zakrzyknęła Aneta tupiąc nóżką —
ale cóż to jest znowu? co pan mi przypisujesz,
to szkaradnie! Obwiniać mnie! kobietę! żebym
ja mogła coś podobnego powiedzieć! pan mnie
chyba nie zrozumiałeś!

Max zahukany zamilkł, a Aneta choć póź-
niej udawała spokojną, daleką była od zupeł-
nego uspokojenia; szczęściem, nadejście matki
przerwało rozmowę, wprowadziło ją na tor in-
ny, i Max zagryzając usta że wpadł w taką
łapkę, za którą jeszcze burę oberwał, odjechał
wkrótce z dosyć kwaśną miną.

— Trzeba wiedzieć, że w drugim pokoju nie paliło się na kominie, a list?... nie wiem co się z nim stało.

Tymczasem p. Izabella Morosz ciągnęła powoli ku Zarubińcom, nie bez niepokoju w duszy rozmyślając nad środkami, jakich jej użyć wypadnie, aby uprzętnąć zawady na drodze do szczęścia kochanemu Jurasiowi. W takich zrozpaczonych razach, często osoby jak p. Morosz, mniej oswojone ze światem i mniej uległe jego żelaznym wymaganiom, kiedy niemi owładnie uczucie, lepiej sobie mogą i umieją dać radę od ostygłych i przywykłych zbyt do przyjętych prawideł stosowań, dla których trzeba wybuchu namiętności, żeby się zdobyć na siłę rozbratania z przyzwoitością.

We dworze Hrabinej smutno było, pusto i cicho; nie otaczała ją ta zgraja ludzi, których zwykle bogatsi przywykli używać nie dla istotnej potrzeby usługi, ale dla pokazu i popisu zamożności; skromnie było wokoło, a ten pozór cichy i ubogi ośmielił nieco przybyłą.

Wszedłszy do saloniku ujęta była jego prostotą, gdyż sprzęty jego stare i niewykwintne ledwie zamożnemu szlacheckiemu dworkowi byłyby przystały. Hrabiny nie było, po chwili dopiero weszła z twarzą bladą i smutną jak zawsze, ale pełną rezygnacyi i łagodności.

— Przebaczysz pani mojemu natręctwu, zdawało mi się że obowiązkiem jest moim podziękować jęj za łaski, jakich od nięj doświadczył mój syn przybrany Jerzy: jestem Izabella Morosz...

— Bardzo miło mi poznać panią — odpowiedziała rumieniąc się Hrabina...

Po tych kilku słowach rozmowa pękła odrazu, zwróciła się potęm na kraj, drogę, porę i nie mogła wejść na tor, którymby się swobodnie toczyła. Międy dwiema paniami stała tajemnica, która je oddalała od siebie, o której obie wspomnieć nie śmiały, choć nie schodziła im z myśli.

Ale to długo trwać nie mogło. Hrabina męczyła się widocznie, Izabella czerwieniła nie mogąc się zebrać na odwagę pierwszego słowa;

i choć kobiety czuły ku sobie sympatyą, żadna z nich począć od wyznań nie śmiała.

— Gdzież córka pani? — spytała panna Morosz — słyszałam że była chora?

— Jest już lepiej, choć jeszcze nie dobrze — westchnęła Hrabina — już wstała, jednak... Doktor właśnie przybył dzisiaj, każą nam jechać do wód, choć spóźniona pora, może do Włoch lub Nizy na zimę.

— Droga pani — przerwała panna Morosz — miarkujesz że mnie tu nie sama grzeczność przywiodła: jest powód ważniejszy, święty dla mnie. Ja mam syna, pani córkę: ratujmy dzieci nasze, mówmy jak dwie strapione matki.

Hrabina rozplakawszy się podała jej rękę.

— A! możemy je ratować?

— Dlaczegoż nie? czyż Bóg ich dzieli? czy prawo to tak nieprzełamane? Na wielkie i czyste przywiązania są pobłażanie i wyjątki, są przykłady wyrozumiałości; czyż ich poświęcimy nie próbując uratować?

— Ale jestże możliwém?

— Mnie się zdaje: myślmY tylko, poradzimy się, chciejmy...

— A mąż mój?

— On może z koniecznością zgodzić się później... Te wyjątkowe okoliczności zmuszają do wyłamania się, do wymodlenia się z pod prawa, które tysiąc razy naruszone zostało dla daleko mniejszych powodów. Sama pani powiadasz, że córce jej każą jechać do Nizy; niech Jerzy jedzie do Rzymu, niech prosi Ojca Św., wyjedna pozwolenie, a gdy się pobiorą...

— Ale to być nie może! — przerwała Hrabina — a! nie! prawo jest niewzruszone: choćbyśmy uchylenie jego wyjednali, zawsze nad nimi ciężyc będzie niebłogosławieństwo...

— Pani! ludzie szafują tą groźbą, Bóg nie rzuca przekleństwa na niewinnych... Cóż oni winni?

— Tak, oni niewinni; los, wypadki, może nieopatrzność moja: ślepotą, pobłażaniem, zresztą ja już nie wiem sama, to jak piorun spa-
dło na mnie.

— Jerzy nie przeżyje rozdziału! — zawołała panna Morosz — gdybyś go pani widziała! to biedne dziecko kocha całą siłą duszy!

— A! pani! gdybyś ją zobaczyła! Piękny mój świeży kwiatek, jak zwiądł, jak się pochylił, jak we łzach się roztopił; mnie patrząc na nią trwoga i rozpacz ogarnia: ona codzień niknie w oczach. Szczebiotliwa pieszczotka moja stała się milczącą, płacziwą, tęskną, ponurą; widzę jak życie z niej ucieka: a ja ją mam jedną! na świecie ona tylko i w niej wszystko moje!

— I ja mam jego jednego — odparła panna Morosz.

— Radźmy...

— Radźmy, pani, i miejmy dość męstwa, by ich ratować...

— Ale nadewszystko — przerwała Hrabina — cicho! nie mówmy nic, nie dawajmy nadziei, którąby potem ciężko odbierać przyszło... Ja znam mojego męża, on jest niezłomny, on nie zgodzi się nigdy!

— Nie możeż się to stać bez niego?

Wejście Loli wnet przerwało narady. Hrabina dała potajemnie znak pannie Izabelli, która go doskonale zrozumiała i poczęły zimną, ceremonialną znowu rozmowę.

Lola, na którą pierwszy raz wejrzała nowo przybyła zabierając z nią znajomość, była w istocie nie dopoznania zmienioną. Biała jak marmur, blada, spokojna, a smutna jak grobowy posąg, szła cicho, poglądała obojętnie, nie uśmiechnęła się nawet matce. Poznając się z panną Izabellą, zarumieniła się tak leciuchno, jakby na nią padł odblask z różowego promyka zachodzącego słońca, i siadłszy zbielała znowu.

Śliczna to była postać, coś nakształt wymarzonej przez poetów rusałki, jak mgliste Ondyny i powietrzne latawice, co wiekuiście rozpacz noszą na umarłym czole, nocą się budząc by cierpieć, dniem usypiając by czekać cierpienia. Z dawniej jej wesołości nic już nie pozostało: starł się uśmiech, znikły wesołe dolki twarzy, a wargi składały się tylko w jakiś wyraz cierpienia zamykającego się w sobie, bo nic już nie spodziewającego od świata.

Popatrzyła na pannę Izabellę długo, i łezki jakies co się w oczach zbierały, zwilżyły jej źrenice; miała ochotę rzucić się ku niej: nie

śmiała; serce jej biło, chciała spytać o niego: nie mogła — zamilkła.

Nie będziemy opisywać tego dnia przebytego u Hrabinej, który zresztą mało dozwolił dwom matkom sam na sam widzieć się i mówić z sobą, bo i Doktor Szemere i po południu Hrabia, który teraz czasem żonę odwiedzał, aby jej przytomnością swoją wiele zła przebytego przypomnieć, w ostatku Aneta ze Stasią zjechali się jakby umyślnie, aby im przeszkodzić.

Ostatnie odwiedziny tém się zdawały dziwniejsze, że obie panie były bardzo niedawno i nic nie zdawało się usprawiedliwiać tak prędkiego ich przybycia. Aneta rozdzieliła się na dwoje: napół przy Loli, której nieustannie coś szeptała, ciągle ściskając ją i żałując; napół przy panie Morosz, dla której osobliwsze miała względy...

Żądała być jej przedstawioną i odegrała przed nią precudnie rolę dziewczeczki naiwnej, prostej, szczerzej, pełnej serca, a tak umiała ująć ją sobie, że panna Izabella nie mogła się później odchwalić jej i nauwielbiać tego

pocziwego i miłego dziewczęcia. Własna matka Anety z trudnością sobie sprawę zdać mogła ze stanu, w jakim ją widziała przy paninie Morosz...

Czy to było właściwym charakteru panny Izabelli wpływem, czy spowodowane czémś niezrozumiałem dla ludzi; to pewne, że Aneta inną całkiem była przy tym gościu, a inną dla powszedniego tłumu: odmłodziła, spokorniała, stała się miłą, potulną, i względem własnej matki, zazwyczaj panująca a niekiedy szyderska, przybrała ton i pieśczoćliwość rozserdecznionego dziecięcia.

Skutkiem téj pożyczonej fizynomii, która dla obcej i nieznającej ją osoby mogła się wydać jój naturalną i zwyczajną, ujęła sobie wielce przybraną matkę Jerzego. Była-li to prosta zalotność kobieca czy rachuba, wpływ chwili przeważny, czy dziwactwo jakieś: trudno odgadnąć.

Aneta z matką zabawiły bardzo długo, a choć Stasia kilka razy do pożegnania wstawała, zawsze nieznaczne mrugnienie córki jój

odjazd wstrzymywało, tak, że późno dopiero w noc opuściły dom Hrabiniéj.

Skutek tych odwiedzin na Loli był zawsze jeden: czułość Anety sprawiała jéj nie wytłumaczoną odrazę, obawę jakąś, nabawiała ją niepokojem i gorączką; a matka coraz się mniej przekonywała, że każda bytność téj przyjaciółki, pogorszała stan biednego dziewczęcia. Ale możnaż było obwiniać Anetę, która otaczała ją najczulszém staraniem, usiłowała rozbawić, rozerwać, rozśmieszyć, i z tego zamurowanego smutku wywieść znowu do życia, powrócić dziewczęciu weselu i swobodzie?

Im się jéj to więcej udawało, tém Aneta goręcej podwajała usiłowania.

Hrabia odjechał nieco wcześniej: popatrzył się na córkę, na żonę, przemówił zaledwie słów kilka, zimno bardzo i zgóry przyjął pannę Izabellę, a wreszcie zawinawszy się powrócił do domu.

Lola po odjeździe gości wróciła do swojego pokoiku z wzrosłą gorączką, i doktor musiał użyć silnych środków, aby ją do nor-

malniejszego stanu uspokojenia przyprowadzić.

Oczekiwanie odpowiedzi, która nie nadchodziła, przyczyniało się wielce do tego rozdrażnienia. Dzień za dniem, uchodził próżno, listu widać nie było. Lola nie wiedziała kogo obwiniać: czy obojętność Jerzego, czy jakieś nieodgadnione przeszkody, które na drodze pismo gdzieś wstrzymać mogły. Słowa Anety rzeczony jakoś niebacznie, podwójnie teraz na nią działały: coraz więcej dawała im wiary, widząc jak się išciło wszystko, co jej przepowiadała.

Dla lekarza, dla matki nie było już wątpliwości, że Lola była zagrożona chorobą niebezpieczną, która zrazu objawiła się tylko jako daleka groźba, a teraz co dzień przybierała wydatniejszy, silniejszy charakter. Matka jednak nie śmiała pierwsza mówić o tem lekarzowi, a lekarz nie chciał przestraszać matki: myślno, że symptomata te przejść mogą, że zdrowie sama natura przywróci.

Aż gorączka rozwinęła się coraz uparciej trwając dnie i nocy, coraz silniej paląc usta i twarz... Środki materialne użyte do powścią-

gnienia jej okazywały się zupełnie bezskutecznymi.

Matka modlić się tylko mogła, doktor zrobiwszy co był obowiązany jako lekarz, sądził, że jako człowiek coś jeszcze uczynić był powinien. Wiedział on, że upór Hrabiego w znacznej części mógł być powodem choroby, i pojechał do niego. Biednemu Szemere ciężko to przychodziło, całe życie przywykłemu do żartów z siebie i ludzi, wejść na drogę poważniejszej rozprawy; ale sumienie kazało: musiał. Siadł więc na wózek i w parę dni potem pobiegł do Zarubiniec.

Zarubińce były wielce podobne do owych zaczarowanych zamków w bajce, w których wszystko co żyło skamieniało; zmian tu nigdy nie spostrzegłeś żadnych: wiecznie też same twarze, ruchy, obyczaj, godziny. Teraz tylko, zbogacony spadkiem, Hrabia uznał przyzwyczajeniem nieco wyświeżyć stare swe gniazdo, zapobiedz gdzieniegdzie rozpoczętemu zniszczeniu, podnieść skalę życia do rozmiarów majątku; ale Malczak został w swoim watowanym kaftaniku i przydeptanych butach obciętych, a ma-

chiny i inwencye szły swoją drogą. Szemere zastał Hrabiego przy pompie, która dotąd ssać nie chciała, ale miała być wielkich nadziei wynalazkiem, byle tylko dojść do tego, żeby już w nią woda poszła, która tylko przez upór współdziałania odmawiała. Hrabia obwiniał o to i domorosłych robotników, i zły gatunek materyału i pocichu nawet rodzaj wody brzydki i mętny. Silił się na wynalezienie wady jakiejś w wykonaniu, nie przypuszczając jej w pomysle.

Gdy doktor wszedł, egzaminował właśnie klapę, której część użył Malczak na podeszwy do butów świątecznych; rozmyślającego już nad tem, czemby można skórę zastąpić.

— Do nóg upadam Hrabiego!—rzekł witając go.

— A, to WPan, doktorze! dzień dobry! co tam słyhać? czy u nas kto chory?

— Tu, nie panie Hrabio: ale...

— No? ale na wsi, chcesz mówić. Któż? co? może ci kazać dać koni?

— Nie, panie Hrabio.

Hrabia podniósł głowę i spojrzał nań z wielkiem znakiem zapytania, jakaby mógł mieć jeszcze sprawę tak ważną, aby się czuć w prawie jego medytacye nad kłapą przerywać.

Doktor stał milczący.

— Pozwolisz mi pan Hrabia — rzekł wreszcie — kilka słów z sobą pomówić otwarcie?

— Otwarcie, kochany Szemere, o czém?

— Mam ważne powody.

— No, to mów; bo widzisz jak jestem strasznie zajęty.

I wciąż oglądał kłapę skórzaną.

— Muszę spełnić obowiązek — dodał lekarz — chodzi tu już nie o zdrowie, ale o życie jedyne pańskiego dziecięcia.

Hrabia odrzucił kłapę i ruszył ramionami.

— No! no! rozumiem! nasadzony jesteś, abyś mnie strachem przymusił do postąpienia przeciwko moim zasadom; mów, mów: ale to nic nie pomoże.

— Jakto? nasadzony? a któż doktora, uczciwego człowieka nasadzić może? — zapytał Szemere.

— Kto? a no, matka nierozważna, przyjaciele głupi lub t. p. Doktor dobry człowiek w gruncie, podejmuje się zastraszyć, napędzić i doprowadzić ojca do tego, aby niedobranemu i świętokradzkiemu związkowi nie stawał na przeszkodzie.

— Panie Hrabio! — zawołał perzając się Szemere — co W Pan Dobrodziej mówisz? zastanów się.

— A! a! W Pan myślisz, że ja ludzi nie znam? że dlatego iż się przy moim warsztacie zasiedziałem, nie znam sprężyn serca ludzkiego? Mocno się mylisz! mocno!

— Pan Hrabia gorzej się mylisz, przypuszczając że lekarz szanujący w sobie charakter człowieka i powołania, mógłby się do podobnej mieszać intrygi.

— No! no! doktor! to się daje babom uwodzić i im służyć! Dalej co?

— Ale, panie Hrabio! słowo uczciwego człowieka!

— Tak! W Panu się może zdawać żeś to sam skomponował i doszedł do tego o swój sile, a nie mniej narzucono ci! narzucono, nieboraku!

— Nie mogli mi przecie narzucić symptomatów choroby, jej rozpoznania i przekonania o niebezpieczeństwie, w jakim się córka jego znajduje.

— Imaginacya! — odparł Hrabia, ruszając ramionami — imaginacya!

— Nie wiem, czybabyś Hrabia i na tém jak na mechanice, lepiej się znał odemnie — rzekł z trochę przekąsu doktor.

— A jużciż ją znam lepiej od WPana, to pewna; od lat niemowlęcych wrażliwe to, żywe, nerwowe, delikatne. Ledwie co, lada podmuch wiatru zgina tę łodygę, lada co ją orzeźwia i podnosi; dziś zdaje się umierać: jutro będzie w pełni życia i siły. Wy mierzycie miarą ogólną, a to jest natura wybrana, dziwna i nie taka jak u pospolitych ludzi. Co WPan powiadasz!

— Powtarzam jeszcze raz, że córka pańska jest w niebezpieczeństwie; jeśli co ją dźwignąć i uleczyć potrafi, to pociecha moralna, ulga i nadzieja, której pragnie.

— Tak! tak! wiemy i znamy! — odparł Hrabia zimno — myśl WPan o innych środkach;

tych ja jej nie dostarczę, nie ustąpię tak łatwo: wolę żeby odchorowała. Młodość ma w sobie siły potężne, niech przeboleje raczej, niż bym ja dla niej miał z zasad moich ustąpić. Wina matki! wina matki nieroztropnej. Mówiłem, powtarzam, nie ustąpię: darmo się nie trudź... dość tego!

— I wolisz pan żeby córka umarła! — zawołał gwałtownie Szemere.

— Strachy, mospanie, któremi mnie nie weźmiesz!

— Hrabio, ja nie żartuję!

— Doktorze, ja także.

— Spełniłem com był powinien — dokończył kłaniając się Szemere i smutnie zabierając do wyjścia — teraz umywam ręce i za skutki nie ręczę...

Hrabia ruszył ramionami i popatrzał zupełnie obojętnie.

— Otóż to ludzie! — rzekł Rajmund — zdaje im się, że lada lichą intrygą podejda człowieka! Doktorze, nie spodziewałem się tego po tobie.

— Ani ja tego po was, panie Hrabio!

Uklonili się sobie z wyrazem ironii i Szemere wyszedł, ale gniewny i zapęrzony, spluwając na progę; od lat kilkunastu już nie pamiętał podobnego wzruszenia, przywykły był bowiem znosić wszystko obojętnie i zbywać żartami.

Hrabia dosyć spokojnie powrócił do oglądania klapy i zawołał w pomoc Malczaka.

Nazajutrz rano po owym noclegu w karczmie, w której mu pięćdziesięcioletnia starka tak bolesnego wyrządziła figła, Lacyna obudził się, zupełnie sobie nie mogąc zdać sprawy z tego, co się z nim stało; przetarł oczy, uczuł lekki ból głowy, ziewnął szeroko i po chwili zaczął mozolnie rozproszone zbierać myśli. Okienniczka była przymknięta i przez szeroką tylko w niej szparę promień wesołego letniego słońca zakradłszy się do alkierza, rozciął go na dwoje jasnym pasem, w którym miliony drobnych ruchawych pyłków igrały.

Rejentowicz otworzył oczy szeroko, coś mu się ze dnia wczorajszego przypominało jak

sen: jakiś człowiek, kobieta, samowar, rozmowa, ale dobrze tego w całość związać nie mógł. Spojrzał na zegarek.

— O! późno do licha! a to sprawa tak pilna!

— Hej! jest tam kto? — zawołał.

Kaszlnięto i przez maluczko roztwarte drzwi zjawiała się figlarna Zuzi twarzyczka, która kryjąc usta szydersko uśmiechnięte, ciekawie przypatrywała się zaspanemu Lacynie.

— Hej! samowar! — rzekł Rejentowicz — a żywo! bo jechać trzeba. Kto to był wczoraj? — dodał — ten, ten, co tu gadał ze mną; dobrze sobie nazwiska jego nie przypominam.

— Nie wiem, jakiś pan — wybąknęła Zuzia, zamykając drzwi — ktoś podróżny.

Lacyna już całkiem wytrzeźwiony, coraz bardziej się przerażał przechodzącymi mu wspomnieniami.

— Co to było? — mówił sam do siebie — pi- liśmy?? Karafinka próżna! O! to bestya la! strasznie, wysuszył ją do dna. Szcęściem mam jeszcze drugą butelkę w sianie, w wózku, opieczętowaną, woźnica jej naruszyć nie mógł. Ależ pił! ależ ciągnął! No! i ty musia-

Jeś się popisać Rejentowiczu. He? byłeś pijany, przyznaj mi się? Nie? Ba! Ale ze zbytniego gorąca i zaduchu dostałeś zawrotu głowy, nic więcej. Djabli cię skusili! głupia rzecz! musiałeś paplać? Ale gdzie pieniądze? — spytał się opatrując rzeczy. — Ha! są chwała Bogu!

I wtém uderzył się po piersiach gdzie miał schowany list w pochewce, zaczął go szukać i struchlał!!—listu nie było!

— E! głupstwo! — rzekł — gdzieś wypadł w siano! — zajrzał pod poduszkę: nie było; przetrząsnął naprędce posłanie z gorączkowym pośpiechem... ani śladu.

Usta mu się trząść zaczęły.

— Ależ on zginąć nie mógł! nie! nie! Szukajmy-no jeszcze.

I pobiegł do okna odryglowując je, a okiennicę odpychając konwulsyjnie, aż ściany karzemki od uderzenia jej zadrżały.

Światło wlało się ogromne do izdebki i oświeciło okropny nieład, który w niej panował: ślady wczorajszej orgii i snów niespo-

kojnych. Roztrzęsione siano, rozrzucone posłanie, porozsypywane pakunki podróżne.

Lacyna nie mając czasu do postrzeżeń, jak stał począł znowu krzątać się około wyszukania listu; pot kroplisty lał mu się z czoła, wargi drżały, ręce dygotały; przerzucił pościel, przebrał siano po ździebelku, opatrzył kąty izdebki i śmiecia w nich nagromadzone, szukał po kieszeniach, w odzieniu, na stole, pod stołem i ławą, a gdy raz i drugi przetrząsnął wszystko, padł na ziemię jak trup blady i znękany.

— Nie ma! — rzekł głosem przerywanym — nie ma, a no tak być musiało! Pijak! pijak, łajdak Rejentowicz Lacyna; zapił się, zalał, to i ufność zdradził... Nie ma co mówić! ślicznie dla Lacynów... Zgubił, sprzedał, przepił, kto wie, może po wódeczce fajkę zapalił tym świstkiem.

A co teraz panie Lacyno? a co teraz?

Czoło mu się zmarszczyło, łzy pociekły z oczów.

— Za chleb który jadłeś, za gościnę, za łaskę, za wiarę i zaufanie, ot, jakes to się od-

wdzięczyl dziecięciu twojego pana! Zdrada! podłością! ślicznie! O! o! Lacyna i Zawisza to jedno! prawda! Jakże to nazwiesz? otóż tobie wódka! otóż starka! Mówilem zawsze że się to tak skończy, czułem, że ona cię zgubi!

Teraz nie ma co myśleć: wstyd, hańba i sromota! Tam już oczów nie pokażesz, ani im w oczy spojrzysz: pijanica!

Ale nic, to nie może być, to sen straszny; ten list musi się tu znaleźć—zawołał rzucając się żywo—on tu być musi, jam go nie zgubił, kładąc się czułem go na piersi...

I rozdarł koszulę na sobie, przerzucił suknie raz jeszcze, przebrał siano po listku, ale papieru owego nie znalazł...

I znowu usiadł na ziemi, a wchodząca Zuzia przelekła się zmienionej nagle, obłąkaniej jego twarzy.

— Co to panu? — spytała.

— Nic, chory jestem: nic...

— Może wody?

Lacyna się uśmiechnął i machnął ręką, by jej się pozbyć co prędzej.

— Nic mi nie trzeba. — rzekł ponuro.

— A no—dodał gdy wyszła—kto źle żył, niechaj choć skończyć umie po mężku; tu nie ma wyboru: sromota albo śmierć; sromoty Lacyna nie zniesie, więc śmierć!

Dobyl z torby borsuczej kawałek zmiętego papieru, przyparł się do stolika i pisać zaczął z gorączkowym pośpiechem, a łzy jak groch ciekły mu na stół, na papier, na ręce, po twarzy.

Nareszcie wstał rzuciwszy pióro.

— Wszystko trzeba pożegnać — krzyknął rozpaczliwie—jużby Lacyna oczów nie śmiał podnieść na ludzi, nie ma co tam powracać nazad... Bywajże zdrowa Horyco... Piotrusiu moja serdeczna i stary wyźle! Trzeba umieć umrzeć, kiedy się żyć nie umiało! Otóż taki tobie koniec Lacyno, w karczmie djabli wezmą pijanicę—i dobrze!!

Podparł się łokciem na stole i zapłakał, a ktoby go był zobaczył z tą skruchą w tej nędzy i upokorzeniu, byłby sam z nim łzę ronił.

— Godziny upływają — rzekł nareszcie — nie ma co dłużej robić na nie swoim świecie, nie ma co się z życiem cackać: na tamten świat...

Uderzył się w piersi.

— Panie Boże bądź miłościw grzesznej duszy mojej... Ty widzisz że żal czuję, ale sromoty przeżyć trudno a uciec niepodobna: trzeba kończyć.

Poszedł tedy do kąta po dubeltówkę, która stała nabita, obejrzał ją bacznie, gdy myśl jakaś wytrąciła mu ją z ręki.

— Ej! to głupia śmierć, a nuż palec zadrży: chybię i pokaleczę się tylko, wstyd gorszy i cierpienie. Wszak to się tysiąc razy trafia, że kto do kuropatwy w lot nie chybia, do własnego mózgu wycelować nie umie.

Nie! nie!

Wyjrzał przez okno, naprzeciw stała studnia.

— Hm! kto ją wie? a nuż płytka? — rzekł w duchu.

Wtém gdy się odwracał, oko padło na strop i whity węń hak żelazny, który zwrócił mimowolnie jego uwagę. Wisiał tam niegdyś szabaśnik, ale zdjęty został i resztką tylko opylonego sznurka pozostała, opleciona pajęczynami.

Lacyna żywo wdrapał się na stół, sięgnął i wypróbował że haka dostanie; sznur od tłomoka leżał na podłodze, chwycił go i zarzucił na kruk próbując siły; zrobił petlę, ale w chwili gdy te przedśmiertne przygotowania były gotowe, serce mu się ścisnęło żalem świata!

— A!—rzekł—jeszczeby się żyło i używało, nie takiż to wiek straszny: czterdzieści kilka, siła sama... Piotrusia poszłaby za mnie, w Hołubowie jeszczeby się chata szlachecka znalazła dla Rejentowicza, a w chacie spokój i szczęście... Ale już z tego nic być nie może: ze sromotą wyżyć się nie godzi, a hańba nād głową... Jest grzech, niechże będzie i kara. Ot tak!!

I stojąc na stole, zarzucił petlę na obnażoną szyję, skoczył, zawisł, rękami strzepnął, sznur wyciągnął się, hak u stropu się zachwiał, a biedny Lacyna padł uduszony, ze straszliwie wykrzywioną twarzą, na której czerwoność chwilową, już sina barwa i białe po niej rozrzucone plamy zastępowały.

Szynkarka krzątała się po pierwszej izbie nie śmiejąc przeszkadzać podróżnemu, dopiero

w dobre pół godziny zajrzała przez szparę; zdało jej się, że podróżny stoi w pośrodku alkierza: myślała że się ubiera i odeszła. Uplynęła godzina, zajrzała znowu: na tém samém miejscu, tylko dziwnie pochylony i zgięty; otworzyła nieco drzwi i z krzykiem straszliwym odbiegła, załamując ręce.

Ale z obawy jakiejś urojonej odpowiedzialności, jak to u nas prawie zawsze bywa, nikt ani śmiał wniknąć, ani odciąć wisielca; rozbiegli się tylko ludzie przestraszeni, jedni do dworu, drudzy do wsi, nie wiedząc sami co począć.—
Lacyna dawno już nie żył.

W Horycy, dokąd z niewielką nadzieją powróciła zaraz p. Izabella po dwudniowym pobycie u Hrabiny, Jerzy równie niecierpliwie oczekiwał matki i swojego posła. Matka narreszcie przybyła, usiłując go natchnąć otuchą, której nie zdobyła sama; ale smutna, zamyślona, utaić nie mogąc że Hrabia przełamać się nie daje, że trzeba cierpieć i czekać. Długie godziny spędzali razem na opowiadaniach,

rozpytywaniu jak p. Izabella zastała usposobioną Hrabinę, jak znalazła biedną Lolę. O niebezpieczeństwie jej nie chciała mówić Jerzemu, ale go też nie uwodziła kłamstwem o jej zdrowiu: przyznała że była chorą. Jerzy czekał tylko na swój list odpowiedzi, aby uspokojony nieco, rozpoczął życie lub pobeiegł choć ukradkiem ją zobaczyć.

Tymczasem dnie rachował napróżno: mijały jedne za drugimi, o Lacynie słyhać nie było. Jerzy dziwił się, niepokoił, kłamał przed sobą i czynił przypuszczenia różne, ale w końcu nic już tak długiego oddalenia posłańca usprawiedliwić nie mogło. Jednego ranka pod pozorem odległego polowania, pożegnawszy matkę i prosząc by o niego była spokojną, siadł ze strzelbą na konia i ruszył sam jeden. Przywykły był do przejażdżek dalekich i czuł się w swoim żywiole, gdy dosiadłszy wierzchowca wybiegł w pole jak ptak swobodny, niosąc tylko w sercu tęsknicę i na duszy brzemię, ale pan siebie i wśród ciszy rozmawiając tylko z lasem, niebem i wiatrami.

Nikommu nie powiedziawszy słowa dokąd jedzie, zapowiedziawszy żeby się go rychło nie spodziewano, Juraś na swoim szpaku, którego sił i wytrwałości wypróbował, wolno zrazu wyjechał za miasteczko; ale skoro z oczów stracił Horycę i ujrzał się w polu, gdzie go już niczyi wzrok śledzić nie mógł, ścisnął konia i poleciał.

Młody wierzchowiec wyciągnął się tęgim kłusem, i ruszyli tak szparko, że po parogodzinnym tylko wśród dnia spoczynku, stanęli na noc o parę mil od Robowa.

W karczemce było dużo ludzi powracających z jarmarku, a Jerzy przy koniu nocować musiał na słomie. Tryb ten życia nie był dlań nowy, wspomniał na krymskie włóczęgi i ukraińskie wycieczki stepowe i całą tę młodość jego, która mu upłynęła w walkach i niewygodach a swobodzie; westchnął może do tych lat niepowrotnych...

Jak świt nakarmił sam i napoił siwka, który wyleżawszy się, gotów był do drogi; rzucił nań siodło i pospieszył dalej. Gościniec wiódł go właśnie pod tę karczemkę nieszczęsną,

w której się obwiesił Lacyna; stała ona jeszcze dotąd opieczętowana i sąd miał właśnie zjechać dnia tego. Max blady i pomieszany czekał na urzędników ze śniadaniem przywiezioném z domu i koszem butelek, cicho coś szepcząc na ucho Zuzi, która jak liść drżała, gdy Jerzy zatrzymał się zobaczywszy go niespodzianie. Max począł nań krzyżeć z całych sił aby stanął, machać rękami i czapką, tak, że podróżny, który nie rad był wcale spotkaniu, wreszcie zastanowić się musiał.

— A! to ty przyjacielu! Dokądże to?

— Do Robowa: chciałem się widzieć z Ottonem.

— Jako? konno aż z domu?

— Cóż dziwnego? ja lubię to i przywykłem.

— No!! tyle mił; ale wiesz o mojej biedzie?
—szepnął Max bojaźliwie.

— O jakiej?

— Jakiś czy ekonom, czy pisarz, szlachciora, bodaj czy nie z waszych stron, od Pińska, w karczmie się mojej obwiesił...

Domawiał tych słów właśnie, gdy z sieni

karczemnych wybiegł człowiek, który jechał z Lacyną, poznawszy swojego panicza.

— A! paneńku! ratuj! nieszczęście!

— Co tu robisz?— spytał Jerzy poznając dworskiego parobczaka.

— Mnie tu, proszę pana, wstrzymali; wielkie nieszczęście: jeszcze z wieczora był zdrów i przytomny, a z rana sobie stryczek na szyję założył i powiesił się...

— Kto? co?

— A Lacyna, proszę pana.

Jerzy zbladł i zachwiał się na siodle.

— Lacyna? to być nie może!

— To twój oficyalista taką rzeczą?— rzekł Max niespokojnie.

— Tak, wysłany był przezemnie; lecz cóż mu się stać mogło? uczciwy, spokojny człowiek... Mój Boże! Cóż to jest! to nie bez przyczyny...

— Nikt nie wie— bełkotał żywo Max spuszczać oczy— sprawa niepojęta, w karczmie była jedna tylko szynkarka, z wieczora słyszę wesoly, śpiewał, wychylił butelkę starki, położył się spać napily, a nazajutrz rano stry-

czek na hak założył i najniespodziewaniej się powiesił...

Jerzy drżał ze wzruszenia.

— Jechał? czy wracał? — spytał niespokojny.

— Dopierośmy jechali, panieńku — rzekł parobczak płacząc.

— Zlituj się, jeśli to twój człowiek — przerwał Max błagając — poświadcz przed policją, że miał czy pomieszanie, czy co podobnego, a to mi się śledztwo ciągnąć będzie i karczma zamknięta.

— Jakże mogę świadczyć — oburzył się Jerzy — człek wyjechał zdrów, przytomny; nie wiem: przecież tam gdzieś ślady jakieś być muszą tego co się stało.

— Jest jakiś papier, który nieboszczyk trzyma zmięty w garści, ale mu go chyba doktor wydrze z palców, gdy do obdukeyi przyjedzie.

Jerzy poruszony, przelękły, coraz bardziej niespokojny o Lolę, nie chciał się zatrzymać dłużej; widok tego miejsca napiętnowanego

zbrodnią, do której mógł dać jakiś powód, dolegał go jakby był jej winien.

— Jedziesz? — spytał Max widząc poruszenie.

— Muszę—odparł Jerzy spuszcżając głowę jak winowajca—spieszę do Robowa: mam pilną sprawę. Dajcie mi tam znać co odkryje śledztwo. Biedny Lacyna!

— A niech go tamci porwą, do których mu tak było pilno!—zawołał Max gniewnie... Ale już Jerzego nie było, biegł co żywo, czując jak Lola niespokojną być musiała, dotychczas nie otrzymawszy odpowiedzi. Ten wypadek z nieszczęśliwym posłem, nagła śmierć jego, tajemniczy jej powód, napełniały go strachem, przecuciem, niepojętą jakąś obawą. Zimnym potem oblany stanął w Robowie, a koń rozparł się pod nim gdy zsiąść przyszło i tak bokami robił, że zdawał się ostatki ducha wyziewać.

Otona nie było, Martynek sam siedział smutny na ławce.

— Co słyhać?—zapytał Jerzy gorąco rzucając się ku niemu.

— A! to ty!—ściskając go i z zamyslenia długiego wychodząc, krzyknął Martynek—to ty! kochany Jerzy, co słyhać? Cóż u nas słyhać być może prócz muzyki? prócz tęsknoty i smutku?

Ale jakoś tak rzewnie to wyrzekł, że Jerzy który sam jeszcze był niezmiernie wzruszony świeżym wypadkiem z Lacyną, ściskając go, ledwie się od łez mógł wstrzymać.

— Gdzież Otto?

Martynek chciał coś odpowiedzieć zrazu, ale nagle się powstrzymał.

— Nie wiem—odparł pomieszany—doprawdy nie wiem; zapewne przy swoich grobach, a może powlókł się gdzie dalej.

— Jakżebyś ty o nim nie wiedział?

— Doprawdy, doprawdy, nie wiem.

— Więc poczekam na niego—rzekł Jerzy ocierając pot z czoła—choć kipi we mnie i pilno mi. O! nie wiesz co się dzieje u Hrabiny? w Zarubińcach.

— Ja? nic nie wiem. Cóż mnie obchodzi sąsiedztwo, którego nie znam?

Martynek jednak odpowiadał zakłopotany, jakby mu ciężko było zebrać się na słowo; jakby chciał co rychlej przerwać rozmowę, spuszczał oczy pomieszany.

Jerzy też nie pytał go więcej, oba usiedli na ławce w ganku i dumali, a chłopak z ukosa, bojaźliwie tylko nickiedy spoglądał na towarzysza, który przybity i pogrążony, opadł na siłach całkowicie.

W tej chwili ciężkie wyrzuty sumienia pierś mu szarpały.

— To biedne dziecko chore, niespokojne, może zagrożone śmiercią; ten nieszczęśliwy Lacyna, obwieszający się na rozdrożu gdy do niej z listem pośpieszał; to splątanie wypadków tak niespodziewanych, tak dziwacznych; otoczenie ludźmi nowemi: wprawiało Jerzego w stan nieopisanego rozdrażnienia i niezgody z samym sobą.

— Jestli fatalizm jakiś przywiązany do mnie—mówił sobie—rodzę się i śmierć prawie z sobą przynoszę matce; ojciec nęka mnie i zmusza do ucieczki: zrywam jedyny węzeł jaki mnie łączył ze światem; wracam do niego,

by znowu ojca radością życia pozbawić, a biedne to dziecię wyrwać z jego spokoju i szczęścia, by wreszcie tego poczciwego, starego sługę wysłać na śmierć. Któż wie? może są takie istoty wyznaczone od urodzenia, aby z sobą niosły wszędzie smutek, żalobę, niepokój? Możem ja winien choć nie rozumiem méj winy? może coś jest we mnie grzesznego, co karę na mnie sprowadza?

Martynek spoglądał na zamysłonego i wzdychał, jakby się nad nim litował; Otto nie powracał. Jerzemu kilka razy łzy zakreśliły się w oczach, młodzieńczy żar wewnątrz go palił.

— A!—rzekł w ostatku,—dajcie mi tam jakiego konia; ja muszę jechać kiedy Otto nie powraca: siwy mój ledwie żywy, dobrze jeśli nie zdechnie! Martynku, konia! ja jechać muszę!

— Dokąd?—spytał chłopak.

— Do stryjenki,—rzekł Jerzy.

— E! poczekalibyście tu... Ottona tylko co nie widać.

— Nie mogę! konia mi dajcie!—powtórzył Juraś błagając.

Martynek stał zafrasowany.

— Tam bo i hrabia dziś pojechał!—rzekł nareszcie pocichu.

— Ja, ja zdaleka tylko dowiem się co tam się dzieje; nie mogę wytrwać być muszę.

Jeszcze się spierali, a Jerzy gwałtem mu się już wydierał, gdy Otto nadszedł ale tak smutny, złamany i zbiedzony, jak nigdy. Spostrzegł Jerzego, wyciągnął ku niemu ręce chciwie, z większą niż kiedy czułością:

— Z kąd ty jedziesz?—zapytał Jerzy.

— Od hrabiniej...

— Ty?

— Byłem wzywany: przyjaciel nigdy nie jest nadto...

— Cóż się tam dzieje?

— Gorzej nie jest.

— A więc jest źle?—podchwycił Jerzy—
— źle! mów, co złego?

— Lola chora i bardzo chora!—rzekł Otto powoli.

— Konia mi dajcie! konia! jam tam być powinien, ja tam być muszę; na Boga! nie wstrzymujcie mnie, bo popełnię zbrodnię...

Otto ani myślał mu się sprzeciwić, skinęli zaraz by podano wierzchowca. Jerzy nikogo nie widząc, nie słysząc co doń mówiono, rzucił się nań, i w galop puścił się przez pola.

Co się tam w tej młodej duszy działo wśród tej szalonej pogoni przez pola, łąki, rowy i lasy, na oślep w stronę w której czuł że ona była? któż zgadnie i kto powiedzieć potrafi.

Burza na lądzie i burza na morzu, które z otchłani wydobywają fale, zaciemniają widnokrąg, mroczą niebo, osłaniają ziemię, jednym całunem czarnym wszystko spowijając na chwilę, nie dają wyobrażenia tego zamętu duszy człowieczej, gdy wichur niepokoją, gdy piorun nieszczęścia w nią uderzy... Myśl wówczas i uczucie płaczą się w jakieś pasma różnobarwne, bezładne, w których nie ma ciągu ni związku. I dobywają się z ich głębi idee dawno uspięne, dawno zabliznione rany, a wśród nich przytomna jedna, główna myśl ciosu, który nas dotknął, tkwi rozświecona błyskawicami, to czarnym pasem na chmurach. W takich razach człowiek nie jest panem myśli ni uczucia, nie kieruje niemi, nie

włada: one nad nim jak chmury ciągną się, przeganiają, łamią, błyskają, piorunują lub osiadają mgły gęstemi. Jeśli na chwilę odzyszcze władzę, znowu mu ją wytrąca siła téj burzy, która w łonie powstała, aby dowieść jego niemocy.

Taki był stan duszy Jerzego, który już nie mogąc walczyć, poddał się uczuciom trwogi i namiętnego niepokoju, myśłom rozpaczliwym, targającym nim na wszystkie strony.

Ani wiedział jak przebiegł przestrzeń dzielącą go od wioski Hrabinej, jak konia zziąjanego i rozbitego rzucił pod gankiem, jak wpadł do sieni i do pokoju bezprzytomny.

Hrabina klęczała i zachodząc od płaczu modliła się; obok niéj druga kobieta łkała także; w kątku doktor siedział ponury ze spuszczoną głową.

Milczenie śmierci, straszne, ciężkie panowało w całym domu... Jerzy spojrział i pytać już nie potrzebował.

Matka na odgłos kroków jego odwróciła się, postrzegła przybyłego i żywo pobiegła ku niemu.

— Jerzy mój, pan Bóg cię może sprowadza! Ona już nic nie mówi, ale ciebie wygląda; ona bardzo, a! bardzo chora! Usnęła na chwilę... Gdy się obudzi, a! Bóg mi przebaczy, ja muszę cię do niéj wprowadzić... Jerzy! ona tak kocha cię biedna.

— A! matko moja! prowadź mnie zaraz! ona już nie śpi, chodźmy... Może tętent konia usłyszała.

Powoli, w milczeniu, poszli ku pokojowi Loli, a matka zostawując Jerzego za sobą, na palcach najprzód wcisnęła się do przyciemnionej izdebki.

Na łóžeczku cień biednego dziewczęcia ze złożonemi na piersiach rączkami, spoczywał w bieli; główkę miała zwisłą jak kwiatek uwiędły, oczy zamknięte, czoło, po którym wiły się włoski rozsypane, blade było jak marmur i wypogodzone kamiennym snu spokojem...

Matka przystąpiła powoli, cichutko zbliżyła się i usiadła przy niéj; wzięła jéj rękę: ręka opadła bezwładna, zimna, lodowata.

Z krzykiem rzuciła się na jéj piersi... i Jerzy przypadł za nią do łóžeczka.

Z ust uśmiechniętych oddech i dusza uleciały: Lola nie żyła.

Zimne jej zwłoki z usty, na których zdawały się wypiętnowane wyrazy przebaczenia ludziom i światu, spoczywały jakby latargiem ujęte.

— O mój Boże!—rzucając się na ziemię, krzyknął Jerzy—zapóźno! Ani nawet pożegnania, ani z ust jej słowa, ani przebaczenia: a! to okropnie! to straszliwie! Wówczas gdy ja, ja ją zabiłem!!

Hrabinę wyniesiono omdlałą, rozruch w mgnieniu oka całym dworem poruszył; ludzie tłumnie zalegli pokój cichy przed chwilą, z którego dusza czysta dziewczęcia białymi skrzydły tęsknoty, powędrowała ku niebiosom.

W godzinę potem dwie świece paliły się u łoża, krzyżyk czarny stał w głowach; z kwiatkami i obrazkiem w rączkach Lola leżała na białej jak twarz jej pościeli, wybierając się w podróż na ten ocean bezbrzeżny, z którego nikt nie powraca.

Ksiądz szeptał u wezglowia modlitwy za
jój duszę....

Ranek zastał Jerzego leżącego jeszcze u nóg
tych drogich zwłok, które z nim razem łzami
oblewała matka, przy których zdala stał oj-
ciec z okiem osłupiałem i wargą obwisłą, jak-
by i teraz jeszcze chciał niedowierzać śmierci.
Milczenie przerywane tylko szeptem modli-
twy zalegało dwór, który nawiedziła śmierć,
zabierając zeń najświeższy kwiatek, najjaśniej-
szy promyk wesela.

Na biednego sierotę, któremu pękało serce,
niktby nie zwrócił uwagi, gdyby przybiegłszy
na wieść o śmierci Otto, nie oderwał go gwał-
tem od skostniałych zwłok, nieumiejącego się
bronić, nie mogącego już płakać nawet.

Nikt go tu nie przywitał, nikt nie poże-
gnał, gdy dłoń przyjaźni wywlekła siłą, z po-
środku żalem usamolubionych ludzi. Przy
trupie córki tylko ojciec i matka splakani obo-
je uścisnęli się i zapomnieli urazy, zbliżając
się do siebie znowu, ażeby cierpieć wspólnie.

Tak to biedne, za ledwie rozpoczęte życie, rozwiało się we łzach i boleści, uleciało jak sen z przed oczów ludzi.

Za trumienką dziecięcia, posypaną zielonością i kwiatami, poszła matka aż do grobu, i ojciec i wierni słudzy. Jerzego nie puszczo-no, bo na chwilę był jakby zmysłów pozba-wiony: szalał miotany gorączką. Dopiero po kilku dniach Otto sam idąc na ten cmentarz, do grobu już pokrytego drzewy i kwiatami, swojej ukochanej, do mogiły ojca: wziął go z sobą i sam zaprowadził na świeżą jeszcze darni, pod którą spoczywały całego życia nadzieje.

— Płacz tu, — rzekł mu, — jak ja od wielu lat płacę; płacz modlitwą i rozmyślaniami, abys się więcej nie przywiązywał do życia i umiał je, znikome, poświęcić zawsze obowiązkom, cnocie, przekonaniu, powinności. Obcowanie z umarłymi cię nie popsuje, z nich tylko pozostaje to, co w nich dobrego było: śmierć oczyszcza i ubłogosławia. Masz swojego anioła w niebie, bądźże godnym jego na ziemi. A nie zapominaj, żeś mężczyzną.

— Patrz, — dodał niepuszczając jego ręki, i wiodąc go po cmentarzyku, — oto groby ukochanych niegdyś, na których w pierwszej chwili boleści poskładano marmury, pozasadzano ogrody, pozakładano obeliski nieskończone: dziś chwast i ruina. Niech boleść twoja nie będzie tak gwałtowną, niech będzie chrześcijańską, męską, spokojną a trwałą! Lada dzieciak rozpaczać potrafi: wielkie tylko serca umieją pamiętać. Téj próby czasu nie wytrzyma nie jeden żal, nie jedna rozpacz, nie jedna miłość...

Módl się, płacz, ale bądź mężczyzną; dla niej lepiej jest, że umarła: nie bądź samolubem. Rozwiałyby się sny wasze przy rzeczywistości, która nielitościwie brudną dłonią kruszy alabastrowe marzeń gmachy; dziś, na wieki anioł twój stoi przed tobą jak usnął, w szatach białych swojego dziewictwa i miłości.

Nie czujeszże ducha jego w sobie?

Jerzy zapłakał i pokłękł, Otto pomodlił się i usiadł potem na ławce, którą tam sobie na cmentarzu postawił przed grobem ojca i na-

rzeczonej. Siedział tak długo milczący i patrzył na Jerzego, którego w końcu ujął za rękę.

— Wstań, — rzekł mu, — my żyjemy, życie ma obowiązki i ciężary; nie godzi się umierać duchem, gdy żyjemy ciałem. Co myślisz? co poczniesz z sobą? mów mi.

— A! nie nalegaj! nie pytaj! Miałem czas zebrać myśli? wiemże co boleść zrobi ze mną?

— Mów lepiej co ty zrobisz z boleścią, — odpowiedział Otto. — Płacz sam nie jest dla życia dostatecznym pokarmem, trzeba żałobę nosić na sercu, a pracę na rękach. Masz matkę, masz braci, masz siebie, masz całe życie przed sobą. Ona cię pokochała nie za piękność twoją, ale za duszę i serce; byłeś dla niej ideałem, stań się nim w życiu.

Jerzy milczał.

— Może zawcześnie, — odezwał się Otto surowo, — narzucam ci obowiązki; lecz potrzeba byś je pojął i myślał o nich. Jesteś sam na świecie, a poczciwa kobieta, która ci służy za

matkę, nie dźwignie cię, bo sama upada pod ciężarem. Synem być powinienes! pamiętaj! A teraz wstań i chodźmy. Będziemy mówili o niej jeśli zechcesz. Milczenie gryzie, słowo jak łza unosi z sobą życia gorycze: anioł twój słucha ciebie.

— Ten anioł może i tam mi nie przebaczy! — zawołał Jerzy ze łzami.

— O mój drogi, — odparł Otto, — jeden tylko świat i ludzie nie umieją przebaczać: Bóg i anioły są miłością samą!

W Robowie za powrotem zastali wcale niespodzianych gości: był to nieznośny Max, który szczęśliwie pozbył się śledztwa o śmierci Lacyny, i pan Jędrzej ojciec Anety, oba przybyli z serdecznemi kondolencyjami do Jerzego, który ich przyjął ponurém milczeniem, oznajmującym jak nie rad był tej niewczesnej ich czułości. Ale tego rodzaju ludzie wcale nie zważają na obojętność i wstręty, jakie się im okazuje: p. Jędrzej nie domyślił się tego przez głupotę, Max przez zarozumiałość.

To zajęcie p. Jędrzeja Jerzym, chociaż szanowny obywatel wcale czułym nie był, ude-

rzyło Ottona; pomiarkował, czego się zresztą oddawna domyślał, że Jędrzejostwo i Aneta nie wyparli się swoich widoków na Jerzego, i w chwili nawet tak bolesnej, nie zapomnieli o nich.

Biedny pan Jędrzej zmuszony do smutku, którego nie doznawał, w wielkim był kłopotcie, a nie mogąc inaczej wyrazić zmartwienia, kiwał boleśnie głową na lewo i prawo, trzymając ręce założone w tył i wzdychając niekiedy, dość niewprawnie na różne tony.

Max nie śmiał być jeszcze wesół, a trudno mu było długo wytrzymać z powagą. Okoliczności te szczęściem skróciły wizytę, która wszakże nie była bez znaczenia. Kilka dni potem Jerzy pozostał jeszcze w Robowie, nie mogąc się od tych miejsc oddalić, ale niespokojne i błagające listy p. Izabelli zmusiły Ottona odwieść go i namówić do powrotu do Horycy.

Tu czekało nań serce co w milczeniu podzielić umiało jego boleść, i nie słowy, ale czynem dowiodło mu macierzyństwa. Jerzy zna-

łaził, jeśli nie pociechę w nieszczęściu, to kogoś, co je umiał pojąć i poszanować.

W Zarubińcach, do których oboje hrabstwo powrócili, smutno było i pusto; brak jednego dziecięcia wszystkim się dotkliwie czuć dawał—pustkowiec i trumną. Dla biednej matki wspomnienie dziecka żyło wszędzie, obraz jego cieniem za nią chodził, zbierała pamiątki i płakała nad niemi. Wkrótce ten pokoik, w którym lat tyle spędziły razem, stał się jakby grobowym muzeum, pełnym wspomnień zewsząd nagromadzonych. Krosienka Loli, jej książki, kwiatki, sexterna, dziecinne wzory, robótki, sprzęty zebrały się tu i otoczyły matkę, która marzyła chwilami, że Lola jej kochana nagle otworzy drzwi i wnijdzie z uśmiechem na ustach, przyskoczy ją objąć uściskiem, rozweselić szczebiotaniem i piosenką. Ale głuche milczenie śmierci niczem nieprzerwane otaczało ją ciągle, a gdy wieczorem wśród modlitwy w otwarte okno spojrzała w świat hrabina, gdy pomyślała jak z niego

ku niéj nikt rąk nie wyciąga, nikt się głosem serca nie odzywa, nieraz upokorzona westchnęła ku śmierci.

Hrabia odbolał także, ale w téj duszy, która kochać nie umiała tylko nałogiem, inne przywyknienia zastąpić łatwo mogły te, których jéj brakło. Mechanika powoli odzyskała prawa swoje. Malczak powrócił do dawnych obowiązków. Nieustanne wszakże niepowodzenie, zawody codzienne powoli zrażać i odstręczać zaczynały. Przychodził wprawdzie wedle zwyczaju oglądać nieforemne swe pomysły, nieszczęśliwie wykonane, ale już jakoś nie miał siły brać się do nowych. Czuł potrzebę w sercu, której zaspokoić nie umiał.

Przypadek rozwinął w nim wkrótce nową chorobę, która pierwszą miała zastąpić. Hrabia dochodził właśnie wieku, w którym zwykle gasną inne namiętności a obudza się chęć znaczenia, przodkowania i głośności. Dotąd siedział tak cicho, że mało go znano; majątek szczupły nie dozwalał mu dobijać się o dość zawsze kosztowną popularność. Teraz bogatszy o wiele, za podszeptem kilku przyjaciół,

zwłaszcza pokornego sędziego, pomyślał, że i on mógłby mieć wpływ u współobywateli i jakieś znaczenie między swojemi, którego daleko odeń niżej położeni ludzie używali.

— JW. hrabio, — przemówił doń Majszagolski, który sam coś liczył na rozbudzenie w nim uczucia godności, — czyżby to JW. panu nie godziło się zająć w obywatelstwie przyzwoitego urodzeniu, fortunie i imieniowi stanowiska? U nas nie ma głowy, coby prowadzić mogła; szlachta na to utyskuje; byleby JW. pan sięgnął, pochwycisz co zechcesz: marszałkowstwo, prezesostwo, urząd gubernialny. No! toć przecie człowieka stawi przyzwoicie, a robi go użytecznym ziomkom.

Hrabia popatrzył nań z góry.

— Ja się o nic dobijać nie lubię.

— Po cóż się tu bardzo dobijać: raz, dwa dać obiad, wejść w obywatelstwo, trochę popularniej obchodzić się ze szlachtą, a zrobisz JW. pan z nią co zechcesz.

— To może być prawda, — rzekł hrabia, — nie wątpię, że odrazu mogę pozyskać więtość, ale bylebym raz inaczéj nosa utarł niż

wszyscy, to ją tak samo stracę, i pójdzie nie-
wiedzieć dlaczego, jak przyszła nie wiedzieć
za co.

W tém hrabia wcale się nie mylił.

— Ale, ba! — przerwał sędzia, — umieć się
tylko potrzeba trzymać, to się zrobi co ze-
chce. Wierz mi JW. pan, obywatelstwo całe
oczy ma na niego zwrócone.

Chociaż świeża strata dziecięcia, tak zaraz
rzucić się w świat nie dozwalała, a opuszczać
domu dla hrabinę, pogrążonej w smutku nie
wypadało; hrabia wszakże dał się namówić
w kilka tygodni, i pojechał do miasteczka na
rugi, gdzie nadzwyczaj sympatycznego doznał
przyjęcia, jak to zawsze bywa z początku.
Szeptano wprawdzie pocichu różne rzeczy,
ale kłaniano się i ściskano serdecznie, a wię-
kszość twierdziła że to są bajki tylko, rozsian-
e złośliwie.

— Znasz hrabiego? — mówił jeden.

I długo potem szeptano historyą na ucho.

— To nieznośna figura! — mówił inny, —
i skąpy i cheiwy i dumny! a zaprzędany du-
szą i ciałem....

— Ale co pan też mówisz! to fałsz! ja go znam!

— A? W Pan go znasz?... jednakże słyszałem...

— Na cóż takie słuchy na wiatr rzucać powtarzać?

— Tak zapewne! dowodów niema! jednakże! Mogą to być i bajki, a ostrożność nie zawadzi.

— Zawsze bardzo podejrzany.

— Na miłość Boga! — wołał sędzia — powiedzcież przecie co zrobił, jeśli potępić chcecie.

— Zrobić, to on nic nie zrobił to pewna, ale bardzo podejrzany — powtarzał szlachcic — ja się go boję: zawsze to hrabia!

Tęj siły argumentów używano przeciwko niemu, ale się jakoś nie wzięły i Hrabia wkrótce, po naradach i obiadach kilku, jednomyślnie marszałkiem obrany został; a choć inni współzawodnicy zadawali mu różne zbrodnie, gdy się zgodzono nań, pierwsi go ścisnąć i rozczulać się zaczęli nad trafnością wyboru. Dla Hrabiego urząd stał się zaraz namiętnością

jak przedtém mechanika, nie lepiej oparta, nie jaśniej zrozumiana, ale również zaprzatająca; było bowiem umysł, który jak młyn raz puszczony, choć nic nie było na kamieniu mléć musiał, i równo tarł mąkę czy piasek.

W Zarubińcach więc w jednym kątku łzy i modlitwa, w drugim rozpostarło się życie publiczne, obowiązki mozolne naczelnika szlachty, reprezentanta powiatu, a nowe zajęcia o krótkim smutku po stracie dziecięcia zapomnieć kazały.

Max Fermer prowadził dalej życie, którego ofiarą padła Pułkownikowa, zmieniona do niepoznania, opuszczona, smutna, całemi dniami osamotniona i tęskniąca, gdy szanowny jój genialny małżonek latał po sąsiedztwie i kawalersko się zabawiał. Serce jój zbierało się kilkakroć na wymówki najukochańszemu, ale tak się go już obawiała, że nigdy jakoś do nich nie przyszło; a gdy żal wezbrał i miał wybuchnąć, ostrożny Max pocałunkiem i pochlebstwem w porze zaadministrowaném, doskonale umiał zapobiedz smutnym następstwom, ja-

kieby zbyt otwarte wywnętrzenia sprowadzić mogły za sobą.

Pomimo małego nieporozumienia z Anetą, zawsze ona była jego najulubieńszą sąsiadką, a dom państwa Jędrzejostwa najpoufalszym dlań przytułkiem.

Aneta od niejakiego czasu, jak wszyscy uważali, wielce była zmienioną: ta fizyonomia smutna, prostoty i naiwności pełna, którą była pierwszy raz przywdziała dla p. Izabelli, częściej coraz służyła jej za sukienkę powszednią. Szeptali wszyscy z ubolewaniem nad tém, że p. Aneta do zbytku spoważniała i za długo nosiła po przyjaciółce żalobę.

Sam Max często ją tak zmienioną znajdował, że jej się lękać począł.

Kilku starających się o rękę swoją, mimo wiedzy matki odstręczyła i usunęła, parę razy głośno objawiła zdanie paradoksalne, że za mąż wcale iść nie myśli; lecz w głębi serca, któż wie? może zachowała jakąś nadzieję powrotu Jerzego, któremu teraz nic nie przeszkadzało zakochać się w pięknej Anecie.

Z matką razem była na pogrzebie Loli, płakała na jej grobie, tydzień cały nosiła suknią i rękawiczki czarne, potem pilno rozpytywała Maxa o Jerzego i nie wiedzieć jakim cudem, tak dobrze była o każdym jego kroku uwiadomiona, że on nawet zdumiewał się nad tą wszechwiedzą.

Kilka już miesięcy upłynęło od opisanych wypadków, gdy dnia jednego Aneta przez ojca najprzód, podrzuciła matce myśl pojechania do Horycy. P. Jędrzej służył czasem córce za organ pośredni, ale tak się zwykle niezgrabnie wywiązywał z posłannictwa, że go tylko od biedy używano, i tą razą nie lepiej mu się udało.

— A żebyś ty, kochaneczko, Stasiu—rzekł prosto z mostu—pojechała sobie odwiedzić w Horycy, tę tam matkę Jerzego? co?

— Tobież zkąd ta myśl?

— A! myśl! prawda, że to jest myśl—powtórzył p. Jędrzej—mnie ona znikąd, ot tak sobie. Alboby to co szkodziło? To po drodze do Pińska, toby i śledziów można kupić.

P. Jędrzejowa pokiwała głową: nie łatwo ją było oszukać.

— Przyznaj mi się, żeś to nie ty skomponował?

— E! ja-bo nigdy nic nie komponuję; ty to wiesz—odparł skromnie p. Jędrzej—już ty się domyślisz czyja myśl.

Kiwnęli sobie głowami nic nie mówiąc.

— Dość, że téj Anecie młokosa tego z głowy wybić niepodobna.

— Niepodobna wybić! niepodobna!—rzekł smutnie p. Jędrzej.

— A no, to rada trudna, kiedy on do niéj serca nie ma.

— No, toby jeszcze mogło się znaleźć, ja myślę nie szkodzi próbować. Młody... tego... i zawsze...—dodał Jędrus, nie zbyt jasno wyrażając myśl zresztą zrozumiałą—ale, jak już sobie chcecie. No, a w ostatku gdyby i nie kochał, czyżby się dlatego ożenić nie mógł?

— Co ty pleciesz?—groźnie spytała pani.

— Nic! nic! ja tak sobie!—zawracając się odparł mąż pomieszany, czując, że na niebezpieczną wszedł drogę.

Skończyło się na tém, pierwszym razem, jednakże gdy projekt poddano powtórnie, gdy Aneta coraz smutniejsza wznowiła go jeszcze: p. Jędrzejowa choć wzdychając, musiała się wybrać do Pińska sama, niby przypadkiem mając zajechać do Horycy, z krótką tylko i ceremonialną wizytą od miasteczka do dworu. Projekt był starannie osnuty, a matka wyuczona dokładnie co mówić miała.

— Stało się jak Aneta pragnęła, dla której te pierwsze wstępne odwiedziny tylko do drugich, w których ona udział mieć mogła, za przygotowanie służyły. Jerzy nie pokazywał się w tej okolicy, trzeba więc było gnać za nim, a Aneta coraz silniej zdawała się przekonaną, że byleby ją teraz zobaczył, byle dni kilka swobodnie z nim przebyć mogła, owładnie nim i pochwyci za serce zbolełe.

W Horycy wcale się takich gości nie spodziewano; oddawna nikt tam nie zajrzał: życie płynęło jednostajnie i dość smutnie.

P. Izabella zajmowała się sierotkami, których całą szkółkę zgromadziła przy sobie; Jerzy urządzał majątek, zbliżał się do tego ludu,

ku któremu zawsze największą czuł sympatyą i gospodarskie niekiedy podzielał z nim prace.

Część dnia poświęcano czytaniu, rozmowie, naradom, resztę miłosiernemu krzątaniu się około dzieci i ubóstwa, w którym i stary X. Mizerya brał udział chętny, choć nie bardzo skuteczny, bo sił mu już brakło. Jerzy oprócz tego końmi i polowaniem, gwałtowném znużeniem ciała leczył się ze smutku, ratował w tęsknocie i skracał długie życia godziny.

Przywiązanie jego do panny Morosz, która w chwilach pierwszej boleści okazała się dlań najtkliwszą matką, wzmogło się i rozbudziło, a synowskie obowiązki dla niej, choć część serca zajęły. Jerzy starał się pilnie osłodzić jej życie smętne i puste, to muzyką, to czytaniem, to przechadzką i rozmową, to wreszcie zajęciem około szkoły dzieci, w której podejmował się dozoru i nauczycielstwa.

Nowe te zajęcia, nowy też pozór i fizyonomią nadały Horycy, w której Pawłowi staremu i Radwanowiczowi bardzo biednego Lacyzny brakowało. Długo się po nim utulić nie

mogli, długo odtęsknić, ani wytłumaczyć sobie katastrofy. Wyżłisko jego stare wychudło, oslepło, znędzniało, i zaglądając do próżnej izdebki, wyjąc pod jej progiem, zdechło w końcu jednej nocy.

Mieszkanie zostało nie zajęte długo, ale potem Paweł namyśliwszy się, wniósł się tu, oszczędzając nogom schodów, a Radwanowicz po staremu przychodził do niego na gawędę, z tą różnicą, że Siermiężki mu na jego dywagacye nie odpowiadał wcale, i rozmowa ograniczała się monologiem, przerywanym tylko kiwaniem głowy i zażywaniem tabaki. Niekiedy zjawiał się tu i Porciakiewicz, ale ten był zbyt żywy; Radwanowicz z nim także nie umiał prowadzić rozmowy, to się zaraz skłócili i przychodzili do słów ostrych.

Paweł w ostatnich czasach tak nagle postarzał, że już nawet służby się wyrzekł i fabrykacyi tabaki; najczęściej siadywał w kątku z rozłożoną na kolanach książką i różańcem, ale więcej drzemiąc niż modląc się podobno.

Tak płynęło życie w Horycy, gdy niespodzianie jednego poobiedzia, karetą na saniach

podjechała pod wielki ganek i wysiadła z niej pani Jędrzejowa. P. Morosz była w swój szkółce, Jerzy na polowaniu, a gość musiał chwilę poczekać w sali na górze, nim gospodyni w bardzo prostej sukni i ubiorze powszednim nadeszła na jego przyjęcie.

Niemało zdziwiła się nawet odwiedzinom, które ledwie krótkie poznanie się u Hrabiny usprawiedliwiało.

— Jadąc tedy do Pińska—odezwała się pani Jędrzejowa—nie mogłam się oprzeć chęci odwiedzenia choć na chwilkę pani Dobrodziejki, której miła acz krótka znajomość zawsze mi jest pamiętną i głęboko w sercu mojem utkwiła.

Naturalnie, potrzeba było za to utkwienie w sercu podziękować czule, posadzić na kanapie przyjaciółkę i począć ciężką rozmowę, która wlokła się jak po grudzie z niezmierną trudnością, póki nie dobiła do brzegów ku którym zmierzała. Dostyc nawet zręcznie doprowadziła ją pani Jędrzejowa do Jerzego, do tego zamknięcia się jego w domu, które smutek uwiecznić i pomnażać mogło, do koniecznej

potrzeby jakiegóś rozrywki dla młodego człowieka i t. p.

— Od rozrywki jeszcze potrzebniejszą jest praca—przerwała panna Izabella—a na tej nam nie zbywa; Jerzy gospodaruje, urządza się.

Myśl jednak rzucona utkwiała w sercu matki, że możeby świat i rozrywka jakaś, nie były bez skutku na czarny humor Jerzego.

— Ja sama—odezwała się po chwili p. Jędrzejowa—doznałam tego-co może dystrakcyja z moją córką, bo chociaż się ona jej opierała, wszakże zawsze sam przymus, goście, rozmowy, trochę mi ją rozerwały. Bo to, widzisz WP. Dobrodziejka, trudno doprawdy uwierzyć jak ona odbolała po śmierci swojej przyjaciółki Hrabianki... One się tak rozumiały, kochały! żyły z sobą, można powiedzieć, jak dwie siostry. Moja poczciwa Aneta długo, długo spać, jeść, utulić się nie mogła... A! co ja z nią doznałam trudności! Dziś jeszcze tego ciosu który ją dotknął, nie może całkiem zapomnieć!

Pani Jędrzejowa miała to sobie zapewne dysponowane powiedzieć w przytomności Jerzego, ale nie mogąc się go doczekać, choć matce samej wynurzyła głęboki żal całego domu nad śmiercią Loli, pewna że p. Izabella powtórzy to synowi.

Wieczór zimowy nadechodzący szybko zmusił w końcu Stasię do odwrotu i dalszej naza-jutrz ku Pińskowi podróży, z kądem w myśl małżonka nawet beczułkę śledziów przywieziono. Było najczystszy zysk tej przejażdżki.

Gdy późno w noc Jerzy powrócił i wedle zwyczaju przyszedł do p. Morosz aby się o jej zdrowie dowiedzieć, znalazł ją trochę ożywioną temi odwiedzinami p. Jędrzejowej.

— Zrazu opowiadanie o nich jakieś przykre na nim zrobiło wrażenie, ale p. Izabella tak czule i wymownie odmalowała mu współczucie tych poczciwych Żeligów nad stratą Loli, że Jerzy musiał im być wdzięcznym.

— Jakież to było dobre i kochane dziecie— rzekła w końcu matka— jak wszyscy co się do niej zbliżyli, co ją tylko poznali, musieli się do niej przywiązać! Wystaw sobie, że ta

Anusia długo po jej śmierci jak obłąkana chodziła, nie mogąc przemódz żalu po przyjaciółce ani się we łzach utulić.

— Aneta?— spytał Juraś— ależ to dwa charaktery, które wątpię, by kiedy z sobą zgodzić się i sympatyzować mogły: Lola była tak prostą, tak szczerą i naiwną; ta tak jest wyuczona i wyegzaltowaną na chłodno!

— Musisz się mylić, Jerzy; taką ci się może pod chwilowém wydała wrażeniem, gdyż wiele kobiet przez nieśmiałość przybiera ten ton fałszywy. Ja ją widziałam u Hrabiny i podobala mi się bardzo... Znalazłam ją także prostą, otwartą, naturalną, rzewną a taką słiczną i poważną!

— Nie wiem, mogłem się bardzo omylić— odpowiedział Jerzy— prawda, że ją widziałem nie wiele, i za każdą prawie razą inaczej.

— To dowód żeś jej nie poznał, że z obawy i nieśmiałości nie wiedziała jak być...

Na tém skończyła się rozmowa na ten raz, wznawiana potem przez p. Izabellę, lecz zawsze jedną przyjmowana obojętnością przez Jerzego.

A czas powoli płynął i z nim życie: dni gromadziły się jedne za drugie zlatując jak liście jesienne... i nic już napozór nie zmieniało się w Horycy...

Miało się już ku wiosnie, gdy znowu Max jadący do Pińska zawrócił z drogi do Horycy i odwiedził starego przyjaciela Jurasia. Nigdy tu nie był jeszcze i znalazł ten zapadły kąt kraju dosyć nudnym; ale że teraz starając się zostać obywatelem, aby zatrzeć swe pochodzenie artystyczne, musiał przejąć wszystkie upodobania nowego stanu, do których i myślistwo należało: unosił się nad lasami ogromnemi i doskonałym polowaniem. Zrobiono dlań nazajutrz małe łowy, które się bardzo powiodły, i Max wymógł wzajemnie słowo na Jerzym, że do niego na polowanie przybędzie. Jakkolwiek bolesnym dlań było odwiedzić znowu tamte strony, wyrobił to na sobie, żeby pojechać do Maxa, i zarazem być u Ottona: pomyślał w duszy, że na grobie Loli się pomodli. Pragnął też bardzo zobaczyć Hrabinę, dla któ-

rój prawie synowskie uczucie zachował; ale się wahał, wiedząc, że odwiedziny te mogą jej przypomnieć bolesną stratę, i że Hrabia, który zawsze wstręt dlań okazywał i teraz zapewne czulszym nie będzie. Zwlekło się jakoś to polowanie u Maxa, bo wilcy byli wyszli, bo mu żona potem chorowała, aż nareszcie w miesiący kilka przybiegł umówiony posłaniec z zaproszeniem na następujący tydzień, i Jerzy rad nie rad wybrać się musiał.

Łatwo się każdy domysli, że wieczorem po łowach, gdy się wszyscy znaleźli w saloniku Pułkownikowej, dziś nie tak już świeżym i wytwornie urządzonej jak dawniej; trafem przybyli państwo Jędrzejostwo oboje, z Anetą, ubraną czarno, smutną, zamysloną a tak wyidealizowaną przybranem czy naturalnem cierpieniem, że istotnie zdawała się należeć do sławnej grupy Nioby... Śladów dawniej zalotności i trzpiotostwa ani znaku nie było na pięknej jej twarzyczce, oczy zdawały się w łzach pływać, czoło jakby wieńcem chmur miała opasane; poruszała się zwolna, ciężko: rzekłbyś, że jej ciężyło już życie.

Gdy ujrzała Jerzego, lekki rumieniec przebiegł po twarzy jój i w milczeniu trochę drżącą podała mu rękę.

— Oboje straciliśmy — rzekła głosem, w którym łkanie słychać było — drogą sercu przyjaciółkę... Widzisz pan, jeszcze po niej noszę żalobę, a z duszy pewnie nigdy jój nie zrzucę... A! uleciał anioł nasz w niebiosy!

Początek rozmowy był bardzo zręczny, odpychał bowiem wszelką myśl samolubną, wiązał ich wspomnieniem czułym, przemawiał do serca, i Jerzy w imię zmarłej podaną sobie rękę uścisnął z głębokim uczuciem: łza zakręciła mu się w oku. Nie postrzegł, że łza ta wywołała iskrę ognia z oczów Anety, która szybko spuściła powieki i odezwała się dość znowu głosem smętnym i łagodnym:

— Jakże ja dawno nie widziałam pana, choć sercem zbliżaliśmy się często, o! często byłam przy nim, współczując z jego boleścią. Mój Boże! ileż to pan wycierpieć musiałeś: ja to tylko pojmuje i to życia sieroctwo i tę pustynię przyszłości...

Jerzy westchnął milczący.

— Nieszczęściem — rzekł — gdy człowiek pragnie śmierci, albo mu jęj żądać nie wolno, albo życzenie wywołać jęj nie potrafi: trzeba żyć i walczyć do końca.

— Boć życie zawsze walką — odpowiedziała Aneta — ale dlaczegoż tak się pan zamknąłś w domu? tak wszystkim swym wydarłś się przyjaciółom?

— Pracuję, a świata nie lubię wcale — rzekł Jerzy — jedno czyjeś serce czyż to nie dosyć dla człowieka? Tłumy mu nic nie dają, a odbierają wiele.

— Ja nie wiem — odezwała się Anna — ale jednak człowiek póki żyje, musi potrzebować społeczeństwa i winien mu jest siebie... Zresztą wybierać można i potrzeba.

— Ja też wybrałem sobie — rzekł Jerzy — ubogich i biędnych, tych którzy nikogo nie mają.

— Dla duszy jednak coś więcej potrzeba — przerwała Aneta — nie dość jęj oddawać siebie, ona i karmić się czemś musi.

— Książka w takim razie jest najposilniejszym pokarmem, w książce jest treść człowie-

ka, której on nigdy prawie się nie powstydzi: ta żywi.

— A jednak żywe słowo więcej jeszcze warte od najlepszej książki; wyznasz pan, że ono czarodziejską posiada siłę. Książkę każdą człowiek jeszcze musi ogrzać myślą własną, musi ją zbudzić do życia, musi dopełnić sobą: to go wyczerpuje.

— I dobrze jest, bo pracować musi....

— Ale się zamało pokarmi, bo i ta praca życie zabiera.

— Prawda,—rzekł Jerzy,—choć są siły których używając wzmagamy je. Samo żywe słowo czyni umysł przywykły do niego wyłącznie lekkim i powierzchownym; książka zmuszając do pracy, spowaźnia, stęża.

— Nie czyniż go znowu sztywnym i surowym do zbytku? Mnie się zdaje,—dodała Aneta,—że i tu różne żywioły w pewnym stosunku na życie pełne składać się muszą, książki, myśl, słowo, uczucie, czyn... Zawsze prawie brak jednego z nich okalecza człowieka. Same książki go wysuszają, sama myśl wy-

cieńcza, samo słowo lekkim czyni, uczucie samo ogłupia, sam czyn odbiera władzę sądu; wszystko razem stanowi dopiero człowieka.

— Tak, to jest prześliczna teoria, — odparł uśmiechając się Jerzy, — ale gdzie ten człowiek pełny? Każdemu z nas braknie czegoś, a ideał nie jest rodem z naszej ziemi.

— Ja nie wiem, — przerwała Aneta, — są chwile, w których on się żywym objawia, ale całe życie, równo od brzegu do brzegu nikomu ideałem być nie wolno. Rozumiem wszakże chwile apoteozy, które każdy w życiu przebywa, nawet zbrodniarz, nawet ubogi i najuboższy pod dachem, podnoszą się w tych chwilach, ów do cnoty, tamten do rozumu. Chwila ta trwa błyskawicę dla jednych, dla drugich godzinę, dla innych lata, a im dłużej w niej wytrwa człowiek, tém więcej jest ideałem.

I spojrzała na Jerzego tym łzawym wzrokiem, który tak pociąga, co tak rozbudza na dnie serca leżące, martwe już nawet uczucia szczątki.

— O mój Boże, — odezwała się nagle, — pan mi tak przypominasz szczęśliwe chwile! — I zasłoniła oczy. — Ja ją tak kochałam.

Max, żona jego, pani Jędrzejowa, wszyscy jakby sobie słowo dali odstąpili Jerzego i Anetę, zostawując ich na samotnej rozmowie, a Jędrus który niezgrabnie o mało się nie wdał między młodą parę, dostał na migi tak groźne napomnienie od żony, że się już potem zbliżyć nie śmiał do Jerzego i jak najdalej od niego uciekał.

Aneta rzuciwszy raz wędkę nie puściła z niej zdobyczy; ciągle w tym obłoku smutku, melancholiczna, rzewna, karmiła Jerzego wspomnieniami, a wzrok jej sięgał głęboko do duszy.

Co się z Jerzym działo, trudno zaprawdę tłumaczyć. Aneta wcale na nim przykrego nie zrobiła wrażenia; rozum jej, smutek, wymowa, zręczność, może potężny urok piękności, sprawiły to, że po godzinnej rozmowie prawie się uczuł z nią swobodnym i spokojniejszym. Ona tak umiała trafić w myśl jego i sercu pochlebiać!

A tak była teraz prostą, naiwną, szczerą, tak niewymuszoną i niezalotną, iż prawie posuwała się do zaniedbania zupełnego... Wiedziała zapewne, że to jej nie ujmie wdzięku.

Zabawa przeciągnęła się późno w noc, Max ożywiał jak mógł towarzystwo i choć żona jego chora była na głowę, państwo Jędrzejowstwo czekając na księżyc, dosiadali do drugiej.

A złożyło się tak jakoś dziwnie, że cały prawie wieczór Aneta była przy Jerzym; z początku mówili o Loli, potem o kobietach, potem Aneta wpadła na niespodziane wyznania.

— Pan nie uwierzysz,— rzekła,— jak jestem stara, jak mnie już nic na świecie nie bawi, nie obchodzi, nie zajmuje; patrzę obojętnie na ludzi, śmieją mnie, napełniają litością, nie pociągają ku sobie: tak to łatwo stracić tę epidermę młodości, która już nigdy nie odrasta, ten pyłek owocu, który lada podmuch zwieje, lada dotknięcie unosi... A to tak dobrze być młodym!

— Ale tak trudno! — rzekł Jerzy.

— Jednak są i ludzie na wieczną młodość stworzeni!—odparła Aneta.

— Chyba na wiekuiste złudzenia i omyłki,
—dodał z westchnieniem młody człowiek.

— Nie, nie, na świeżość uczucia, która się nie wyczerpuje. Znam takich, których nawet gwałtowna miłość nie potrafiła oziębic, którzy z równą siłą kochali kilka razy w życiu.

— Tego nie pojmuję,—zawołał Jerzy,—chyba uczuciem różnym, przywiązaniem chłodniejszym, szacunkiem, przyjaźnią, którym niewłaściwie dano nazwisko miłości.

— Nie! nie! Są kwiaty co raz kwitną tylko, i co się rok cały okrywają kwiatami: czemużby i człowiek nie miał być różnie uorganizowanym?

— Może, nie wiem, ale sądzę że takie uczucie jak wielka i prawdziwa miłość, wyczerpuje się cała do razu.

— O! nie! nie! doprawdy! serce sercem jest zawsze, człowiek zawsze kochać zdolnym.

— Czy pani kochała? — zapytał naiwnie Jerzy.

— Ja?—odparła zarumieniona Aneta, — nie! Choć to pytanie dziwne, ale na nie szczerze odpowiem. Dzieckiem marzyłam, kobietą pragnęłam kochać, i nie znalazłam nikogo kogo ukochaćbym mogła. Ja może zawiele pragnę, wolę jednak nic jak to, coby mi nie wypełniło serca... Zdaje mi się, że gdybym pokochała, miłość moja byłaby ogniem, coby dał życie lub jak piorun je odebrał.

Słowa te wymówiła ciszej, niewyraźnie; Jerzy spojrzał na nią i w oku jéj czarném spotkał przerażający jakiś wyraz, jakby straszliwego pragnienia zemsty i nienawiści, który obwiął go chłodem i odepchnął.

Nazajutrz nie wiem jak Jerzy dał się Maxowi zawieźć do sąsiadów. Kiedy im to przyrzekł, nie przypominał sobie, ale mu wmówiono że przyobiecał, że dotrzymać musi... Pojechał więc niechętnie, z uczuciem prawie zgryzoty jakiegóś i obawy. Tym razem Aneta była znacznie weselszą.

Poufale i po bratersku uściskała mu rękę i słowa już nie mówiła o Loli, tylko niekiedy naśladowanym jakby uśmiechem, ruchem, wy-

razem, starała się ją przypominać; a wyuczona ta rola czasem się wcale dobrze udawała. Jerzy uczył bicie serca, nie posądzał ją aby się stroiła umyślnie w ten z trupa odarty wdzięk cudzy, ale mu to sprawiło rozkosz niewypowiedzianą; nawet głos jej srebrny dźwięczał jakby biednej Loli.

U państwa Jędrzejowstwa znowu się wszystko dziwnie składało; ustępowano im z drogi, nikt nie przeszkodził rozmowie, wszyscy jakby należeli do spisku, pragnąc się zdawali, aby Aneta miała czas usidlić przybyłego, związać go i pochwyć.

Nie brakło jej środków ku temu; serce może było zimne, ale głowa pałała. Któż zresztą wie co serce? Gdzie granice uczucia prawdziwego od kłamanego uczucia? Często zaczyna się od fałszu, a kończy prawdziwą namiętnością, i jak wielu niedowiarków, co wchodzą do kościoła zimni a wychodzą skruszeni i przejęci, jeśli się to porównywać godzi, wielu też zaczyna od udawaney miłości, by na najszczerzej zakończyć.

Tak może było z Anetą: nie wiem, miłość, fantazyja czy rachuba przeważały, to pewno tylko że idei swęj poświęcić była gotową wszystko, i nie dała się żadną zrazić trudnością i walką. Owszem, przeszkody jak tamy wodę rzeki, silniej jeszcze nagromadzały, a czas co zwykle niszczy w zarodzie próżną namiętność bez celu, podnosił ją tylko i wzmagał.

Na Jerzego cała ta strategia kobieca, której sztuką było żeby niedostrzeżoną została, niewiele podobno działała; jednak chwilami ten głos, ta kobieta, przypominały mu głos niewieści z innego świata, chociaż przy najgorętszej chęci przebrania się za Lolę, umysł Anety, jej doświadczenie, chłód i sceptycyzm, przebijające się mimowoli, nie dopuszczały jej roli téj dobrze odegrać. Burzyła jedném słowem, co zbudowała wejrzeniem i głosem... Przez najczulsze wyrazy jej przebijała się niewiara, szyderstwo, zwątpienie.

Jerzy znajdował ją zajmującą, zabawną, ale w sercu nie czuł nic prócz jakiegoś rozdrażnienia. Stopniami, powoli jednak ten niepokój

przeradzał się w uczucie, z którego nie mógł, nie umiał sobie zdać sprawy.

O siłę i potęgę młodości! która oświeca, jak promień słońca i słomianą strzechę, czyniąc z niej złoczone dachy, i najpospolitsze liścia mienisz w twarze aniołów, i słowo ciche w hymn poetyczny przeradzać umiesz: może też i Anetę dla Jerzego, zimną i marmurową postać, czyniłaś już żywą i uroczą istotą!

Wdzięk który w niej widział, w nim był samym więcej niż w tej kobiecie.

Bo w sercu młodzieńca zachowała się cała siła młodości, nie wyczerpała jej pierwsza miłość, ani pierwsza wielka boleść, ani grób i tęsknoty grobowe; odzywała się w głębi piersi, promieniała z niego, okrywała swojemi blaski wszystko na co wejrzał, co napotkał. Tak w bajkach ludowych spotykamy bohaterów, którzy dotknięciem jednym przeistaczają wszystko, starców w młodzieńce, ruinę i śmierć w życie; a tą różczką cudowną, cóż jest jeśli nie czarodziejka młodość?

Czyż w jej oczach nie takie dzieją się dziwy, nie większe przemiany, w jej uścisku,

w jej zachwytach? Mój Boże! ileż to cudów później gdy siła odejdzie, gdy ten wzrok zagaśnie, gdy pierś się ta skurczy i wychłodnie, niedojrzane, zaprzeczone, zapoznane nikną lub w prosty tryb powszednich zdarzeń wracają! Młodość tylko posiada dar ten opromieniania, widzenia piękna, poczucia go, wyprowadzenia na zewnątrz tak silnie, że zacie- ra rysy, któreby szpecić mogły i rozczarowy- wać. Dopóki człowiek czuje piękno i zdolny jest do uniesienia, póty tylko jest młodym, póty dobrym; później bywa mądrym i silnym, ale inne już widzi strony żywota: tamta na wieki dłoń zgasła.

Jerzy posiadał jeszcze w sercu tę siłę, którą utracić tak łatwo, a odzyskać niepodobna, dla niego świat jeszcze chodził w szatach świą- tecznych i Aneta też piękniej mu się wyda- wała niż innym, bo znał ją taką jaką chciał mieć, nie jaką była w istocie; nie zagłębiał do głębi duszy i wierzył że Bóg na to stworzył usta, oczy i czoło, aby mówiąc prawdę, świad- czyły o duszy.

Na straży jego serca stał jeszcze biały cień umarłej; pokochać nie mógł, ale go przyciągnęła już ku sobie: już czuł się tajemniczo pochwyconym, o ludzka słabości! tém, że pierwsza zbliżyła się do niego, że mu okazała współczucie, że go potrzebowała.

Większa część miłości silnych rodzi początkowo to uczucie wdzięczności: podana ręka, rzucony wzrok temu, co sam dłoni wyciągnąć nie śmie, ani wejrzenia obrócić. Z dwojga zawsze kobieta pierwsza okazać musi trochę uczucia, bo mężczyzna każdy więcej ma jeszcze może dumy niż serca, boi się walki z której nie wie czy wyjdzie zwycięzcą.

Aneta jednak była dosyć ostrożną, chciała się podobać, lecz o tę wolę posądzoną być nie chciała; wiedziała że w oczach Jerzego odjęłoby to jej część uroku. Dlatego przy drugim spotkaniu, gdy wyszli na ganek, rozmawiając głośno, odezwała się doń wiodąc dalej rozpoczętą rozprawę:

— Wiele jest do poprawienia na świecie, i w naszym nawet bycie kobiecym. Nie przeczę, że obowiązkiem kobiety jest kochać, być

żoną i towarzyszką człowieka; lecz społeczność robi jęj z tego więcej niż powinność, niewolą, wkładając na nią kajdany, i wyrzuca jęj jeśli została wolną, nie pozwalając wybierać.

Jest to coś nakształt tego, jakby kto niewolnikowi przykutemu do ściany więzienia, miał za złe, że nikt go rozkuć nie przyszedł. Jeśli śmieszność i jakaś wzgarda ściga tę co została panną; dlaczegoż jęj nie dano swobody wyboru, więcej powiem, woli i inicjatywy w przywiązaniu? Musimy czekać aż nam ktoś raczy rzucić chustkę sułtańską, a jeśli nie rzucił, wina nasza! To śmieszne! to nie logiczne! Każą nam, bądź co bądź, iść za mąż, a potem krzyczą że nie spełniamy obowiązków, których nie przyjęło serce. Ja to inaczej pojmuję: nie poszłabym za mąż, chyba wybrawszy tego, który ma być moim mężem; inaczej śmiało zostanę starą panną—to wolę.

Trzeba koniecznie, —dodała ośmielając się, —aby każda łodyga kwiat wydała; nie wolnoż okryć się zielonością, wystrzelić ku słońcu i zostać palmą samotną?

Dla mnie ten stan swobodny mojego pa-
nieństwa ma urok, którego bym się nie umiała
wyrzec, chyba dla wielkiego przywiązania, dla
czegoś czego nie mam pojęcia, bom nigdy nie
podobnego nie doznała.

— W ogólności,—rzekł Jerzy,—w poję-
ciach o tém jest wiele konwencyjonalnego,
przekręconego przez społeczeństwo zepsute,
jest tyleż fałszu co prawdy. Kobieta zamało
ma swobody i wszystkie wady niewolnictwa...
W innych razach granice które kładą jej
czynnościom, są opiekuńcze i troskliwe.

— Więc wiecznie mamy potrzebować tej
opieki?—spytała Aneta,—i na zawsze pozo-
stać dziećmi?

— Szukając siły, usiłując ją dobyć z siebie,
możecie trafić na utratę wdzięku, który wam
daje niemoc właśnie, słabość i dziecięctwo
wasze... Nie jestże potężną to, że siły nie ma-
cie? że nikt szlachetny użyć jej przeciwko
wam nie może? Jutro wzięwszy siłę, poślu-
bicie walkę...

— A dlaczegoż i my nie miałybyśmy walczyć? — spytała Aneta.

— Dlaczego? — powtórzył Jerzy, — dlatego że i bez walki przy was zawsze zwycięstwo... Wam więcej o pozór może niż o rzecz chodzi; panujecie, ale kto inny dźwiga koronę i berło: chcielibyście wziąć te oznaki, a pozbyć się władzy?

— Władzy! ale jakiej? nie jestże to zawsze przewaga faworyty zamkniętej w ciasnych murach i okutej w złote kajdany? Dusza moja oburza się na to.

— Boś pani nie kochała nigdy, jak sama przyznajesz....

— To być może... — Lecz sądziszże pan, iż wszystkie miłości są jednakowe; że dąb, olsza i sosna jednakim się palą płomieniem? Musiałeś się nieraz przypatrzeć ogniewi kominika, jak różowo i sino płonie pocichu rozżarzona olszyna, jak dąb pali się żółto zielonemi płomyki, jak sosna gorejąc trzaska i rzuca rozpalonemi iskrami, cała w chwili oblewając się ogniem i stając popiołem: mnie się zdaje, że tak i z sercami być musi.

— Nie wiem!! znam tylko, moje, w którym pozostały także węgle i popioły, — rzekł Jerzy smutnie, — i jeszcze jedno serce, które spłonęło cicho jak zapalona bryła bursztynu: któż zbadał tajemnice serc ludzkich!

Aneta zamilkła. To wspomnienie dobyte tak nie w porę, oblało ją lodowatym grobu powiewem: zadrżała i ostygła.

Zawsze ona! zawsze ona! — rzekła w duchu, — nawet po śmierci.

Złagodniała i posmutniała, na czole jej zawisła chmurka zadumy.

Na ten raz zabita już była rozmowa. Aneta czuła, że wspomnienie Loli ścigać ją będzie; cierpliwie zacięła usta, zamknęła piersi i uśmiechnęła się swojej boleści. Jedna matka poznała, że w niej utkwił cios jakiś, któremu potrzeba było czasu, ażeby z rany został wydarty.

Gdy tak młodzi zostawieni sobie rozprawiali, Max który znał wpływ Ottona na Jerzego i serdeczną ich przyjaźń, nie bez celu także

wywiódł go do ogrodu. Stosunki jakie ich łączyły łatwo już z rysów poprzednich odgadnąć się dają: Max obawiał się Ottona i wcale go nie lubił, ale mu wielką okazywał grzeszność. Otton obchodził się z nim obojętnie, nie szacował go wcale, często dając mu to uczucie z otwartością sobie właściwą.

Jak wszyscy ludzie miałości głowy, Max wszakże pochlebiał sobie, że potrafi podejść Ottona lub myśl jakąś tak mu poddać niepostrzeżenie, że on nie opatrzywszy się ją połknie. Nie domyślał się wcale, że Marzycki wchodząc z cygarem w ustach do ogrodu, wcześniej wiedział po co był prowadzony, i co mu wpajać miano.

— Dom bardzo przyjemny!— rzekł Max.

— Hm! hm!— odparł Otto,— powiedz, chyba panna, bo pani jest jej podszewką, a pan poczciwe stworzenie, sługą i niewolnikiem obojga: ani Stasia, ani Jędrus wcale przyjemnemi nie są.

— A no! to prawda,— zawołał Max,— ale przyznasz, że co to za swoboda!

— Zapewne, wielka... Jest jój może trochę nadto.

— Ale przyzwoicie...

— Nie przeczę...

— A panna Aneta??

— Panna Aneta śliczna panna i nie głupia!

— Prawda! a już to znacie i umiecie sądzić ludzi! Ja to wciąż powtarzam: śliczna, rozumna i bogata...

— Śliczna, bogata, rozumna — powtórzył Otto puszczając kłęb dymu — ani słowa!

— I co to będzie za żona.

— A! no! to jeszcze pytanie! — rzekł śmiejąc się Otto.

— Jak to? przyznam się że nie pojmuję?

— Powiem ci, jeśli chcesz. Całe życie służył jój ojciec, służyła matka; już ciż nawykła do tego trybu rzeczy, nie może innego chcieć męża tylko pokornego sługi: więc...

— Nie idzie za tem! a jeśli pokocha?

— Jeśli pokocha! to znowu pytanie!

Max uczuł się zbity z tropu i wpędzony w zaułek podobny do Niecałej ulicy, nie wiedział kędy wychodzić.

— A! — rzekł — to serce, które kochać musi!

— Nie widzę jasno przyczyny.

— Pełna uczucia.

— Czy serce, czy głowa? — spytał Otto?

— Jako, głowa?

— Czy ona sercem będzie kochać, czy głową? — powtórzył Marzycki.

— Pełna uczucia! — powtórzył Max.

— A no! niech będzie pełna uczucia.

Milczeli chwilę.

— Jużto z Jerzego i z niej byłaby para co się zowie.

— Z Jerzego? — zapytał stając Otto — jako z Jerzego?

— Dziwisz się.

— Dziwię! Wszak wiesz, że Jerzy jest zaręczony.

— On! z kimże! on!

— Z tą, która umarła — rzekł poważnie Otto.

— A! a! zlitujże się!

I Max serdecznie śmiać się począł.

— Ostrożnie — przerwał Otto surowiej — szydzisz w oczy człowiekowi, który jak on

zaręczony z umarłą, dotrzymał grobowi wiary, posiwił zachowując słowo dane mogile!...

Max zmieszał się.

— No! tak! ale przyznasz że on, tak młodym będąc...

— Byłem równie młodym, gdym ją stracił.

— Zresztą nie każdy potrafi tak kochać jak wy, panie Ottonie—odparł Fermer.

— To komplement — rzekł Otto zimno. — Każdy kto kochał, kocha; tylko ci co nie kochali, ale się bawili, znudzić się mogli i zapomnieć: Jerzy kochał!

— Więc sądzicie, że tu z tego nic być nie mogłoby?— spytał niespokojnie Max.

— Ja! ja nic nie myślę!

— Ale jak się wam zdaje?

— Szacuję Jerzego, serca jego nie znam, ale wierzę, że gdy co mówi nie kłamie... Wczoraj z nim razem byliśmy na jej grobie.

Max spuścił głowę.

— To istotnie miłość godna uwielbienia.

Otto zaczął w milczeniu palić cygaro, Max powkładał ręce w kieszenie i krocząc powoli, poszli ku gankowi.

— Powiedz mi, mój szanowny panie Maxie—odezwał się po chwili Otto—z kąd to ci te swaty przyszły do głowy?

— Mnie! swaty! Zmiłujże się, to było rzucone na wiatr; a że kocham Jurasia jak brata, szczerze dla niego pragnąłbym szczęścia, które tylko poczciwa żona dać może.

— Czemuż nie sądzisz, że poczciwe choćby zagrobowe uczucie, nie daje także szczęścia?

— Ja jestem pospolity człowiek — rzekł Max — z gliny prostej, chcę mówić z mięsa i kości; sądzę o drugich z siebie... Tak mi się zdawało!

— I źle ci się zdawało — rzekł Otto. — Dla ludzi jak Jerzy, ta kąpiel prozy życia, brudów i rzeczywistości, które nieustannie prac potrzeba aby je nosić można, nie jest wcale łaźnią coby uleczyła; jego młodość boleścią się unicśmiertelnia, czystem uczuciem spotęgowuje: pierś jego tym ogniem oczyszcza i złoci... Do tej piersi przycisnąłby na chwilę anioła, któryby mógł zmienić się kto wie w jakie zwierzę drapieżne w uścisku, i rozdarłby mu

może poczciwe serce, wyssałby zeń resztkę wiary i miłości. Do czegoż się to zdało? —

— Ale-bo my się nigdy nie rozumiemy.

— Tak, masz słuszość—odparł Otto—na to zgoda, i dajmy sobie pokój.

Obie rozmowy, jak widzimy, wcale się nie powiodły, a Jerzy i Otto wkrótce porozumiewszy się wzrokiem, wyjechali od p. Jędrzejostwa: Max sam pozostał.

Aneta siedziała w ganku na ławeczce, odprawiwszy matkę, odesławszy ojca, a łza niepostrzeżona spływała powoli po pięknej jej twarzy; ale to była łza jakaś dziwna, samotna, sierota, wyciśnięta chwilowem uczuciem, które ścisnęło za serce; nie zmrużyło się od niej oko, nie zarysowała twarz, nie zmarszczyło czoło: była jakby łzą pożyczoną, przeleciała wstydząc się siebie po spalonym policzku, i znikła nie otarta, może nawet nie poczuta.

Max pocichu stanął we drzwiach i stał patrząc na nią, nie śmiejąc się odezwać.

Potém spojrzeli na siebie. Aneta zerwała się żywo, wahała chwilę, coś jakby wstyd ją owionął, ale Max nabrał odwagi za dwoje.

— Mówiłem z Ottonem — rzekł.

— A! na Boga! któż pana o to prosił.

— Naturalnie, mówiłem od siebie.

— Któż panu pozwolił?

— Nic się przecie złego nie stało: sam mnie zaczepiał — rzekł kłamstwem wymawiając się Max.

— Jakto? on? sam? I cóż mówił?

— No! to marzyciel i dziwak: gadał mi o grobach, o miłości wierniej, lichu wie co! i że wczoraj jeszcze chodzili odwiedzać mogiłę.

— A jutro nie pójdą? — spytała Aneta jakby przypadkiem.

— Nie wiem: ci czuli kochankowie chodzą tam podobno codzien. Zgadało się i o pani — dodał Max.

— A! to wcale niepotrzebnie. Otto mnie niecierpi, ja to czuję.

— Broń Boże! ale on ma swój ideał.

— A ja do jego ideału nie mogę być podobną! — odpowiedziała Aneta. — Dobranoc panu.

Max pożegnany nagle, wyjechał zaraz smutny; Aneta pozostała w ganku rozdrażniona, poruszona, przejęta.

Nie! — zawołała w duszy — tak być nie może... Uczucie wywołać musi uczucie! Ja go mieć muszę: będę czekać, będę cierpieć, upokorzę się, odmienię. On musi, on musi mnie w końcu pokochać. Sto razy mówiono mi to. Czuję że jestem piękną! młodość jeszcze się nie starła z téj twarzy: miałżeby on jeden być niepokonanym? Czyż cień téj kobiety prześladować mnie będzie wiecznie?

Serce Anety ścisnęło się od bólu.

Nie! nie! — zawołała — ja nie jestem winną jéj śmierci, to myśl dzika i chorobliwa: truciznę tę szatan mi rzucił w serce! To dziecko spaliło się własną miłością, było wyznaczone na śmierć... Cóżem ja winna?

Cierpliwości! wytrwania! On będzie, on musi być moim! Walczyć będę z jéj cieniem, z jego sercem. Wezmę go nie napastniczym zwycięstwem, ale pracą powolną; zdobędę po części, poznam, wcielę się: — opanuję.

Ale jedenże on na świecie? — spytała po chwili.

A! jeden! jeden który mi się oparł — odpowiedziała — a ja się czuję niezwyciężoną: on musi być moim!

— Kochanie — przerwała jej matka wchodząc ostrożnie — ty się zaziębisz, moje dziecko; rosa pada, wieczór tak chłodny: choć już spać! proszę ciebie.

— A! jakże mnie mama przestraszyła!

— Ale bo też nie wiedzieć poco siedzisz nocą w ganku: ty wiesz jak jesteś skłoną do kataru.

— Idę już, mamó: idę, idę.

Nazajutrz rano mglisto jakoś było na świecie i mglisto na czole Anety.

— Moja mamó — odezwała się przy herbacie — gdyby mi konie zaprzęgli, pojechałabym z Franusią lub sama do kościoła.

— Do kościoła! — spytała zdziwiona matka, wiedząc, że usposobienia do modlitwy nie miała wcale córka. Ty? w dzień powszedni, do kościoła?

— Tak...

— Chcesz tego?

Aneta kiwnęła głową trochę pomieszana, Stasia pośpieszyła zadzwonić na Jędrusia, który wpadł natychmiast z brodą do połowy ogoloną.

— A co? — spytał — a co?

— Koni potrzeba dla Anetki.

— Koni? dokąd?

— Chce jechać do kościoła. Co ci do tego, Jędrusiu: dosyć, że natychmiast potrzeba koni.

— A no! to będą! Ale któż wiedział że pojedzie.

— Jędrusiu, bez rezonowania!!

— Ależ ja ani myślę rezonować: konie zaprzęgną natychmiast.

I ojciec wybiegł przestraszony natarczywością Stasi, a w kwadrans później Aneta koczykiem lekkim, osłonią czarnym woalem, jechała ku kościołowi, przy znajomym już nam położonemu ementarzu: w rękę trzymała prześliczną wiązkę kwiatków.

Wiejski w Muszyńcach kościółek, na pochyłości wzgórza, które się na południe zwróciło ku łąkom i płynącej przez nie rzeczulce, oto-

czony był cmentarzem, na którym parafianie od bardzo dawnych grzebali się czasów. Świadczyły o tém stare już drzewa ocieniające tę „rolę Bożą” i zapomniane mogiły, na których kupka gruzów zastępowała pomnik co miał przetrwać wieki; kamienie omszone, krzyże z niewyraźnemi na nich wyrytymi zgłoskami, dziś już niezrozumiałemi. Najpiękniejszemi tu jeszcze pomnikami były jodły, kasztany i topole, które z grobowców na jakich stały wzrosłszy i rozpuściwszy konary, mogiły, może za żywota nieprzyjaznych ludzi, połączyły splecionemi gałęzmi. Kościółek był drewniany i bardzo stary, ale utrzymywano go tak, by dożył nowego, na który powoli jakoś zbierali się parafianie; a tuż przy nim rozciągał się po staremu z pogańskich może jeszcze czasów ów cmentarz i przysadzista w rogu kostnica, przypierająca do plebanii.

Mimo smutnych czarnych krzyżów na mogiłach, cmentarz w części tylko obmurowany, zresztą opasany drewnianym płotem, ze swą bramką drewnianą także, na której sterczał krzyżyk pochylony, wyglądał dosyć wesoło.

Bujna zieloność pokrywała go wszędzie, prócz kilku miejsc żółtą gliną napiętnowanych świeżo i jakby ze skóry odartych, pod którymi niedawno spoczęli ostatni, powołani na sąd Boży.

Ksiądz staruszek używał swego cmentarza jak ogródka do przechadzki, zbierał nawet na nim owoce z kilku krzaków i drzew wiśniowych, które się przy parkanie rozrosły. Otto, mając tu ojca i narzeczoną, jeden też kątek utrzymywał ze starannością zakonnika, pielęgnującego grządkę swojej celi. Miejsce to niedaleko ogrodzenia, objęte żelazną kratą, zasadzone drzewy i najpiękniejszymi krzewami, obejmowało dwie proste mogiły, na których dwie wielkie szare leżały płyty kamienne, z dwoma imionami i datami żałobnemi. Ścieżka wysypana piaskiem wiła się dokoła tych grobów, a do parkanu przyparta ława dębowa, czysta i wysiedziana, świadczyła, że często tu Otto przychodził. Świeże kwiaty wiosenne, starannie opielte i podlewane, jaśniały, jakby w najweselszym dziewiczym ogródku

pod kilką jałowcami, jodełkami, krzakami róż i bżów.

Wiosna właśnie wszystko to umiała i przystroiła w pączki i różnobarwne kwiaty. Nieopodal od grobu Ottona wznosił się kamienny sarkofag Loli, na którym matka napisała imię jój pieszczone i jedno do Boga westchnienie.

Obok niego także zieleniały już zasadzone świeżo rośliny, ale tu jeszcze nieposłuszna ziemia, razem z niemi wyrzucała z łona dzikie swe dzieci: chwast i łopuchy, które walczyły o lepszą z wychowañcami ogrodu.

Ranek powoli z mglistego przechodził w pogodny, opary siadały w dolinach i uścielały się jak zrzucone zasłony, a wyświeżony krajobraz pięknego Wołynia, obmyty rosą, ozłocony słońcem, zarysowywał się już w oddali. Ptaszki gospodarzące na cmentarzu w gałęziach drzew starych i świeżo zasadzonych krzewach już szczebiotały wielkimi gromadami, przenosząc się z krzykiem z miejsca na miejsce za najmniejszym szelestem. Cisza zresztą panowała na cmentarzu, przerywana tylko ich wrzawą wesołą i stękaniami człowieka,

który grób kopiąc w rogu, to pilno a żywo ziemię odrzucał, to pot z czoła ocierając i wzdychając, spoczywał.

Furtka skrzypnęła: Otto i Jerzy powoli weszli na milczący mogilnik, oczyma szukając swoich grobów. Otto dojrzał zaraz, że mu się jeden krzak róży odwiązał od podpórki i pochylił jak chory na stojące obok kwiatki: poszedł i zaczął tam gospodarzyć. Jerzy skierował się też do swojego grobu, przy którym nie miał prawa poprawić i zmienić: płakać i modlić się mógł tylko.

Oba potem usiedli na ławce i poglądali, dumając na ten małeńki światek, z Hamletowskiemi myślami o człowieku, tylekroć powtórzonemi, tylekroć powtarzającemi się jeszcze!

Grabarz wciąż kopał i stękał, i pot ocierał z czoła, poglądając ciekawie na przybyszów. Do pół już stał w mogile, opierał się rękami o jój brzegi i mierzył czy jeszcze głęboko dobywać mu się będzie potrzeba, by wygodnie usłać łoże. Ptaszki świergotały mu nad głową, w dali słychać było ryk bydła i wesołe głosy pól i dolin.

— Czyby się nam uczyć potrzeba od natury, czy naturze od nas?—rzekł Otto po długim milczeniu.—Patrzno, co to za spokój i cisza i wiosenne rozkwity na grobach? Nigdzie żałoby: wszędzie przy śmierci, po zgonie życie w innych kształtach, i kolebka tuż przy mogi-
le. Nie ma więc związku między nami a tym światem, który litości dla człowieka nie czuje, czy litość jego i miłość inaczéj się wyraża, że my ich nie rozumiemy? ja nie wiem.

— Jeżeli przechodniowi wolno świszcząc minąć cmentarz, dlaczegóżby wróblom nie miało być wolno śpiewać na nim, kwiatom kochać się i kwitnąć?—odparł Jerzy.

— To prawda: smutek, tęsknota nie są w naturze; to płody duszy człowieka. Natura burzy się, gniewa, niszczy, wywraca i wnet odbudowuje i pieści, by znowu łamać i burzyć, ale nie tęskni długo i nie płacze nigdy swych dzieci.

— Mylisz się—rzekł Jerzy—nie słyszałeś nigdy nocnych jęków stepowego wichru jesieni, ani tęsknego pacierza morskiego za umarłych, kiedy w czarną noc bije falami o brzegi,

jak grzesznik dłonią w piersi i płacze. Są kraje wiecznej tęsknoty, mgły, łez i żalu: są cmentarze ziemi. A zresztą myśmy maluczką chwilą, nam wolno tęsknić i płakać; tam życie jest wiekuiste i prawa niezmiennie; dla nas są przypadki: tam konieczność.

— Człowiek! człowiek! — rzekł Otto — ochota bierze umrzeć, aby go zrozumieć.

— Masz słusność, nie można razem być widzem i aktorem; ale czy widzami będziemy, gdy to co dla nas dziś ciekawe, później się może stanie obojętném? Gdy pękną te węzły co nas łączyły z maluczkiem tutejszym światem??

Spojrzeli na spoconego grabarza i milczeli znowu. Wtém zatętniało na drodze: powóz się jakiś zatrzymał, otwarła się powoli furtka cmentarza i postać czarno ubrana, osłoniąca całą, powoli weszła rozpatrując się wkoło, nieśmiała, strwożona, smętna. Nikt jej nie poznał, a zdziwiony zrazu Otto wstał, popatrzał i usiadł zacinając usta i marszcząc czoło.

— Ha! — rzekł zeicha — nie sama natura na cmentarzach gotowa słać łoże weselne, umieją to i ludzie. O mój Boże! to profanacya grobów!

Ale Jerzy tego nie słyszał, śledził oczyma nieznaną postać, która doszła wprost, powoli ku grobowi Loli, przy nim pokłękła i bukiet kwiatów rzuciła u stóp sarkofagu, a nie widząc nikogo modliła się długo.

Potém wstała, podeszła kilka kroków, podniosła głowę jakby niespodziewając się ujrzeć nikogo; zrzuciła duszącą ją zasłonę i krzyknęła spostrzegłszy Jerzego, który się naprzód wychylił.

Była to Aneta.

Spotkanie romantyczne — rzekł Otto w duchu — zaczyna mnie to niecierpliwic. O komedye żywota! o aktorowie zycia! Aż tu! mój Boże! gdzie się już skryjemy przed wami?

Jerzy nadto był zmiękczony widokiem grobu, by posądził Anetę o wyrachowanie, żeby jej mógł wyrzucać, że tu przybyła: przez myśl mu nie przeszła nieszczerosc.

— Co za dziwne spotkanie! — zawołał w duszy.

Aneta stanęła, stała jakby nie wiedząc co począć; otarła łzę niewylaną jeszcze, może tę zapiekłą wczorajszą, i czekać się zdawała powitania.

Czy ludzie i przy grobach muszą być grzeczni? Nie wiem; Otto nie przywitał, Jerzy nie śmiał. Aneta postąpiła kilka kroków.

— A! to pan!

— To pani!

— Wczorajsza nasza rozmowa, sama nie wiem jakie uczucie, wspomnienie biednej Loli, tak mnie przejęły, że tu przybiegła odwiedzić choć grób przyjaciółki niezapomnianej, rzucić nań kilka kwiatów i łzę cichą.

Kłamała, bo łzy w ogrodzie zerwać nie było można, a wypłakać jej nie umiała.

— A! pani ją kochałaś? pani jej nie zapomnisz? Przyjm odemnie z serca dzięki.

Jerzy zszedł już na pospolitego bardzo grzecznego człowieka, który kłaniał się i dziękował i przypominał tych ichmościów niosących

trumnę, co się przepaszali następując sobie na pięty.

W twarzy jego więcej znać było zmieszania się niż czułości.

Aneta przybrała razem z suknią czarną twarz stosowną, żalobną, a piękna była tak, że gdyby ją tak na jednym z tych grobowców postawił, cudnie majestatyczną malowałaby boleść. Lice nawet wypogodzone było ciszą, oko świeciło głębiną bezdenną, rezygnacya niebieska zdawała się ją opromieniać. A! gdyby taka była w istocie, jaką się być zdawała!!

Spojrząwszy na nią Jerzy, który okiem młodości widział tylko piękno, olśniony został tém zjawiskiem jakby z grobów wyrosłem, wspomniałem, wielkiem, dojrzałem do życia, a dziewicy wieniec noszącem jeszcze u czoła. Powoli na widok jej przejmowało go uczucie coraz dziwniejsze; nie kochał, ale przejęty był i oczarowany.

Otto patrzył na niego nie na nią, z twarzy mu czytał jak z księgi, i smutniał.

Natura! ludzie! wszystko jedno! życie opłacać musi groby — rzekł w sobie — to począ-

tek nowej miłości. Ten bluszcz uparty ucze-
pi się ruiny i ozieleni ją sobą.

Jerzy w uwielbieniu dla Anety, sądził się
być wiernym pamięci siostry, ale serce jego
od grobu już poczynalo zwracać się do życia.

— Jakże tu cicho! spokojnie! miło!— rzekła
Aneta zbliżając się powoli i kładąc rączkę
odzianą obcisłą rękawiczką czarną, na żela-
znej kracie, która ich dzieliła— co tu kwiatów!
to ogród umarłych! Nie dziwię się panu Otto-
nowi że tu, jak słyszałam, spędza długie go-
dziny. Pierwszy raz jestem tu sama i czuję że
trudno mi się ztąd wyrwać. Ja myślę, że zdro-
wo być musi czasem wnijsć na cmentarz spy-
tać śmierci o życie?

Otto milczał, schylony patrzył na grób swój
drogi; Jerzy wdzięcznością popchnięty, wy-
szedł powoli z za żelaznej otoki i zbliżył się
do Anety. Razem milcząc poszli do grobu Loli.

— Biedne dziecię!— rzekła postać w czerni.

— Biedny anioł!— dodał Jerzy.— Lecz by-
łóż to serce tak gorące przeznaczone na dłu-
gie lata? mogłóż ono wytrzymać z tém co je

otaczało? nie byłaż lepszą od tego z czém ja-
los związał? od nas i od wszystkich?

— Nie od was — przerwała Aneta, nawet
w obec grobu odważając się na pochlebstwo —
wy jesteście także taką jak ona, wyjątkową
istotą! Dwie wasze dusze szczęśliwe na krótko
się spotkały, ale tym pocałunkiem żyć może
ona w niebie: ty na ziemi — dodała cicho.

— A jednak, tęskno mi, duszno i ciasno tu,
zwłaszcza gdy na ten grób patrzę — odparł Je-
rzy ze łzą w oku — nie umiem nosić godnie
płaszczka żałoby: cięży mi na ramionach.

Anecie oczy błysły, zamilkła.

Przeszli powoli około grobowca, a Jerzy
sposzrzegł świeżą kwiatów wiązanke rzuconą
na stopnie i pochylił się ku niej; połowa bu-
kietu była oblana rosą, połowa zwalana py-
łem, który na kamieniach osiadł; kwiatki na-
pół przyciśnięte i zgniecione zdawały się skar-
żyć, choć razem z świeższemi jeszcze zwiędnąć
i uschnąć miały... Z wiązki tej Jerzy zerwał
czarnego bratka i zachował go w rękę.

Otto wciąż patrzył zdaleka, a wargę jego
zwieszala się coraz smutniej i czoło fałdowało

groźnie. Jerzy powoli przeprowadzał Anetę do furtki, pożegnał ją u powozu i stojąc popatrzył jeszcze za odjeżdżającą: bo i ona parę razy piękną główkę ku niemu zwróciła.

Tuman pyłu żółtego uniósł się na gościńcu, rozbił w chmurkę, wirował, uleciał i zakrył powóz i cmentarnego gościa.

Powoli z bratkiem w ręku Jerzy powrócił do Ottona, który siedział nie wstając z ławy, a gdy przyjaciel podszedł ku niemu, ruszył się o kiju wychodzić.

— Pokój umarłym! — odezwał się Otto — bo dzisiejsze odwiedziny, mój Jerzy, już zarywają na świętokradztwo i szyderstwo... Te wzroki żywych pałace, co się krzyżują nad próchniejącą trumną, to coś okropnego, to urągowisko niebu, wieczności, pokojowi śmierci!

— Gdzieżeś je zobaczył? — spytał Jerzy.

A! w oczach waszych!

— Moich??

— Jój tylko! ale z jej źrenic przeleje się prędko ogień w piersi twoje... Jerzy...

— Przyjacielu! — uśmiechnął się boleśnie młody chłopiec wskazując mu grób — patrz: a ona?

— Ona usypia w białym całunie i uśmiecha się może zwodnicy, która przyszła umyślnie by jej wydrzec ostatek.

— Jako? umyślnie? — oburzył się Jerzy cofając.

— A! a! naiwny człowiecze! — rzekł Otto — myślisz że przypadkiem tak ślicznie czarno ubrana przyjeżdża wesola i zręczna dziewczyna na grób przyjaciółki, aby powietrzem wiosny, zaprawném zgnilizną trupią odetchnąć? Myślisz że po to tu przyjechała, aby rzucić te kwiaty?... O prostoto godna złotego wieku!

— Ottonie, więcej wierz sereu ludzkiemu.

— A! wierzę w nie i szanuję, Jerzy mój, ale życie uczy wiele! Tyś młody i piękny, nie ma wątpliwości dla mnie, że ona kocha ciebie, że ma odwagę nawet o grób się uderzyć i w pyłe pokleknąć, byleby ciebie zobaczyć, zbliżyć się do oiebie i śliczną ci błysnąć twarzą.

— Mylisz się! mylisz na Boga!

— O! nie myśl! niestety! to jaśniejsze od południowego słońca; ty jeden możesz tego nie widzieć.

Jerzy się zarumienił.

— A! — zawołał — toby było grzechem strasznym!

— To jest tylko namiętnością, a namiętność to burza, mój Jerzy; niszczy ona, nie zasiewa, i przelatuje szybko.

— Więc przeleci?

— Zniszczywszy może.

— Mój Ottonie — odparł młody chłopak, — czyś ty już zwątpił o mnie? czy mnie sądzisz niegodnym jój pamięci?

— Ja cię Kocham! ja cię braterskim uściskiem do mojej piersi przykułem, ale któż wie? mnie samego gdyby taka czarodziejka dziewczyna, zimna a rozpłomieniona, rozkochana a chłodna, poczęła dawniej uściskiem od grobu odciągać: — nie wiem, nie wiem, czybym wytrzymał! Któż z nas tak silny, by się oparł łzom i westchnieniu?

— To ci się wszystko śni w gorącej wyobraźni.

— Nie! nie! mówię chłodno, mówię smutno, mówię prawdę. Patrzyłem i patrzę na nią, ona cię kocha lub pragnie; nie wiem: jedno z dwojga! Ty wiesz francuzkie przysłowie, że Bóg chce co chce kobieta... A! często ona chce tego, co chcą szatany raczej; i rajskiego jabłka z pod węza głowy dostanie.

Ale dość! nie mówmy o tém.

— Ja dziś, zaraz, jadę do Horycy! — odparł Jerzy.

— To najlepiej — rzekł Otto — przed falą przybywającego morza najlepiej uciekać; z niem się nie walczy... Aneta jest falą morza, fale ścigają daleko!

Zamilkli, ale Jerzy sam o sobie począł być niespokojnym; coś dziwnego się w nim działo. Rzucił kwiatek na ziemię, podniósł go wspomniawszy że dotknął grobu Loli, i poszli powoli do Robowa.

I tego poranka więcej mowy między niemi nie było.

W Horycy oczekiwiała na Jerzego niespokojnie panna Izabella i cały stary ich dwór, któremu jak zęba trzonowego, wedle wyrażenia Radwanowicza, brak było heroicznego Lacy. Nieraz go tam sobie wieczorną porą, przy kominie przypomnieli starzy przyjaciele, Jerzy jak winę nosił go na sumieniu.

Przybycie panicza ożywiło dwór trochę posępny i pusty bez niego, nawet Paweł się ruszył i posunął ku niemu, aby mu w oczy zajrzeć i zobaczyć czy bardzo w nich smutno; panna Morosz śledziła, wypatrywała, szukała w nim jakiejś spodziewanej zmiany. Wydał się jej teraz jakimś podrażnionym i nie sobą. Zwykle Jerzy był bardzo spokojny, życie może jednostajne takim go czyniło; podróż go rozkołysała, w podróży myśli miał wiele, widział ludzi, wpatrzył się w nowe postaci, z nich ku niemu trysnęło życie nowe: postać Anety, uparta jak ona sama, snuła mu się nieustannie przed oczyma. Ciągłe ją tak widział jak raz ostatni zobaczył, u tego grobu klęczącą, pochyloną, osłoniętą.

Panna Morosz miała już ten zwyczaj matek, że gdy ich ukochany jedynak powróci do domu, to go muszą wybadać do dna, rozpytać o każdy krok, spowiadać z każdej myśli, uprzytomnić sobie wszystkie czynności. Zaraz więc przy wieczornej herbacie kazała mu opowiadać o całej tej wyprawie... Jerzy był posłuszny, choć zbywał lakonicznie ciekawość.

Nie obeszło się jednak bez wzmianki o Anecie, o widzeniu z nią pierwszym i drugim i ostatnim. Te Jerzy odmalował jój jak artysta, stworzył zeń rodzajowy obrazek, smutny, przesłiczny. Pannie Izabelli aż łzy zakręciły się w oczach.

— To dobre jakieś dziewczę — rzekła — mnie się zdaje, że świat i ludzie wcale się na niej nie poznali. Prawda że matka śmieszna, ojciec nic nieznaczący, ale ta Aneta niepospolitą jest istotą.

— Mówią, zbyt chłodną i rozumną.

— Mylą się może — odpowiedziała panna Morosz — najczęściej serce drażliwe maskuje się dowcipem i chłodem. Rozum niekoniecznie jest przeciwnikiem uczucia, boć to są dwa ko-

ła jednego wozu, téj duszy która siedzi na rydwaniu o tylu złocistych kołach... Lepiej może niż wy sądzę Anetę, bo jestem kobietą; widywałam ją w różnych chwilach, zawsze serdeczną i uczucia pełną, zawsze łagodną i miłą. To co mi opowiadasz, jeszcze mię więcej przywiązuje do niéj: mówże mi, proszę, o niéj.

Jerzy mówił i dosyć wiele powiedział.

— Ale ty to tak opowiadasz zimno, a ja, — uśmiechnęła się panna Morosz — mam ochotę posądzić ją o miłość dla ciebie.

— A! i Otto mi tę myśl narzuca, ale to być nie może!

— Czemuż? Mnie się to zdaje naturalném, prawie konieczném.

— Wié przecie, że ja jéj kochać nie mogę.

— Ona wie tylko że kocha ciebie, to dosyć — westchnęła panna Izabella. — Pozwól Jerzy, bym ci całą myśl moją wypowiedziała szczerze. Tobie potrzeba nie kochanki, ale żony, dla ciebie trochę, dla mnie bardzo! Czyżby ci Anna nie przystała?

— Matko! ja się nie mogę ożenić: toby było splamieniem jej grobu i mojej przeszłości!

— Nie myśl o miłości, dziecko moje; myśl o poczciwem przymierzu z drugą istotą, którybyś mógł troskę powierzyć i podzielić z nią życie. Jam nie wieczna! — dodała — a dom bez kobiety, o! wiekuiste sieroctwo zwłaszcza ku starości: a! to rzecz straszna mój Jerzy! Jam zeszcła w tém życiu wdowiem i znam je. Na ówczas wyciąga człowiek ręce i pragnie, choćby złego byle wiekuistego towarzysza, byle nie obojętnych obcych twarzy. Dziś, jutro, będziesz się musiał chłodno ożenić dla siebie, dla mnie, dlatego że ja cię o to na klęczkach błagać będę.

— A ja leżąc twarzą na ziemi będę się wypraszać — odparł Jerzy. — Bóg sam chciał, bym nawet tych lekkich, serdecznych nie nosił więzów; nie czuję potrzeby serca, nie potrafiłbym stanąć u ołtarza bez zapалу, bez uniesienia, bez rozpromienienia...

— Ha! więc postarzej jeszcze trochę! Przeżyłeś już dzień miłości, ale ci wieczór pozostał; później dopiero poczujesz to, co ja ci dziś

przepowiadam: zechcesz towarzysza, ale może takiego, jakimby Aneta była dla ciebie, nie znajdziesz. Ja czuję, choć przybranéj matki sercem, że ona cię kocha: a miłość choćby nie wzajemna, jest wielką dźwignią w życiu.

— Matko — rzekł Jerzy spuszcżając oczy — nie! proszę cię, nie namawiaj mnie na nowe życie, które może być lżejszém, ale może też stać się twardszém i cięższém od dzisiejszego. Czegóż mi braknie? mam serce matki, pracę, spokój, siły, swobodę; a że nie mam pieśczot życia? czyż serce żałobne nie wzdrygnęłoby się na nie? Czyż dotknięcie ust jéj, nie stałoby mi z nich niebiańskiego pocałunku tego dziecięcia? czyżby nie było męczarnią, przypomnieniem, zgryzotą?

Jeśli się podobało Bogu odjąć mi nadzieję, czyż nie powinienem przyjąć wyroku, posłuszny?

Matka nie nalegała już więcéj.

— Wierz mi — rzekła tylko — chciałabym widzieć cię szczęśliwym, chciałabym aby prócz nas dwojga nowego coś odżywiło te stare mury tak posępne, na których nadzieja żadna nie

rośnie. Może szczebiot płochy dziecięcia, może uśmiech młodej kobiety, związałyby nas z ludźmi i społecznością, od której losy oboje nas odcięły.

— Żyjmy pustelnikami, kiedyśmy na pustelnią skazani — odparł syn całując ją w rękę — mamy dzieci tych, którzy ojca i matki nie mają: tych nam będzie dosyć.

Marszałkowstwo Hrabiego Rajmunda rozpoczęło się pod bardzo szczęśliwą wróżbą. Przez kilka tygodni po wielkim inauguracyjnym obiedzie, był to w świecie i powiecie najpopularniejszy człowiek; starzy ludzie dziwowali się niezmiernie, że mu tak łatwo przyszło pozyskać sobie serca obywatelskie, gdy cały wiek pracując, z żelazem i drzewem tak źle sobie dawał rady.

Ale nie ma nic na świecie trwałego i Hrabia smutnie tego musiał doświadczyć.

Trafiło się, że szlachcicowi bratu odmówił na prośbę bardzo dziwną i niesłuszną; już tedy krzyknęli acz z cicha, że arystokrata.

Przyszły potem drażliwe sprawy opiek i administracyi. Było tam kilka sierocych majątków w rozporządzeniu opieki i kilku kandydatów urodzonych do administrowania sierocemi i odłużonemi majątkami. Ci zaraz upomnieli się o swoje, święcie im się należały administracye: jednym dlatego że przywykli byli żyć z tego chleba, drugim że innego nie mieli. Nieszczęściem Hrabia, i co gorsza, sekretarz jego, oba byli ludzie uczciwi a nie obyci z formą, jaką się korzystanie z cudzego grosza najspokojniej w świecie odbywa; chcieli więc majątkami rozporządzić w sposób jak najkorzystniejszy dla sierot i biedaków. Ale zwyczaj odwieczny temu się sprzeciwiał. Znać z czasów pogańskiego jeszcze komunizmu, dobra tego rodzaju uważają się jakby własność ogólna, jak rodzaj starostw, z których ktoś chleb jeść i kieszenie łądować musi; oburzono się tedy niezmiernie, że Hrabia chciał wydrzeć zarobek tym, którzy do niego tak słuszne mieli prawo.

Hrabiemu zdawało się w prostocie ducha, że jeśli kto, to bogaci i niezależni ludzie winni

się podejmować administracyi, bo ci mają i więcej wolnego czasu i mniej są na pokusy wystawieni, i mogą coś stracić, a nic nie potrzebują zyskiwać. Spotkał się tu z ugruntowaném przekonaniem, że sierocy majątek i dobra odłużone podpadające pod tak zwaną administracyą, są rzeczą do ciągnięcia zysków dla ludzi, co inaczej mieć ich nie mogą.

Czterej tedy groźni kandydaci stanęli przed Marszałkiem, a że na niego wotowali *affirmative*, sądzili że mieli zupełne prawo domagać się nawet najniesłuszniejszej rzeczy; dawszy mu ten dowód zaufania, zażądali, aby im oddał co oddawna dzierżyli, i z czego takie podawali rachunki, jak się im podobało.

Hrabia osłupiał, nie pojmował rzeczy; ale spotkawszy tak głębokie i silne przekonania o swych prawach u tych panów, zachwiał się na chwilę, myśląc naiwnie, że jakoś nie dobrze rzecz rozumiał.

— Jakże, proszę Marszałka — zawołał najstarszy — my ten sierocy majątek trzymamy już od lat szczęśliwie!

— Ależ to mienie sieroce! Panowie nie podajecie opiece rachunków lub przysyłacie takie, jakich ona przyjąć nie może: są summy popodnoszone.

— Co pan hrabia w to wchodzisz? My mamy odpowiedzialność, a sieroty podpiszą nam zakwitowanie.

Nie było już co rozumować.

Inni z równie ścisłą logiką dopominali się administracyi majątków, na których ciążył dług niewielki lat dziesiątek, a mimo starań ich nietylko że nie ubywał, ale go jeszcze przyrastało: rachunki misterne pochłaniały wszystko. Hrabia nie mogąc pojąć téj manipulacyi cudzego grosza, choć sam nie tak bardzo był delikatny gdy o niego chodziło, opierał się.

Upór ten dopełnił miary jego występków.

— A, to taki ptaszek! — zawołali ci panowie chórem, — my wotujemy na ciebie, abyś ty nas z domów wypędzał! Zobaczysz.

Administracye bowiem prawie za własne się uważają.

— Toś taki! -- wołał inny, — a no! doczekamy wyborów, polecisz negatywami na łeb, a co ci nałajem, tego ci nikt nie odejmie. Chce mu się być uczciwszym od nas wszystkich. Sumienie! piękne sumienie: ja mam sześcioro dzieci!

Ten który chwalił się sześciorgiem dzieci sądził naiwnie, że mu dla nich jak dla ptasząt w gniazdku, wszędzie pokarm zbierać było wolno, choćby w cudzej kieszeni.

Ostatni wprawdzie dzieci nie miał, ale był potomkiem zasłużonej w powiecie rodziny, a mienie znaczne przejadł, przepolował i przetraktował z współobywatelstwem; należało mu więc coś dać, choćby odjąć sierocie i wdowie: tego marszałek zrozumieć nie chciał, i dorznął się swoim uporem.

Groźny zastęp uformował się zaraz i powiększył temi, którzy na pewien obiad w miasteczku nie byli proszeni przez omyłkę, i temi którym hrabia wizyt nie pooddawał, i innemi jeszcze, którzy go nie znali, ale kogoś nienawidzić i na coś krzycheć musieli; bo są ludzie co hałasy lubią, a wszelkie zgorszenie mają

sobie za przysmak. Zaraz tedy dały się słyszeć głosy, że marszałek nowy był człowiekiem strasznym, że służył tylko dla nagrody, że obywatele chciał gubić i z torbami wyprawiać, że zdradliwie chłopom sprzyjał, że z żydami akcyznikami miał złowrogie konszachty, dążące do zaprzędania całego powiatu w niewolą babilońską i t. d. i t. d.

— To już rzecz dowiedziona, — mówili administratorowie, — nie ma najmniejszej wątpliwości. Widziano go wieczorem około domu Goldmana; jeździł cztery razy, pilno, nie wiedzieć po co, do gubernialnego miasta.

Gdy raz podobne puszczone wieści, nie już ich powstrzymać nie było w stanie. Hrabia stał się podejrzanym najprzód o małe grzeszki powszednie miłości własnej, pychy, ambicyi; potem o zdradę, podstępny, nienawiść współbraci, przedajność i wszelkie zbrodnie jakie tylko niechęć i głupota wymyśleć mogą. Są u nas kamienie i błoto szczególnego rodzaju, któremi obrzucać zwykliśmy nienawistne nam postaci: jednych i tych samych używają na wszystkich. Gdyby z opinii publicznej, która

dzisiaj wieńczy bez zasługi, jutro strąca w otchłanie bez winy, przyszło wnosić o ogóle, zwątpiłby każdy o jego przyszłości, tak straszliwym jest mistrzem w wynajdywaniu wszelkiego zła, często nieopierając swych sądów na niczem innem, prócz jakiejś zazdrosnej chętki obalenia, co głową, czy ręką wyżej tłumu sięgało. Szczęściem ta płochość wyroków sama się obala, bo nic w świecie niestalszego nad nią.

Opinia jednak daleko częściej wywraca niż buduje, a na ruiny trudny ratunek.

Brak może u nas ludzi, ale nie taki jakby się z tego zdawało: wina ich że ulegają hałasom i uciekają od walki.

Hrabia który był pewien, że odrazu zyskawszy sobie taką przewagę, potrafi się mimo trutniów, w sercach większości i opinii utrzymać, zdziwić się musiał niepomalu widząc jak kruchą była podstawa w sercach obywatelskich, na której się opierał, jak uściski i całusy nieprzeliczone, któremi pieczętowano wiekuiste z nim przymierze po kielichu, wcale do niczego nazajutrz nie obowiązywały.

Mamy to do siebie, niestety, że popularność u nas pozyskać może nawet gracz z profesyi, który daje dobre obiady i ściska się ze wszystkimi, a czasem dla oka sypnie sowitą jałmużną; ale przytém tacy też ludzie jak Czacki nie wywiną się od potwarzy i prześladowania. Najczystsze poświęcenie nie pomoże, zawsze ktoś czuwa na straży, żeby nogę podstawić i wywrócić.

Hrabia więc jak zrazu miał wielką pociechę ze swojego urzędowania i marszałkowskiej godności, tak wkrótce potém napił się żółci i goryczy do syta, opuszczony i zaparty od wszystkich. Nawet sędzia Mejszagolski *fidus Achates* pokryjemu, przyjaciel tylnemi drzwiami, publicznie trzymał się na uboczu i udawał dobrze, że się do niczego nie miesza. To także jest ciekawém, że gdy kogo u nas przypadkiem ostracyzm ten wygna i potępi, strach taki ogarnia rodzinę, przyjaciół, blizkich, że wszyscy zaraz pierzchają przed nim jak przed zapowietrzonym, bojąc się by ich nie spotkał ten sam los: cofają się, umywają ręce i powia-

dają sobie: winien czy nie winien, po co się mamy w to mieszać?

Nawet z przekonaniem o prawdzie, nikt przy niej obstać i za nią walczyć nie ma odwagi.

Dopóki tryumfował hrabia, ograniczał się tylko opowiadaniem przed żoną o odniesionych zwycięztwach: jak na obiedzie danym dlań dwanaście razy pito jego zdrowie, jak go noszono na rękach, jak „kochany hrabia” musiał z kolei dwanaście mów do siebie wystosowanych wysłuchać pocąc się i dwunastu mówców z obu stron twarzy całować i t. p. Żona biedna cierpliwie słuchała tego z uśmiechem obojętnym, często z cicho wyrażającym się podziwieniem, i choć nie zdawała się wielce tém uszczęśliwiać, mąż przed nią przechwalał się wszakże, bo takimi rzeczami potrzeba się koniecznie chlubić: długo w głębi człowieka nie mogą one pozostać i nie karmią go, jeśli ich drugim nie podaje.

Gdy teraz zmieniły się losy nagle, zrazu mając to za coś przypadkowego i przechodzącego, hrabia jeszcze zwierzał się jój z przeci-

wności swoich: ona słuchała smutniejsza trochę i milczała. Przyszły otwarte boje, i żona jedna została, z którą można było szeroko o nich się rozwieść i z serca uzalić.

— Mój mężu kochany, — odezwała się wysłuchawszy gniewów i narzekañ na ludzką niewdzięczność, — do czego ci to wszystko? Nie chcą cię rozumieć, nie żądają posługi twojej? dlaczego im się narzucać, swobodę swą poświęcać, a potem jeszcze cierpieć? Usuń się, powróć do ciszy domowej, na co ci to potrzebne!

— Są obowiązki obywatelskie, które raz w życiu spełnić potrzeba, — odpowiedział hrabia.

— Ale jeśli ci dla których się to czyni, odpychają i nie życzą sobie posługi?

— A jeśli my mamy przekonanie, że służyć możemy skutecznie?

— Zdaje mi się, — odpowiedziała żona, — że Bogu tylko tak służyć można, gwałtem i przemocą biorąc królestwo niebieskie; ale ludziom?!

— Człowiek publiczny! — przerwał hrabia, któremu się ustąpić nie chciało, — człowiek pu-

bliczny! Pani słyszałaś, w Anglii co to się dzieje, jak łają, a jednak nikt nie ustępuje! Potrzeba mieć ducha publicznego!

I bałamucił się tak biedny, ale gryzł wewnętrznie.

Przyjaciele dawniejsi, którzy wobec wszystkich bardzo z nim byli zimno, pokątnie dawali mu dowody wierności tem tylko, że mu jak najsumienniej znosili wszystkie krążące o nim plotki, trując spokój często najniepotrzebniejszymi wymysłami.

W takim ucisku potrzeba choć jednego powiernika, przed którymby się można użalić, poskarżyć, wylać z tą żółcią, co się wewnętrznie gromadzi. Hrabia często wywnętrzał się przed Malczakiem nawet, który jak chińska lalka kiwał tylko głową i niewiele umiał odpowiedzieć, ani poradzić; żonę jednak znajdował do zwierzeń najdogodniejszą. Czuł w niej serce, doznawał pociechy gdy się oburzyła, trafiało się nawet, że uwagi jej znajdował słusznemi, gdy się z jego zdaniem zgadzały.

Tak nieszczęście coraz ich bardziej do siebie zbliżało, a choć hrabina tak była przybita,

pograżona w smutku i zobojętniała, że trudno się jój było choć myślał zwrócić znowu do świata; czuła jednak, że obowiązkiem jój było wyciągnąć rękę mężowi, który pierwszy raz cierpiał, a znieść męczarni nie umiał. Nigdy go jeszcze nic tak boleśnie nie dotknęło, inne razy nie drażniły jego miłości własnej; znosił je mężnie, pogardliwie, dumnie: te rozdarły mu serce upokorzeniem, jakiego się nie spodziewał i bolał na nie srodze. W tym stanie człowiek skłonny jest zbliżyć się nawet do ludzi najobojętniejszych, byle mu okazano czułość i politowanie; hrabina stała się potrzebną, była dlań jedyną, umiała osłodzić bole, których doznawał: ciesząc go, rozrywała się sama.

Tak to dziwactwo hrabiego jeden miało dobry skutek, że zjednoczyło ściślej znowu zerwane stadło, a co dziwniej, przekonało nareszcie hrabiego, że żona jego nie była tak popolitą, jak dotąd mniemał, kobietą. Wiele teraz rzeczy powiedzieli sobie wzajemnie, z których przez ciąg długiego czasu nie mogli się przed sobą wypowiedzieć. Malczak téż postrzegłszy ten zwrot, począł panią bardzo szanować,

a spadłszy nieco ze stanowiska absolutnego faworyta, spokorniał. Hrabia bowiem codziennie mniej zajmował się mechaniką, mówił o niej jeszcze wiele przy nadarzonej zręczności, dawał się sadzać na tego konika, jeździł na nim z upodobaniem, ale już nowego nie robił, powtarzając, że dla niewdzięcznego kraju, nie warto sobie było łamać głowy.

W powiecie tymczasem agitacya przeciwko marszałkowi coraz goręcej się wzmagala; byli tacy co głośno utrzymywali, że potrzeba go było zmusić, aby się podał do dymisyi, gdy obowiązku swego spełniać nie umiał, a wywłaszczeni administratorowie mocno to popierali, dodając, że siłą zmuszą go, aby miejsce opuścił i odgrażając się w sposób dowodzący, że swą krzywdę kieszeniową, sercem poczuli.

Hrabia byłby już może porzucił wszystko, ale na nieszczęście nie tak łatwo pozbyć się urzędu jak go nabyć; zniechęconego już trzymały formalności, musiał cierpieć, znosić wprost doń wymierzone impertynencye, i spełniać to, do czego się zobowiązał. Honorowy

urząd na który miał szczęście być wybranym, wkładał nań obowiązek dotrwania na stanowisku mimo upokorzenia i kłaniania się wszystkim, nawet tym, którzy mu w oczy łajali.

Nareszcie obrzydło mu tak to życie, że gdyby nie żona, gotów już był z kraju się wynosić, aby na to grono współziomków, co wiwaty tak gorąco na cześć jego przy wyborze spijało, nie patrzeć. W jednej z tych chwil ciężkich, w których zboliała dusza najwięcej potrzebowała pociechy, hrabina potrafiła nakoniec przemówić doń słowem, które oddawna na sercu jej leżało.

— Mój Rajmundzie, — rzekła doń, — życie nasze smutne, dom pusty, nie czujeszże ty potrzeby nigdy zastąpienia tego drogiego dziecięcia, któregośmy stracili, choć przybraném?

— Przybraném? — rzekł hrabia. — Nie! mamy krewnych, ktoś po nas majątek zabierze... a z tych których znam, serca nie mam do nikogo.

— Co to za szkoda, żeś się tak przeciw Jurasiowi uprzedził!

— A! o tym mi nie wspominaj.

— Przepraszam cię, o nim to właśnie mówić chciałam; wszak on nam najbliższy, syn brata, i doprawdy dobre dziecko, serdeczne, kochane: czemużbyśmy nie zbliżyli się do niego?

— Czemużby on nie zbliżył się do nas?— poprawił hrabia.

— On, nie śmie.

— No, a ja nie mogę!— odparł Rajmund.

— Alebyś go nie odepchnął?

— Nie lubię go,— rzekł hrabia.

— Bo go nie znasz.

— Trudno, bym gonił za nim dla poznania.

Na tem się skończyło, a hrabina potajemnie napisała list do p. Morosz, wzywając ją aby ostrożnie namówiła Jurasia, by kiedy do nich przyjechał. Opisała jej swą rozmowę z hrabią i jego usposobienie, dodała, że bardzoby jej było miło, gdyby się mógł zbliżyć do stryja. P. Izabella pokazała list Jerzemu, który się nad nim zadumał.

— Pojadę,— rzekł,— zobaczę tamtą matkę, i miejsce gdzie Lolę poznałem; przypomnę krótkie chwile szczęścia, a będzie co Bóg da.

— A gdybyś się jeszcze dał namówić i zbliżył tak samo do téj poczciwój Anety! — dodała pocichu p. Izabella.

Jerzy nie na to nie odpowiedział, w sercu jego było bardzo tęskno, a obraz czarno ubranój, klęczącój u grobowca Anety, często go prześladował, ale się przyznać nie chciał do tego.

Nie bez bicia serca przyjęła hrabina przybywającego do Zarubiniec Jerzego, spłakała się, głowę na jego ramieniu złożywszy, ucałowała go w czoło, i milcząca usiadła przy nim, trzymając rękę jego w dłoniach drżących. Dla niój Jerzy przynosił z sobą żywe wspomnienie córki, kochała w nim miłość jego dla swego dziecięcia.

— Jurasiu mój, — rzekła, — dobrześ zrobił żeś tu przybył; bądźże łagodnym dla starego brata twojego ojca: pamiętaj, że on był ojcem Loli, która kochała cię i dla ciebie umarła. Ja pragnę, byś był naszym synem i starości osłoda. Może jest w tém trochę egoizmu, bo chciałabym mieć cię przy sobie, i choć mówić

o niej z tobą; daruj mi: uczyni coś dla mnie biednej.

Dziwnym trafem, który podobny był do obmyślonego kroku, hrabia po przybyciu Jerzego wszedł zaraz do żony, i on co zwykle był bardzo śmiały ze wszystkimi, zdawał się niepewny siebie i zmieszany. Przywitali się zimno, ale grzecznie: hrabia pierwszy rękę do niego wyciągnął.

Rozmowę począć było trudno, Rajmund związał ją w sposób wcale niespodziewany.

— No, cóż ty tam panie Jerzy (nigdy go wprzód po imieniu nie nazywał) zasiadłeś tam na Polesiu: to kąć zapadły.

— Ale spokojny, panie hrabio.

— Mówże mu stryju!—podszeptała hrabina.

— Dla młodego to już nadto ciche: zardziejiesz tam do reszty, a i tak brakło ci ochoty do ludzi.

— To prawda, mój stryju...

Hrabia się jakoś nasrożył na to nazwanie, ale zaraz ochłonął.

— Czemuż też tu czasem do nas nie przyjedziesz, my tu także jak pustelnicy żyjemy.

— Bardzom wdzięczem stryjowi, ale mam obowiązki względem panny Morosz.

— Ale i jej bylibyśmy radzi, bardzo radzi...

— Pamiętajże, Jurasiu, zawieźć jej to zaproszenie, — dodała hrabina.

— Żleś WPan zrobił, ja ci to zawsze powiem, — przerwał Rajmund, — żeś ojca opuścił; dziś nie masz tylko nas, o tém niepotrzeba zapominać.

Cała ta rozmowa niewypowiedzianie rozradowała hrabinę: wstała ożywiona i w rękę pocałowała męża, który widocznie wymógłszy na sobie to ustępstwo, szczęśliwy był i kontent z siebie, jakby chciał powiedzieć twarzą: a widzicie, nie taki to ja jestem zły, jakieście sobie wyobrażali.

— Spodziewam się, — dodał, — że u nas dni kilka zabawisz; powiem, żeby ci Żółtowski polowanie przygotował.

Jerzy zbliżył się poruszony i ujawszy rękę stryja żywo, ucałował ją ze łzami na oczach. Nie wiem co się tam stało staremu, który na

chwile wychodząc ze swęj sztywnej oziębłości, pochwycił go za głowę, pocałował i co najprędzej uciekł za drzwi.

Hrabina płakała, tak była szczęśliwa.

— Stryjenko, — rzekł Jerzy do niej, — tę dobrązycia chwilę tobie winienem: jakże ci za nią mam dziękować? Każdy moment zgody i miłości to promyk z niebios zstępujący na ziemię, a choćby trwać to nie miało, dobrze z pomiędzy chmur choć błysk słońca zobaczyć.

— O! ono nam jeszcze może zaświecić nad zachodem, serce moje, — rzekła hrabina, — ale cierpliwości i trochę pokory!

Jak się to stało, że tegoż samego dnia p. Jędrzejowa z córką, rzadko bardzo bywając w Zarubińcach, wybrała się właśnie je odwiedzić, nie wiemy wcale. Czy to mamy przypisać losowi, jednemu z tysiąca wypadków fatalnie jakoś często przychodzących, czy karczemce na trakcie, z której wiadomości o przejezdnych płynęły do dworu: trudno wyrokować, dosyć że p. Jędrzejowa z Anetą po obiedzie przyjechały.

— A! otóż mamy i gości!—odezwała się Hrabina —Doprawdy, nie zawsze ich lubię, ale dziś całkiem mi, nie na rękę. Jerzy, zastąp mnie tam chwilę; wyjdź do salonu: ja się trochę ogarnę i idę za tobą.

Jerzy zbiegł żywo ze wschodów od pokoju Hrabinej, u której był naówczas, i wszedł do paradnego salonu na dole, gdzie damy przechadzając się, gospodyni oczekiwały.

Aneta wykrzyknęła na widok jego.

— A! pan tutaj! byćże to może! co za traf szczęśliwy, kiedyśmy się go wcale widzieć nie spodziewały!

Kto inny z tego wykrzyknika właśnie byłby się może domyślał, że rzecz była ukartowana; ale poczciwy Jerzy uwierzył święcie zdziwieniu. Serce jego już się było przywiązało do Anety, a nawet do samej mamy, która ścisłała go za ręce powtarzając:

— Proszę! co to za zdziwienie dla nas! pan tutaj!

— Przyjechałem na dni kilka do stryjostwa!

— A! jakżeś to pan dobrze zrobił — odezwała się Aneta — co za myśl śliczna!... Przecież i my pochwyć musimy pana choć na chwilkę! Nie odmówisz? I ja skorzystam.

Jerzy się uklonił w milczeniu.

— Aleś pan zmizerniał i opalił się! — dodała Stasia — doprawdy zmizerniałeś! To Polesie to smutny kraj! Czeroty, łozy, sosny, piaski, jak tam żyć można?

— Pani, jam już ten kraj pokochał.

— Niech mama nic nie mówi przeciwko niemu; ja znajduję, że okolica ta nawet ładna, trochę może smutna, ale doprawdy wiele ma wdzięku!

— A no! to się nie sprzeczam: dwoje was przeciwko mnie jednej. Jakże się ma matka?

— Dziękuję pani, zdrowa.

— Co pan porabiałeś?

— Najmniejszej w mojem życiu nie było zmiany; a państwo?

— Mąż mój od niejakiego czasu bardzo podupadł!

— Cóż to panu Jędrzejowi? — spytał Jerzy.

— Posmutniał, schudł, niezdrowie jakies... Szemere ma mu jakies wody przepisać.

— Ale to samo przejdzie, moja mamol!— odezwała się Aneta, bojąc się szczegółów zbytecznych o zdrowiu i medycynie.

Hrabina weszła na te słowa, a Jerzy naturalnie po pierwszych powitaniach został z Anetą.

Nie wiem jakie tam losy kierowały ich łodziami, ale to pewna, że Aneta zawsze miała jakies ważne powody usunięcia się od matki i pozostania z Jerzym trochę na uboczu, i teraz tak się znowu złożyło, że ciągle byli razem i ciągle zdala od starszych.

— A nie zatęskniłeś pan nawet za nami! Niewdzięczny!—odezwała się do niego.

— Za ostatnie podziękować muszę: to znaczy jeśli się nie mylę, że miałbym za co pani być wdzięcznym?

— Może!—odparła cicho Aneta, rumieniąc się i poglądając ku Hrabinie—A ja?—spytała ciszej jeszcze.

— Wierz mi pani, jestem z natury i bez żadnej zasługi szczerym—odpowiedział Jerzy—

często bardzo przychodziłaś mi pani na myśl, tak jakem ją widział ostatnią razą, z tym bukietem w ręku, w téj czarnej zasłonie i sukni; wiesz pani, gdzie!?

Aneta drgnęła cała, znowu cień umarłej stanął pomiędzy nimi, ale go odepchnęła udając, że nie widzi.

— Dziękuję panu, jednakże nie zateskniesz tak bardzo, ażeby do nas przybyć umyślnie.

— Nie godzi się tak pieścić; ja znajduję, że sercu jak ciału wygódek robić nie można, bo i serce do nich przywyka i pragnie potem i rozpieszca się, a życie, życie jest twarde!

— Czyż całe?

— Są chwile promieniste, ale to chwile tylko — rzekł Jerzy — hart potrzebny na lata, uczucie tyle tylko, by w chwilkach przelotnych umieć je niemi ocenić.

— A! zawsze te smutki! zawsze groźby!

— Jam dużo doświadczył!

— I dużo przemarzył na czarno.

— Nie mówmy o tém.

— Nie mówmy...

— Pozwolisz pani bym spytał o Maxa?

— Dawno go już nie widziałam! — odezwała się obojętnie Aneta — nudzi mnie.

— Ale uwielbia panią.

— Uwielbienie często bywa nudne, nienawisć tylko nigdy.

— — Juscież pani jej nie wolisz?

— Jak od kogo.

— Przecież Max nie liczy się do tych, od których lepsza nienawisć.

— O! nie wcale — uśmiechnęła się Aneta.

— Jest wyżej, niżej, czy osobno?

— A! i pan mnie tym Maxem nudzić zaczynasz — przerwała dziewczyna — a znudzona zaczęła obmawiać.

— Gdybyśmy sprobowali?

— Chcesz pan to powiem, że pułkownikowej żaluję; dostał się jej największy bałamut w świecie, zakochany na tydzień we trzech razem, a ona zawsze samotna, bo wietrznik ten lata. Możeby był artystą dobrym, ale nie stworzony na męża.

— Zupełnie jak na artystę — rzekł śmiejąc się Jerzy — Otto, który się na tém zna doskonale, rusza ramionami na jego artystyczny talent.

— Może to być, bo teraz wiolonczellę porzucił; kto kochać nie umie, może być artystą?

— O! masz pani słuszną.

— Miłość wszędzie potrzebna, nawet do wiolonczelli, niestety! — westchnęła Aneta — a tak jej mało na świecie.

— Pani mogłabyś się na to uskarżać?

— Ja! nie! owszem, cieszę się, że jej jest nie wiele, bom ją znała tylko nudną i śmieszoną, ale tu chodzi o sztukę!

— Mnie się zdaje — rzekł zamyślony Jerzy — że miłości nie mało jest na świecie, tylko się ukrywa.

Gwałtem w tych wyrazach szukając jakiegoś ukrytego znaczenia, Aneta spojrzała mu w oczy, ale z nich patrzyła tylko myśl jasna i szczerą.

— Dlaczego by się ukrywać miała? — spytała.

— Bo ze skarbem każdy się tai, a ten tylko wywozi ją na targ, komu jej braknie.

— Może pan masz słuszną — odpowiedziała Anna — ale cóż my biedne na to pora-

dzimy. Jak to poznać, gdzie to co jest—fałszem, a to czego niema—prawdą.

— A! panie macie przeczucie.

— Nie, nie zawsze, i ono zdradza.

— Ogromne przeczucie, jeśli to prawda, że miłość wasze życie stanowi.

— Nasze życie?—smętnie spytała Aneta—składa się ono nie z samych miłostek i miłości, ale z żalów i nienawiści także.

— A żal czyż to nie miłość? a nienawiść nie jestże nią także, tylko przebraną i zburzoną?

Aneta widząc go tak ożywionym stała się śmielszą.

— Teraz ja powiem panu, mówmy o czém inném.

— Na rozkazy! O czemże? naprzykład? o pogodzie?

— Nigdy pana jeszcze tak wesołym nie widziała.

— A pani!—westchnął młody człowiek—to nie długie ciepło jesienne, nie zazieleni ono drzewa.

— Przepraszam, ja się w duszy zielenię, widząc go tak wesołym: to mnie cieszy.

Wtém Jerzy nagle posmutniał, spuścił oczy, poczuł zgryzotę jakby grzech popełnił. A! tu, w Zarubińcach, nie godziło mu się może być tak wesołym, przy innej kobiecie!

Łza zakręciła mu się w oku.

Drugi raz już widmo stanęło między niemi, a chłodny powiew jego całuna dał się przykro uczuć na sercu Anety.

I rozmowa jak zerwany sznur pereł, roztoczyła się po ziarenku.

Aneta wyrzucała to sobie, nie udawało się jej widocznie; serce biło, oczy pałały, usta drżały; pragnęła być kochaną, ale że trochę uczucia w ten chłodny marmur się zakradło, nie umiała niém rządzić: ono nią owładywać zaczynało.

A! — zawołała w duchu — nie upadnę! muszę zwyciężyć! mieć go będę, musi mnie kochać, jest już iskierka w tej piersi. Jak ją rozdmuchać??

Gdy po parogodzinnych odwiedzinach siadali do powozu, a Aneta rzuciła się w głębię jego, prosząc matki, by do niej nie mówiła, bo czuła ból głowy; gdy z myślami i wspomnie-

niami przyszło do spowiedzi i walki: błysło jej nagle rozpaczliwe postanowienie. Zerwała się.

— Tak! — rzekła! — to droga fałszywa, to obudza wspomnienia tylko! Trzeba być sobą, szyderską, otwartą, szaloną, rzucić mu się na szyję, opasać serce. Cóż mam do stracenia? wszak i tak mnie nie chce? Zwycięzę lub...

Tu zamilkła.

— No! to i ja przecie umrzeć potrafię! — dodała.

— Lub... A! i szal musi mieć swoje rozkosze, będę szaleć. Jeśli nie potrafię być szczęśliwą, kochaną, będę okrutną i straszną; zagłuszę w sobie żal, upoję serce. Więc śmierć lub zwycięztwo, teraz lub nigdy.

Złękła się biedna matka rozognionej jej twarzy i błyszczących oczów i zmarszczonego czoła.

— Co to ci Aneto, życie moje?

— Ale nic, głowa mnie trochę boli, moja mamó. Co się to mamie przydaje? Jerzego trzeba na obiad prosić!

— Bądźże tylko spokojną, moja Anetko... zrobimy co zechcesz — odpowiedziała p. Jędrzejowa, a w duchu dodała: Co to za nieszczęście! zawsze i zawsze ten Jerzy!

Jak się z obojętności przechodzi do zajęcia, do tęsknoty i niepokoju, a wreszcie do tego sztucznego uczucia, które często uparte a zręczne niewiasty tak doskonale wyrobić umieją, że go ani poznać od prawdziwego: trudno zbadać i określić. Prawdziwa miłość rodzi się sobie jak kwiatek polny w trawie, jednego wiosennego poranku wystrzelając niespodzianie, a nikt nie wie kto go posiał lub wypielegnował, jak on tam wyrósł tak ślicznie bez ojca i matki. Ale obok są często miłości oranżeryjne i trejbhauzowe, które powoli przesadzają się do wazonika, na które chuchają, podlewają, pieścżą je, osłaniają; i tak to potem bujno wyrasta, jakby wazonik był ojczyzną, a ogrodnik rodzonym ojcem tego kwiatka. Niech mi nikt nie mówi, że nie ma sztucznych miłości: są co się tak zasadzają jak cybulki,

umyślnie tylko żeby z niemi było pięknie w salonie, a potem się je wyjmuje lub wyrzuca za okno, gdy przekwitną.

Robi się je niebieskie podlewaniem jak hortensye, dostaje białych i różowych do upodobania; cała to sztuka zaprawdę!

Piękna kobieta gdy sobie postanowi rozkochać kogoś, co wcale dla niej nie był przeznaczony, na krótko, na dłużej, jak zacznie go wzrokiem osnuwać, uśmiechem rozgrzewać, łzami podlewać, musi jej zakwitnąć choćby na godzinę. Prawda, że w ogóle te sztuczne roślinki nie trwają, ale z czegożby się robiły bukiety balowe?

— Otóż nie wiem wcale, nie umiem wam powiedzieć, jak ta biedna Lola drugi raz pogrzebioną została, jak jej drugi raz serce kochanka odśpiewało wieczne odpocznienie, i jak do tego przyszło nieznacznie i powoli, że w ganku u państwa Jędrzejostwa, Jerzy ujął rękę Anety i przyłożył ją do ust gorących, a czoło dziewczyny przechyliło się, skłoniło, aż sparło o głowę chłopca, i...

Biały duch Loli odleciał, tuląc dłonią oczy, na lepszy świat: nie chciał już patrzeć co się na naszym działo.

W chwili, gdy szeptem cichym, zawstydzonym, Jerzy wyznawał jej miłość swoją, Aneta milczała, a w sercu jej brzmiało tysiącem ech odbite i powtórzone nie jego „kocham” tylko chłodne „zwyciężyłam!”

Była-li to miłość?

Ja nie wiem. A jednak dłonie drżały, usta się paliły, wzrok omdlewał oczekiwaniem szczęścia, a ponad niemi zasłony złote rozpinała nadzieja, oboje tuląc je razem.

— Chodźmy do matki — odezwała się w końcu Aneta — powiedz jej, a potem! jam twoją!

— Aneto! — wstrzymał się chwilę Jerzy — gdy mam postawić krok stanowczy, pozwól mi powiedzieć ci jeszcze słowo... Nie pogardzaj mną żem się stał niewiernym tamtęj, kochając ciebie. Tamto była miłość braterska, ta...

I znowu ów trup chłodny stał między niemi, ale to już raz ostatni, pomyślała Aneta, której zaiskrzyły się gniewem oczy, i rękę podała w milczeniu Jerzemu.

— Ja nie sędzę, ja nie wyrzucam, ja nie pamiętam, bo cię kocham — odpowiedziała, i podała żywo — idź do matki!

Nie wiem czy pani Jędrzejowa oczekiwała dnia tego oświadczyn uroczystych przyszłego zięcia, ale to pewne, że miała na sobie od rana szal ponsowy i dobraną do niego postawę wspaniałą... Siedziała poważna, zamyślona, straszna prawie w swym majestacie macierzyńskim, gdy Jerzy poprosił ją o posłuchanie, które raczyła mu natychmiast udzielić.

— Pani — rzekł — kocham pannę Annę...

— A! na miłość Boga! co mówisz!

— Najszczerzą prawdę — odpowiedział Jerzy, nieprzyjemnie dotknięty tym wykrzykiem.

— Ależ Anusia...?

Tu szczęściem zbliżyła się Aneta i podała mu rękę.

— Mamó kochana, daliśmy sobie słowo...

P. Jędrzejowa ruszyła trochę ramionami, jakoś to nie było według prawideł, ale nie zostawało jęj nic tylko wstać, rozplakać się i pobłogosławić. Tak też uczyniła.

— Moja Anetko! droga moja Anetko!—wyjąknęła zakrywając się chustką—o mój Boże!

— Teraz pójdziemy wszyscy do ojca — przerwała co żywiej Anusia—niech rodzice razem nas pobłogosławią.

P. Jędrzej był doprawdy chory i od kilku miesięcy brał pigułki, siedział w pokoju, nawet o wążach myśleć przestając, bo dumał teraz o niechybnej śmierci. Znaleźli go więc wcale nieprzygotowanym do tego aktu, który się tu miał odbyć; w szlafmycy, w szlafroku, skwaszonego, choć na uroczysty ten pochód spojrzawszy, zaraz przybrał godną postawę i otulił się malowniczo w swój chałat jedwabny, który kładł gdy goście byli w domu, na wypadek gdyby go kto, mimo pigulek, chciał odwiedzić.

P. Jędrzejowa płakała, za nią szedł Jerzy z Anetą pomieszany i zarumieniony.

— Mężu kochany—odezwała się matka—oto pan hrabia Jerzy oświadcza się nam...

— Oświadcza się!—wykrzyknął schwytnie szlafmycę pocziwy Jędrus, który o chorobie i przyzwoitości zapomniawszy razem, dodał:

— Chwałaż Bogu! a! przecie!

Tu p. Jędrzejowa kaszlnęła głośno, aby ten niefortunny wykrzyknik nie doszedł uszów narzeczonego.

— Serce! więc się oświadczył!!—powtórzył Jędrus— o! chwałaż Bogu. Niechże was Bóg błogosławi, moje dzieci, a pozwólże się ucałować... (obrócił się do Jerzego, potem do Anny). Widzisz Andziu, ja ci zawsze mówiłem od początku, że on się taki oświadczy.

Tu już srogiego bąka obawiając się Jejmość, która znając męża wszystko przypuszczać mogła, spojrzała nań marsowo i palec kładąc na ustach, musiała zcicha szepnąć choremu.

— P. Jędrzeju!!

P. Jędrzej zamilkł posłuszny, ale się rozplakał ogromnie, i począł, czując to bezpieczniejszem, ścisnąć i całować na wszystkie strony: żonę, córkę i przyszłego zięcia.

Dla patrzących z boku mogło to być śmiesznem, na Jerzym który był wzruszony i przejęty, scena ta zrobiła tylko wrażenie łez pocziwych.

— No, cóż teraz będziemy robili? — zapytał p. Jędrzej, wciąż ocierając oczy i za każdym przypomnieniem szczęścia, zachodząc się znowu od płaczu, co sama pani z pigulek pochodzącemu osłabieniu przypisywała — co teraz będziemy robili?

— Potrzeba się naradzić! — rzekła p. Jędrzejowa.

— Więc, radźmy! jak najprędzej radźmy!

Aneta widząc że rada może jeszcze bardziej uwydatnić słabą stronę ojca i zbyt mocną stronę matki, skinęła na Jerzego by razem wyszli, i upojeni, cicho wysunęli się z pokoju. Teraz już nic im nie stało na przeszkodzie: wrota przyszłości dla zwycięzcy stały otworem, Anna jaśniała, promieniała, spotężniała swém szczęściem.

Jednak chwilami przychodziły jej jakby wątpliwości jakieś, jakby obawy o szczęście przyrzeczone tylko; pilno jej było uroczystą przysięgą potwierdzić obietnice dzisiejsze.

Szepnęła więc matce aby ślubu nie odwlekano, chciała, by się odbył cicho i bez żadnej

wystawy: Jerzy w tém zupełnie się z nią zgadzał.

Wieść o oświadczeniu się, tegoż dnia przebiegła piorunem okolicę; dowiedzieli się o niéj razem Hrabia i Hrabina, przeczuwający już że na tém skończyć się musi, nie będąc wcale postanowieniu przeciwni, i Otto, który oddawna takiego końca się lękał.

Max śmiał się, zacierał ręce, i jedném okiem pomrukiwał: uczucia jego trudno było odgadnąć. Nazajutrz rano Jerzy poleciał do Horycy, bo choć znał myśl i życzenie matki, chciał, by z ust jego dowiedziała się pierwsza o zmianie losu i nadziejach.

Po twarzy jego odzwierciadlającej zawsze każde wewnętrzne uczucie, poznała zaraz w ganku p. Morosz, że coś zaszło niezwyčajnego. Jerzy powitał ją z niespokojném ożywieniem, a gdy weszli do pokoju, padł jéj do nóg:

— Matko — rzekł — chciałaś tego: błogosław!

P. Izabella z radosnym porwała się wykrzykiem.

— O, mój Boże! spełniły się życzenia moje!
Aneta?

— Aneta będzie córką twoją!
Mileząc, zdawała się chwilę namyślać panna Izabella, niedopłakana Iza jakaś zbiegła jej z oczów, i zawołała po chwili:

— Błogosławie! błogosławie! Ty ożyjesz, dom ożyje! rozpoczniecie życie nowe po Bożemu, nie ze starą biedną matką, która z wyschłego serca szczęścia ci dać nie mogła. Jerzy przywiąże się do domu: stworzy rodzinę.

— Mogłaś wątpić o mojem przywiązaniu?

— Nie! o sercu nigdy, ale — szepnęła nieśmiało — przyznaję ci się, patrząc jak nieraz ciężyło ci to życie na uwiezi, przywykłem do swobody, lękałam się byś mi gdzie nie uciekł znowu na stepy; myślałam, że ci się tu uprzykrzy, że dostaniesz tęsknoty, że cię doleci głos jakiś z równin dzikich i pociągnie za sobą: że za nim wyrwie się twoja dusza i ciało uniesie.

— Nie! nieraz wśród nocy i ciszy, prawda, coś mnie tam ciągnęło; alebym był płakał

a nigdy od was nie poszedł, bom winien wam wiele.

— A dziś przywiąże cię Aneta silniej i trwalej nademnie! A! mówmyż o weselu, mówmy o przyszłym szczęściu twojem; rozkazuj, przygotowujmy się, krzatajmy, aby nie czekać długo!

Jerzy wszakże dość jakoś obojętnie chodził około tego szczęścia. Dopóki był z Anetą, ożywał się, uśmiechał, rozpromieniał; odjechawszy, nie umiał zatęsknić: znikająca mu z oczów, wyslizgała się z serca.

Teraz w Horycy przeleciała mu jak błysk wątpliwość: czy nowe życie co tutaj przyniesie lub odejmie, czy z tej marzonej swobody niepotrzeba będzie znowu coś poświęcić kobiecie, która każdą jego godzinę niecierpliwie liczyć się już zdawała, jak własność swoje.

Wieczorem poszli z p. Izabellą do ks. Mizery, który już nie mógł wychodzić z plebanii, bo podupadł na nogi; siedział w swoim pokoju na starym jak sam fotelu, z brewiarzem na kolanach, który już umiał napamięć, a trzymał go tylko dla zwyczaju w rękach,

bo na kartkach jego od ciemnych plam używania, litery nawet pogasły.

— A to goście! — zawołał, widząc wchodzącą p. Izabellę i Jerzego — a to mi goście! Ho! ho! domysliliście się starego odwiedzić! Siadajcież moje dzieci.

— Przyszłam się z ojcem podzielić dobrą nowiną! — odezwała się p. Izabella.

— No! no! aż dobrą! Cóż tam dobrego w życiu ludzkim: same mizerye, moja dobrodziejko; ale cóż to takiego?

— Jerzy mój się żeni.

Ksiądz oczy spuścił.

— Mizerye ludzkie! aby dobrze, niechaj Pan Bóg błogosławi; a panna młoda? co? poczciwa? a rodzice? godni!

P. Morosz zaczęła odpowiadać, ale stary pleban spluwał i milczał.

— Mizerye ludzkie! — rzekł potem — a no! chwała Bogu! Pan Bóg sam postanowił małżeństwo: to i dobrze. A kochają się? — spytał.

Jerzy się uśmiechnął.

— E! nie śmieście się — odparł ksiądz Magnacki grożąc palcem — bo to teraz są i tacy

księża, nawet i tacy mądrale, co mówią, że kochać się nicpotem i wcale niepotrzeba... Ale ba! mizerya ludzka! chcieliby, żeby człowiek tak brał kogo mu dadzą, z zawiązanemi oczyma, i ciągnął dalej pług z kim się nadarzy... Ale to głupstwo, mój dobrodzieju!... Miłość uczciwa jest jak smarowidło w wozie: juścić i bez niego jechać można, ale lżej z niem i nie skrzypi.

Tak! tak! mizerye ludzkie—mruczał stary księżyna, poczynając mimowoli mrużyć oczy—No! no! błogosławie! idźcie do domu, ja tu się już za was pomodłę: niech Bóg da jak najlepiej.

We dworze i Paweł i Radwanowicz i Porciakiewicz cieszyli się tém niewymownie.

— P. Eufrazy pierwszy wpadł z tą wieścią do ex-professora.

— Słuchaj waćpan—zawołał—wiwat! nasz panicz zeni się!

— Co mówisz?—podchwycił, zrywając się Radwanowicz—jako? z nieboszczką?—i dodał zaraz:—tfu! jakiż ja głupi! Erazm Rotterdamus chwalił wprawdzie głupstwo, ale nie

takiego rodzaju. Rotterdam, czerwona grobla: z kąd Hollendry, dukaty, złoto, Kalifornia...

— Rzućże te brednie!

— Ale z kimże?

— Z panną; waćpan jój nie znasz: z Anną Żelizanką.

— Tal tal! nie znam? Ojciec z pozwoleniem taki kiep, że go wokoło na czterdzieści mil znają! Toż to ten co chodzi w czepku, a co sobota różgą bierze od żony albo klęczy w kątku... Żeliga — Szeliga, ale panna...

— Ładna i bardzo rozumna...

— Niechby tylko przez pół, to dosyć — przerwał Radwanowicz — otóż i dytyramb im przyjdzie smażyć, bo bez tego się nie obejdą... Niech Venus z Kupidem... — począł deklamować...

— A wiesz WPan co, — przerwał — że teraz Kupidyn wymawia się kopcidym, bo młodzież woli kucharza niż miłość! Ale dobrzeż to jest że się panicz żeni? he? Gotów mi książki w bibliotece poprzewracać.

— A! samolubie przeklęty! — krzyknął Porciakiewicz — nie plótlbys.

— Tak! dobrze ci to mówić: kto całe życie plół, każesz mu raptem ustać... To nawet byłoby nie zdrowo: sam zważ!

Porciakiewicz się rozśmiał.

— Cieszysz się jednak — dodał.

— Nie! niechno wprzód zobaczę, jak to szczęście będzie wyglądać — rzekł ex-profesor. — Szczęście bo wiem, *sors, fortuna, gaudium*; ale widłami się pisze. *Gaudeamus! gaudeamus!* i tam dalej.

— Z tobą gadać nie można!

— Czemu? — spytał Radwanowicz — jestem logiczny jak sama osobiście logika.

— Ale pleciesz...

— No! to czemuż gadać nie można?

— A no, widzisz!

— Nie widzę — odparł Radwanowicz — trzeba było dodać, że ze mną z sensem gadać nie można: tak, to co innego!

— Dziękuję za sprostowanie: ale cóż mówisz o ożenieniu.

— Mówię, zobaczmy! Jeśli ona w bibliotece nic nie ruszy — dobrze; jeśli ruszy — źle! *Foemina — Fe, jaka mina!* A im ładniejsza mi-

na, tém gorsze *fe...* Mina, minogi, minos
i t. p.

Porciakiewicz począł ruszać ramionami.

— A p. Paweł co na to?

Siermiężki zmilczał.

— A! a! żeby to tamta — rzekł po zastano-
wieniu — żeby to tamta! Widziałem ją, widzia-
łem i tę: tamta była czystym aniołkiem.

— Cóż kiedy mu nie sędzono — przerwał
Radwanowicz, który nie rad milczał — a jak
Bóg nie sędzi, darmo roić: zkąd rój pszczoł
i ul, symbol republikancki i Stany Zjedno-
czone i Waschington i Lafayette i Ludwik Fi-
lip, aż do naszych czasów.

— Ten zawsze swoje!

— Zawsze cudze! — odparł Radwanowicz —
owszem, zawsze cudze. Trzeba się iść nacie-
szyć biblioteką, tymczasem — dodał — bo nuż
ją każą układać! Kłaniam! — i wyszedł.

Nie bez pewnej przyczyny załakł się o swo-
ją bibliotekę Radwanowicz, gdyż cały dom za-
raz zaczęto przystrajać, ubierać, przerabiać
dla wielkiego owego gościa. Obstał wszakże
ex-professor przy bibliotece, piersią ją swoją

zasłaniając od nowych reform i mniemanego porządku, a nawet od ścierania pyłu, który częstokroć był mu użyteczną skazówką, kędy ręce jego chodzić przywykły i myśl biegała jak myszka.

Paweł przeciwnie, ogromnie się krzątać zaczął, zapominając starości i braku sił; ale zadyszany i zakaszlany, musiał wkrótce ustąpić i wyrzec się czynnego w przyborach udziału. Nie mówimy już o p. Izabelli, która ochoczo i wesoło słała to gniazdko, sama nad niem mając czuwać, i wymyślała jak je uczynić większém i wygodniejszém dla ptasząt swoich, jak je ocienić i najmocniejszą pod nie wybrać drzewa gałązkę.

Jerzy może się tém najmniej zajmował; to co się stało dziwiło go samego: był jak człowiek, co po pijanemu przyrzekł, czemu sam prawie na trzeźwo nie wierzy. Wspomnienie Loli gryzło go, bał się zobaczyć z Ottonem; przeczuwał, że Marzycki choć mu nic może nie powie, spojrzynań z gorzkim wyrzutem. Nie mylił się w tém: Otto gdy go wieść o ożenieniu doszła, rzekł tylko:

— Ha! nie spodziewałem się tego! biedny chłopak! Więc ja już za niego sam chodzić będę na cmentarz: wiedziałem, że Aneta opętać go musi.

Martynko spojrział mu w oczy ciekawie.

— Łapany mąż, nie dobra rzecz — dodał kiwając głową — i jemu nie wesoło i jej nie dobrze z tém być może: ale na to rady już nie ma.

Inni bardzo dobrze rokowali, boć, mówili, trzeba się raz przecie ożenić; lepszéj partyi trudno było znaleźć nad Anetę, której wiek tylko może niestosowny, choć go na twarzy nie widać, bo rokiem lub dwoma od niego być musi starsza. Zresztą czegoż już żądać?

Zajechawszy do Horycy, Jerzy w coraz głębszy wpadał smutek, o małżeństwie ani mówił; gryzł się niem, latał po lasach i często p. Izabella znajdowała go tak w myślach zatopionym, niespokojnym, wybladłym, jak nigdy wprzódy nie bywał. Pojmowała ona dobrze co go trapić mogło, ale nie śmiała zaczepiać kwestyą drażliwą, której czarną stronę lada słowo obnażyć groziło. Jerzy tak się był

dobrze tu na pustyni zapomniał, że do Anety długo nawet bardzo nie pisał. Obiecawszy rychły powrót, zwłókł go, a gdy przyszła chwila wyjazdu, odłożył go na dni parę, bo mu to wszystko dziwnie ciążyło na sercu, i w jakiś niesmak przykry obracała się ta miłość szalona.

Obawiał się Anety, siebie, uczucia tego; chwilami czuł jego poczwarność i występek: rozumiał, że to była namiętność nie uczucie, kiedy upojeniem tylko obudzić się i trwać mogło.

Wśród tego wahania nadszedł list Anety do p. Izabelli smutny, niespokojny, pokorny, i Jerzy musiał pojechać do swojej bohdanki.

Już w drodze napadły go znowu te jakieś sercowe strachy i trwogi, a im bardziej zbliżał się do celu, tém silniej go coś od niej odpychało. Znana karczemka na drodze, pamiętna śmiercią Lacyny, wstrzymała go na chwilę: chciał w niej odpocząć, zebrać myśli, rozchmurzyć się, nimby stanął przed Anetą z widomą żalobą i chłodem.

W karczemce jeszcze gospodarzyła piękna Zuzia, która przyjęła gości z należytymi honorami; sama własnym fartuszkim zmiotła mu ławę, pobięła po wodę i stanęła na rozkazy, do pytań które przeczuwała.

Ale Jerzy sparty na stole, milczał.

— Biedny Lacyna! — zawołał po chwili — jedna z tych ofiar daremnych, które namiętności po drodze druzgoczą jak żubry gałęzie w lesie.

— To pan mówi o nieboszczyku, proszę pana? — spytała szynkareczka — co to tu umarł? A! mój Boże! to prawda, co ten człowiek nam kłopotu narobił!

Jerzy podniósł nieco głowę, Zuzia chciała koniecznie zawiązać rozmowę.

— Ale to taka niepojęta rzecz! Żeby pan był słyszał jak z wieczora śpiewał, jaki był wesoly, co *naszemu panu* wygadywał...

Jerzego uderzyło wyrażenie *naszemu panu*; nigdy wprzód nie słyszał że Max przepędził wieczór z Lacyną: zerwał się z miejsca zdziwiony, ale zmiarkował zaraz, że mu nic po sobie okazywać nie należało.

— A! a!—rzekł—jakże to było?

— A! to, proszę pana, było tak dziwnie, że nigdy w życiu, żebym sto lat żyła, tego nie zapomnę—zaczęła Zuzia zbliżając się i wdzięczając.—Przyjechał sobie wyśpiewując, kazał podać samowar raz... baraszkował, śmiał się nawet... Choć ja tego nie lubię, zaczął obcesowo brać się do mnie, ażem mu klapsa dać musiała.

Już się był trochę uspokoił, myślałam że spać pójdzie, aż nadjeżdża nasz pan... Czy oni się gdzie dawniej znali czy nie znali, tego ja nie wiem. Otóż znowu z sobą zaczęli pić herbatę i gawędzili długo, a nieboszczyk ciągle z flaszki dolewał, bo potem padł jak długi, cośmy go z panem oboje ledwie mogli na sen umieścić.

Nie chciał Jerzy rozpytywać więcej, ale w głębi duszy pomyślał: cóż tam Max robił? dlaczego się z tém tak bardzo przedemną tail? byłoby co w tém? Miałzeby wiedzieć co się ze zgubionym listem stało?

Zimny jakiś dreszcz przeszedł po nim.

Mysł, że Lola umarła nie doczekawszy się tego listu, że ją może obojętność i niewiara zabiły, często zaglądała do jego serca; ale związku tych wypadków, które biedne dziecko dobiły, Jerzy pochwycić nie mógł... Coś jak czarny pas domysłów przesunęło mu się przez głowę i znikło.

— Co on tu robił? — pytał siebie.

I mimowoli przyszło mu na myśl jeszcze, że Max zawsze bardzo gorliwie popierał jego staranie o Anetę, że go ku niej popychał, że ostatniemi czasy najtroskliwszym był opiekunem ich miłości, co przykre było Jerzemu. Powiedział nawet Anecie, iż się dziwi, że Maxa tak przyjacielsko przyjmuje i zdaje się tak potrzebować.

— To natręt — odpowiedziała Aneta zimno — a wiesz pan że tych ludzi inaczej się pozbyć nie można, jak trochę pozorną przyjaźnią.

Nie wiedzieć czemu tysiące słów, myśli, rzeczy znanych i zapomnianych, razem z tą śmiercią Lacyny zsunęły się w głąb serca Jerzemu; zamiast wprost jechać do Jędrzejostwa

i narzeczonój, wytłumaczył sobie że trochę było późno i ruszył do Robowa do Ottona.

Z Marzyckim oddawna się już nie widzieli, czuł może potrzebę wytłumaczenia się przed nim, przeczuwając, jeśli nie wyrzuty, to przynajmniej politowanie nad słabością.

Ale Otto przyjął go postarą, otwartymi rękami i wprowadził do swojej chaty, ściskając w milczeniu... Milczenie to wymowniejsze było nad wszystko.

Jerzy objął go ramiony młodemi, siłą gorączkową, ale na licu łzę uронioną zostawił.

— Ottonie — rzekł — nie wyrzucaj mi nic; daruj, przełącz, zapomnij...

— Wszak ci nie rzekłem słowa — odpowiedział Marzycki. — Co jest, powiadam z Heglem: *ist varnünftig*. Tyś temu nie winien: mówmy o czém inném.

Ale o czém inném mówić było niepodobna.

— Wiesz — dodał Jerzy po krótkich rozerwanych kilku wstępnych frazach, szukając tłumaczenia swój niewierności — wazysey moi naglili na mnie, matka, Hrabina, stryj nawet,

chcieli, bym się żenił koniecznie... Wolałem już wybrać tę, która mi trochę serca okazała.

— A ty! no! szczerze! kochaszże ją?

— Ja? nie wiem: przywiązuje się...

— Szacujesz?

Jerzy spuścił głowę.

— Do szacunku lat potrzeba długich.

— Co ci mówi serce?

— A! przyjacielu, serce się tylko niepokoi!

Otto przeszedł się parę razy po izdebce zadumany i nic już nie odpowiedział.

— Masz dosyć siły—odezwał się po długim przestanku—aby opanować przyszłość: często ona od kilku chwil pierwszych zależy! Jak wystrzał, który im dalej idzie, tem chybiony dalej od celu odchodzi; tak życie, jeśli w pierwszej chwili na włos wynijdzie z drogi, dalej już Bóg wie gdzie się zatoczy. Energii ci nie brak, uczucie tobą nie szali; któż wie? proza życia może być znośną! Ha, a Bóg da resztę!

Jak dziwnie jakoś Jerzy nie śpieszył się do tój, ku której powinien był lecieć na skrzydłach, widać było i z tego, że wstąpił do Za-

rubiniec, że tam pół dnia przesiedział, a po drodze jeszcze wysiadł nawet u Maxa.

Max jakimś dziwnym przypadkiem był w domu, gdyż terażniejsze jego życie ciągle go za próg wypychało; tym razem prządl u nóg swojej Omfalii nudę, którą szerokiemi zdradzał ziewaniem. Rad też był niezmiernie staremu znajomemu.

— A, bardzo mi miło że cię zastałem—zawołał Jerzy—myślałem żeś i dziś u Jędrzejostwa.

— Nie—odparł Max jakoś kwaśno—nie! kilka dni już u nich nie byłem... Nudzą mnie, prawdę powiedziawszy; ta twoja pani tak tylko o tobie mówi i myśli, że mnie już niecierpliwi... Ot i to za grzech mi pewnie poczytają, że cię tu chwilkę zatrzymałem...

— Nie pojedziesz ze mną—spytał Jerzy.

— Ot, nie: żona chora, jakoś nie jestem usposobiony do towarzystwa: zostanę w domu.

Max widocznie był w złym humorze, coś tam między sąsiadami zajść musiało, a kto mieszka o granicę, często i woły w szkodzie zabrane, i ekonomowie, którzy się z sobą o li-

się skórkę pokłóca, panów poróżnić mogą; nic więc nie było dziwnego.

Nie wiem czy przez odbicie, czy z innych powodów Max i dla Jerzego bardzo się okazał chłodnym.

Jerzy więcej tą razą zwracał nań uwagi niż kiedy; nie uszło jego baczności, że w pokoju znalazł parę bilecików Anety, i parę pamiątek, które wprzód widział w jej rękach, dziś przeszłych do Maxa.

To wszystko dziwnie mu się w głowie plątało z Lacyną, ze śmiercią posłańca, ze zgubą listu, i napawało go jakąś dziwną goryczą i gniewem razem.

— Wszak ty ostatniego wieczora widziałeś, słyszę, tego biednego Lacynę? — spytał Jerzy Maxa w końcu rozmowy — powiedzże mi jak ci się wydał? Ten człowiek, to wieczna moja zgryzota.

Na te słowa wyrzeczone bardzo spokojnie, Max otworzył oczy, usta, zbladł straszliwie, zmieszał się widocznie i żywo mówić zaczął:

— Ja? wieczór? kogo? Lacynę? tego co się obwiesił? ale ja go nie widziałem! Prawdziwie nie nie wiem: nie rozumiem co chcesz mówić.

Jerzy zamilkł.

— To musi być bajka taką rzeczą, ale mi tak mówiono.

— Ale któż taką baśń mógł upleść?

— Zwyczajnie plotki! Ktoś, nie wiem już gdzie mi to powiadał—odparł obojętnie Jerzy, biorąc za czapkę do odjazdu—nie pamiętam od kogo słyszałem.

Nie chciał kobiety narazić, ale przelotne spojrzenie na twarz Maxa przekonało go, że to nie była plotka, a w sercu obudził się żywszy jeszcze niepokój.

Od wczoraj wiedziano już u państwa Jędrzejostwa, że Jerzy był w okolicy, i Aneta darować mu nie mogła, iż wprost do nich nie pospieszył; gniewała się, zżymała, a ojciec i matka musieli ją uspakajać i pocieszać, obiecując dać mu zaraz uczuć nieprzyzwoitość takiego postępowania.

— O! bardzo tylko proszę! ani słowa!—zawołała Aneta żywo—mnie to potrzeba zosta-

wieć: ani słowa! ani znaku! To jeden z tych ludzi, z którymi nic się nie robi siłą, a więc papa będzie łaskaw wcale mu nie dać poznać.

— Rozumie się, że kiedy chcesz, to mu się nie da nic poznać! Anetka ma rozum i wie co robić! ho! ho!—rzekł Jędrus, który już palec trzymał na ustach.

Matka ruszyła ramionami.

Biedny ojciec od oświadczyn Jerzego tyle miał do czynienia, że mu żona chorować nie pozwoliła; pigułki zaczęte odłożono na później i zapowiedziano ażeby starał się być zdrow. A choć się skarżył i mizernie wyglądał, musiał nieboraczysko ubrać się, służyć i nocami tylko mógł trochę postękać swobodniej, jeśli konieczną uczuł potrzebę.

— Kochanie moje—skarżył się po cichutku przed jejmością—ty bo nie wiesz, że ja taki doprawdy jestem chory.

— E! to imaginacya!—mówiła Stasia.

— Ale kochanie, ja czuję; boli mnie: jak ciebie Kocham.

— Cicho! cicho, p. Jędrzeju! mówię ci że nie ma czasu chorować.

— No! jak tak to co innego, jeśli czasu nie ma—odparł powolny Jędrus—ale doprawdy mnie boli.

— No! jak boli to cóż z tego—spytała despotyczna Stasia—mnie także boli głowa, bok, serce, a nic nie mówię.

— A! to bardzo źle robisz!

— Widzisz sam, że nie mamy czasu! A wyprawa Anety, a to wszystko, któż się tępem zajmie?

— Tak! to prawda! kto się tępem zajmie, ale pigułki? któż pigułkami się zajmie, które Szemere przepisał?

— Poczekają.

— A no! niech czekają.

— A jak mnie się co zrobi?—dodał Jędrus.

— Cóż ci się zrobić może?

— To prawda, że znowu cóż mi się gorszego zrobić może?

— I będziesz zdrow! — rzekła gładząc go pod brodę Stasia i dając mu rączkę, którą gorąco ucałować pośpieszył.

— No! to jak sobie chce — wykrzyknął z za-

pałem—aby wam było dobrze, już ja o nic nie dbam.

I machnął ręką desperacko.

Przyjazd Jerzego rozpędził narady, skargi i ubolewania, Aneta sama wybiegła na ganek, zadysponowawszy rodzicom aby nie wychodzili.

— A! niedobry, niegrzeczny Jerzy! — odezwała się, wyciągając ku niemu śliczne swe białe rączki—ja oczy wypatrzyłam za tobą!

Jerzy cały był zaczerwieniony i jakby wylekły.

— A! daruj mi.

— Ale wszystko już darowane i zapomniane—zawołała Aneta—jak skoro ty tu jesteś. Nie mamy o czém mówić. Dobrze żeś przybył, już cię nie puszczę od siebie!

Choć przybył w usposobieniu chłodu i niewiary, ale czarodziejka jednem spojrzeniem, głosem, ruchem, znowu rozbudziła w nim to dziwne uczucie, które uchodziło za miłość, które może prostą tylko było żądzą.

Powoli zimno serca, obawy, trwogi, topnieć, rozpraszać się i niknąć zaczęły. Jerzy poczuł

na nowo spadające nań więzy i zrozumiał, że jest niewolnikiem. Jakąś magnetyczną władzą ciągnęła go ku sobie; choćby się chciał był oprzeć, nie umiał, i gniewało go to, upokarzało w duszy, że tak się czuł słabym.

Aneta wiedziała o swój sile i potrzebie trzymania na uwięzi Jerzego, nieustannie téż chciała go mieć przy sobie; rodzice wcale jej postępowaniem nie kierowali, robiła co chciała: nic jej nie krępowało.

— Chodź — rzekła mu, ująwszy go w ganku za rękę — chodź; nie lubię oczów ludzkich gdyśmy z sobą; to mnie odrywa i odrywa ciebie: bądźmy sami. Tyś smutny?

Jerzy zdobył się na uśmiech i rzekł:

— Tak długo sam byłem.

— A któż ci winien? a jaż? Ja, przyznaje się, nie byłam smutna — dodała Aneta — byłam gniewna. Godziny życia policzone, ani sekundy więcej nie przedłuży go szczęście, nie skróci cierpienie; każdej chwileczki szkoda i żal, a my je zdala od siebie marnujemy! O! niewdzięczny!

I śmiała mu się ze łzami w oczach i zwieszała na ramię białem czołem, a włosy jój długie, jedwabne, paliły znów twarz młodzieńca, i żar w nim rozdmuchany pałał jak wówczas, gdy się jój przyznał, że ją kocha.

Pokoik Anety był prawdziwym caceczkiem jak ona; możeby po nim poznał wielki badacz serc ludzkich, że ta co tak miała czas wymuskać swe gniazdko, kochała tylko to, co w niém mieszkało: ale jakże to tam było wdzięcznie! Najprzód u okna od ogrodu kliematysy i wino dzikie festonami malowniczymi oplatały dwa niskie okienka, a żelazne nożyce tym biednym włóczęgom co się tak piąć lubią swawolnie, kazały się pilnować, by na szyby nie weszły, by nadto słońca nie kradły. Z téj strony jeszcze cały gaj kwiatów opasywał okna oba, a takich rozkwitłych, świeżych, przecudnych, a tak poukładanych wdzięcznie!

Był to rodzaj saloniku, w którym mieściło się i pianino Erarda misternie rzeźbione, i stół do pisania pełen cacek dowodzących, że na to tam leżało tyle rzeczy pisarskich, aby ich nie używano, bo wszystko świeciło świeże i nie-

tknięte! Wpośrodku biura stał zegar marmurowy z bronzową postacią, która jedną ręką wskazywała godzinę, a drugą trzymała na ustach, jakby mówiła: Cicho! bo czas uchodzi!

Dalej kozetki, kanapki, foteliki, stoliczki, półeczki, cacka zabierały wszystkie kątki i ledwie dość było miejsca do przejścia wśród tych bawidełek błyszczących. Ściany całe przykrywały śliczne sztychy angielskie i kilka pejzażów nowszej szkoły niemieckiej. W kątku, zdobycz z włoskiej podróży: na kolumnie z marmuru śmiał się młody Faun, tym uśmiechem wesołości wpół dziecinniej, pół zwierzęcej, którą znacie wszyscy, bo tych Faunów i Satyrów tylu po świecie się rozbiegło z ruin Rzymu i Pompei!

Dlaczego w pokoiku Anety, w którym nie było nic prawie dziewiczego i świętego, który wyglądał raczej na pokój eleganta niż panienki, zamiast oblicza Matki Boskiej Łzawego, co by przypominało boleści życia, postawiono owego Fauna przepasanego bluszczem i uśmiechnionego do życia? Któż wie!

Faunik ładny był jak Aneta, poganin jak ona; śliczny jak ona: jak ona marmurowy.

W tym zacisznym kątku, przez którego osłonięte okno oko biegło na ogród, i padało na dalekie stawu zwierciadło, z poza firanek i draperyj, maluczko przyciemnionego, wkra dało się światło; panował w nim mrok szary, pełen tajemnic i marzeń, rozlewając dumanie jakieś rozkoszne i straszne razem.

Na Jerzym nawet salonik Anety czynił wrażenie rozkoszne aż do zawstydzenia, zdawał mu się zbyt umięjętnie, artystycznie przystrojonym, aby w nim trwałe, spokojne uczucie zamieszkać mogło. Było w nim coś zimnego jak śmierć, poza nim żadnej nadziei: to wszystko już. Przypominał mu się mimowolnie dziewiczy pokoik Loli, kilka książek, wianuszek, gromnica, dwa wazoniki, i białe, cicho, zakonnie zasłane łóżeczko.

Tu wszystko aż do rzuconej po posadzce maty hiszpańskiej, która ścieżkę chodzącym wyznaczała, było straszliwie wyrachowane, chłodne, ustawione i obliczone dla oka raczej niż serca.

Zapach nawet, zawsze jeden jakichś niby nieziemskich kwiatów, sztuczny, ostry, upajający: powiększał wrażenie jakie ten kątek czynić musiał.

Aneta otworzyła drzwi całe z mahoni, z kryształową rączką, weszła i wciągnęła za sobą Jerzego, a zamknawszy na klucz, rzuciła mu się na szyję.

— A! tyś mój! mam cię ptaku mój złoty! Chodź tu i usiądź przy mnie.

I obejmując go znowu, z ramion białych spuściła czarną zasłonę, kibicią giętką pochyliła się na piersi Jerzemu, i padła na kanapkę, zmuszając go by usiadł przy niej.

Milczeli... białą ręką odgarnęła mu włosy na czoło rozpierschłę, przytuliła się do niego, złożyła mu głowę na ramieniu, zamknęła oczy.

— Cicho!—zawołała—cicho! milczmy! odpoczywajmy! Jerzy, słowa zdradzają uczucie, bo go nie wypowiedzą. Możnaż co powiedzieć gdy się tyle czuje? Daj mi rękę, mów mi drżeniem dłoni...

O! już cię od siebie nie puszczę.

Ale po chwilce tego spoczynku, który dla niej był może pokojem, a jego żarem i płomieniami oblewał; zerwała się, odsunęła, usiadła dalej i patrzyła nań długo.

— Spojrz mi w oczy! — zawołała — niech ci wyczytam coś myślał, gdy mnie tam nie było: myślałeś o mnie, nie stałeś mi się niewiernym? tęskniłeś ty za mną? Śniłeś o mnie? Oczy, mówcie mi prawdę.

— Cóż ci oczy powiedziały?

— O! wiele rzeczy, tajemnic pełnych, które tylko moim wiedzieć wolno, ale im przez usta nie przechodzić, bo są jak promyk, którego schwycić nie można... Jakże zagasłe twe oczy! jakże smutne! kiedy być powinny jasne i zwyciężkie. Jerzy! Jerzy! powiedz mi, powiedz raz jeszcze, kochasz ty mnie?

— Aneto! ja nigdy nie skłamałem.

— Ale jak ty mnie kochasz?

— Jak?

— Powiedz! jak? Ale nie! nie mów lepiej; któż wie, jabym może nie tak być chciała kochaną.

— Owszem—przerwał Jerzy—mogę ci to powiedzieć: kocham cię właśnie tak, że sam nie powiem gdzie ta miłość mieszka: w mojej piersi czy w méj głowie? czy w całym mnie, aż do ostatniej krwi kropelki. Dotknięcie jednego włoska twego warkocza, porusza we mnie całą krew, wszystkie fibry; burzy mi mózg i myśli. Ja cię kocham nawałnicą i piorunem, kocham cię ogniem i płomieniem, i zdaje mi się, że w uścisku...

Anecie oczy jaśniały.

— Mów—rzekła—mów.

— Nie mogę.

— Ja chcę! ja każę!—krzyknęła jak zepsute dziecko—słyszysz! ja chcę...

— Więc słuchaj! w téj miłości jest coś dra pieżnych zwierzęcia instynktów, jest namiętność, co zabić może uściskiem...

— Ja taką tylko pojmuję miłość!—wstając i obejmując go zawołała Aneta—tak! śmiertelną, szaloną, pijaną, zabójczą! Miłość czarnego Otella, nie mlekiem i miodem wykarmionego Gessnera. Fe! tak niech dzieci kochają.

— Ale będziez trwać ta burza?

— Musi! — rzekła Aneta — patrzaj mi w oczy, ja ci z siebie leję strumieniem wzroku tę namiętność, ten szal; ja jestem ta Circe, co się zmienia w zwierzę drapieżne. Patrz mi w oczy jeszcze! Gdy zechcę wleję płomień w ciebie, kiedy zapragnę ostudzę; lecz w twoich oczach czerpię siłę moich czarów! Tyś iskrą, co mnie zapala: ja ogniem, z którego płomień się żarzy. A! oszaleję! oszaleję! — zawołała, zaczynając śmiać się nagle, i jak bezsilna padając na kanapkę, a głowę przechyliła na poręcz i piękne jęj ramiona białe poruszały się zmordowanym oddechem, który o nie bił jak morze falą o brzegi.

Jerzy także zapomniał się, oszalał; jęj uściski, jęj słowa, ta atmosfera miękkiej rozkoszy otaczająca go upojeniem, złamały do reszty człowieka, który przed chwilą smutny był i chłodny. Pierwszy raz usta jego zbliżyły się do ust jęj różowych, szukając ochłody, i spotkały nie w tym pocałunku czystym, któremu niegdyś śmieli się aniołowie, ale palącym i ognistym, strasznym jak śmierć, bezmyślnym, nieprzytomnym.

Aneta odepchnęła go powoli, jakby z obłądu przychodząc do siebie, już inną jakąś się stała... ostyglejszą. Oczy jej błędziły jakby wrócone z innego świata na dawny. W milczeniu podniosła głowę i opuściła ją z westchnieniem.

— Moim jest! — rzekła w duszy — teraz go żadna siła nie oderwie odemnie. Pił z tej czar, piliśmy oboje, i powróci do niej choćby nas dzieliło piekło.

Spojrzała nań: Jerzy stał rozmarzony i drżący, dziki prawie, a oczy mu błyskały jakimś wyrazem srogim i niepoohamowanym.

— Anno! Anno! twoim jestem — rzekł, ścisnąc ją za rękę tak silnie, że aż krzyknąć musiała — odepchnij mię, bo oszaleję!!

Niby przelekniona Aneta zlekka go odtrąciła od siebie, ale dłoń jego przycisnęła do serca, które było żywo, drugą powiodła po czole, jakby resztę snu ścierając z niego.

— Idź — rzekła — idź!... wieczorem, później przyjdiesz do mnie; siądziemy dumać razem: szkoda i chwili, ja mam wiele, ja ci chcę duszę moją powiedzieć.

I wstała żywo, wiodąc go z sobą do pokojów. Jerzy poszedł jak skrępowany jeniec, rozbolewały, nieprzytomny, tak, że gdy weszli do salonu, w którym na nich matka i ojciec czekali, poznano po twarzy młodego człowieka, co się w nim dziać musiało. Aneta już tak była spokojną, tak wesołą, tak panią siebie, jakby tylko co wstała od modlitwy.

I znowu byli sami, bo ojciec i matka usnęli się do kątki i szeptali z sobą, a Jędrus chory czekał cierpliwie żeby noc nadeszła i stękać mu było wolno, bo teraz uśmiechał się z urzędu, choć cierpiał tajemnie.

W ślad za Jerzym prawie, robiąc mu niespodziankę, nadszedła panna Izabella Morosz. Zdało jej się, że powinna była odwiedzić rodziców narzeczonej syna, i nic mu nie mówiąc o tém, przygotowała kosztowny ubiór brylantowy, który sama chciała włożyć na białą szyję Anety, drobne rączki i marmurowe skronie. Przybycie jej poruszyło wszystkich, Jędrusia chorego, Stasię i Anetę, która natychmiast przybrała fizyonomią, w jakiej się była zwykła przedstawiać p. Izabelli, cichą i łagodną dziewczycą.

Wieczorem Otto powiększył towarzystwo, ale chmurną i osmuconą swą twarzą niewiele mu przyniósł wesela. Aneta nie lubiła go, przeczuwając w nim nieprzyjaciela, ale przyjęła najwdzięczniejszym z uśmiechów, starając się go rozbroić. Jerzy tylko może niezupełnie rad mu był teraz, bo go odrywał od téj, ku której czuł się przyciągnionym tak, że ani oczów od niej oderwać, ani odejść na chwilę od niej nie umiał. Myśl jego nawet obezwładniona, zdrewniała, kręciła się w jakimś ciasnym kółku obrazów, ręką zburzonej namiętności kreślonych.

Mieli się już rozchodzić po wyjeździe Otto-na, który rękę Jerzego uściskałszy z milczącym jakimś żalem, zasepiony powrócił do Robowa, gdy Aneta szepnęła narzeczonemu:

— Przyjdiesz do mnie? czekam.

Jerzy teraz przez ogień i wodę byłby pobiegł za czarodziejką; wyszedł tylko na chwilę do ogrodu, aby się nieco orzeźwić wieczornym powietrzem, lecz gdy światło błysnęło z za firanek pokoiku Anety, zastukał do drzwi-czek od balkonu.

Ręka gorączkowym miotana niepokojem, odsunęła mu rygiel.

— To ty!—zawołała,—chodź! chodź! Cze-kałam na ciebie.

Aneta była sama, zrzuciła suknię dzienną, przywdziałwszy białe i lekkie ubranie, rozpuszczone włosy zgarnęła w węzeł czarny i przy- strojona do Jerzego w to tylko, co ją piękną uczynić mogło, nie czyniąc przybraną, czekała nań z dziwnym uśmiechem pokusy. Śmiech krył niepokój, namiętność razem i rachubę, a oczy jej paliły.

— Siadaj,— rzekła,— tu, blisko mnie i siedź- my tak i marzmy, mój najdroższy... Niezno- śni ludzie, skradli nam kilka godzin szczęścia; chciałam posunąć zegary, aby ich prędzej roz- pędzić... A! ten wasz Otto tak straszny, jak jakaś groźba grobowa.

— Anetko! to najlepszy z ludzi.

— Ale dla mnie, nie wiem czemu, spojrze- nie nań jak na alpejską górę lodową, ścina krew w żyłach i ziębi... Nie mówmy lepiej o nim: chłód mnie przejmuje, gdy to imię wy- mawiam.

Jerzy się uśmiechnął, wzięli się za ręce i usiedli przy sobie na kanapce.

Pokoik był takim jak rano, lampa tylko paliła się na biurku, którego wszystkie szufladki powysuwane były, i papiery w nieładzie chwilowym rozsypały się, pokrywając piękne fraszki.

— Cóż to moja pani robiła, że taki nieład u niej?

— A! szukałam miejsca na dar twojej matki, i musiałam powyrzucać listy moje dziecinne... Bóg wie co!.. Przeszłość mnie nic nie obchodzi; jutro je wszystkie popalę: cała jestem w tobie i tobą.

— Potrafię ci dać to szczęście, którego się spodziewasz?—westchnął Jerzy.

— Bądź spokojny! oto je już mam: rękę twoją trzymam w dłoni, oczy w twoich źrenicach, serce bije przy twój piersi: nic już, tylko żyć, żyć długo i długo...

Jerzy ciągniony tak ręką i słowem, coraz namiętniej zbliżał się do niej, szalejąc.

Przesiedzieli tak długą chwilę w milczeniu przedburzowem.

— A! zatrzymaj się,—zrywając się nagle zawołała Aneta,—zapomniałam coś ważnego powiedzieć matce; czuję, że może przyjść po to aż pod drzwi moje, a gdyby tu ciebie o téj godzinie zastała, gderacby trochę musiała na mnie, żem cię wpuściła do siebie... Muszę pójść i w mgnieniu oka powracam.

Uśmiechnęła się całując go w czoło.

— Nie ruszaj się z miejsca,—powtórzyła,—za chwilę jestem nazad.

Drzwiczki zamknęły się za białą sukienką...

— Szatan czy anioł?—zapytał się oprzytomniając Jerzy,—nie wiem, ale bez niéj jużbym wyżyć nie potrafił.

I zapomniawszy zakazu Anety, ruszył się z kanapki aby się przejść po pokoju; czuł na głowie jakby żelazną opasującą ją obręcz: płonęła mu cała, w oczach się ćmiło... Zrobił kilka kroków machinalnie ku biurku.

Przed nim leżał zwinięty kawałek papieru.

— A! trzpiot dziewczyna,—zawołał i schylił się, by go podnieść. Ale biorąc w rękę, rzucił okiem, zadrzał, zbladł, zbliżył gwałto-

wnie ów papier, wlepił weń źrenice i zmar-
twiał jak posąg.

Nieruchomy, skamieniały, powoli z fali
krwi i namiętności stygł i obracał się w lodo-
watą bryłę, tylko ręka w której trzymał pa-
pier drżała mu i latała wściekle.

Oczy stanęły słupem, zęby się ścięły, włos
najeżył i urywany krzyk dobył z piersi. —

Patrzył na ten papier, jadł go oczyma, ści-
skał w dłoni...

Wiek, mgnienie czy godzinę przestał tak
odrętwiały, — nie wiedział sam. Otworzyły się
pocichu drzwiczki, na paluszkach wśliznęła
się Aneta śmiejąc i przechylając główkę upo-
joną; ale wtém spojrziała na niego: drgnęła,
podniosła ręce, i padła jak piorunem zabita.

Stuk upadającego na posadzkę ciała obu-
dził dopiero Jerzego, popatrzył na nią z po-
gardą; nie zbliżył się, nie przystąpił, tylko pa-
pier który trzymał w ręku, cisnął jój na pierś
ostygłą; jakby na nią rzucał kamieniem. —

Schwycił się za włosy i wyszedł trzaskając
drzwiami, których szyby rozbite zabrzękły
i posypały się na ziemię...

ZAKOŃCZENIE.

Max był jeszcze nie zdrow, gdy nazajutrz rano, posłaniec na koniu, bez czapki, wpadł z kartką od pana Jędrzeja do sąsiada, prosząc żeby co prędzej sam przybył i doktora z sobą przywiózł.

— Cóż to się tam stało? — zapytał Max człowieka.

— Albo ja wiem! W nocy gdzieś narzeczony naszej panny uciekł, panna chora, słyszę leży w gorączce i majaczy... Ta pani co wczoraj była, dziś rano do dnia pojechała płacząc; pan płacze i lamentuje, pani desperuje i mdleje: już ja tam proszę pana nie wiem co to takiego.

Max pochwycił pierwszą parę koni z wozem jakie w dziedzińcu napadł, i pojechał.

W ganku zastał Jędrusia do niepoznania zmienionego.

— Co się u was stało? — zapytał Max.

— Ja... ja... ja nie wiem... może ci powie Stasia, — rzekł stary zachodząc się od płaczu, — ja nic powiedzieć nie mogę.

Fermer rzuciwszy go załamującego ręce, pobiegł do salonu; naprzeciw niego leciała już zadyszana matka z rozpuszczonemi włosami, ledwie przyodziana.

— Na miłość Boga! doktora! Aneta umiera! Doktora!

— Co się stało?— spytał Max, — cóż to jest?

— A! okropności! okropności! Jerzy uciekł w nocy, zastaliśmy Anetę dziś rano obłąkaną, nieprzytomną, drzwi pootwierane, szyby pottłuczone, nieład w pokoju... Ten człowiek warty być musiał! Niewiadomo gdzie się podział; matka poleciała za nim.

Max straszliwie się przeląkł.

— Ale panna Aneta?

— Powiadam ci że leży nieprzytomna... Bóg wie co wygaduje: przeklina Lolę nieboszkę, ciebie nawet, panie Maxie, bez żadnego sensu i związku... Jerzego, nas. Jakiś list: ja tego nie rozumiem. A! zlituj się nademną, nad jedynem dzieckiem mojem: doktora! doktora!

I łamała ręce padając przed nim.

— Nie posłaliżecie po doktora dotąd?

— Ja nie wiem, nie wiem; róbcie co chcecie: doktora! Aneta umiera!

Wtém bryczka rozpędzona cwałem, którą Jędrus wysłał zaraz nad rankiem, zatoczyła się przed ganek wioząc Szemerego, który wpadł krzycząc:

— Co się stało?

— Aneta! Aneta! zabita!

— Co takiego?

— Chodźmy do niej! chodźmy!

Szemere potoczył się zdyszany.

Pocichu weszli do jej pokoiku.

W podartej sukni białej, z rozpuszczonymi włosami, z oczyma w ślup, Aneta siedziała na kanapie, dysząc płomieniami gorączki; ręce jej szarpały na sobie ubranie, rwały włosy.

Piękność jej zmieniła się teraz na twarz głowy Meduzy, rzeźbioną przez wielkiego mistrza greckiego, wyrazistą, przerażającą jak rozpacz sama, rozwściekloną.

Szemere powoli zbliżył się do niej.

— P. Anno, co to pani?

Chciała coś odpowiedzieć, spojrzała nań, nie mogła; potrzęsała głową, powiodła oczyma.

— Trup! — rzekła nareszcie, — trup! on, Lola.

— No nic, to tylko bardzo silna gorączka, — rzekł Szemere, — posłańca do apteki; może wypadnie krew puścić.

— Precz! precz! — krzyknęła nagle się zrywając, — wszyscy zbójcy, wszędzie krew niewinna: na ołtarzu, na sukni: precz! To on! on mnie zabije, zadusi w uścisku! Nie dotykajcie mnie.

I znów osłabiona upadła.

Matka płakała i mdlała.

— Tu się coś stać musiało, czego ja nie rozumiem! — zawołał Szemere.

— I nikt nie wie, i nikt nie rozumie, — łkając dodała pani Jędrzejowa. — A! ratuj nam Anetkę! zlituj się doktorze! ratuj ją!

Doktor ruszył ramionami, sam nie wiedząc co począć.

— Zrobimy co można: bądź pani spokojna.

Anna wciąż była nieprzytomna...

Taką sceną zakończył się ten dramat, który może jeden tam tylko człowiek zrozumiał i struchlał nań w sercu, jeżeli kiedy miał serce.

Spytacie mnie zapewne co się z Jerzym stało? W nocy do okna Ottona zastukano gwałtownie, okiennica trząść się poczęła od rwania, wszyscy powstali i wybiegli. Na podwórzu stał Jerzy, bez czapki, napół ubrany, zbłocony cały... Otto który go tak wesołym i szczęśliwym widział z wieczora, za ledwie oczom swym wierzył.

— Jerzy tu? i co to jest? z kąd idziesz?

— Przyszedłem... pożegnać cię, — odparł głosem przerywanym przybyły, — chodź! słowo! tylko słowo; każ mi dać konia: muszę uciekać.

W drugim pokoju stanęli przeciw sobie. Jerzy długo mówić nie mógł, pot zimny lał mu się z czoła, łza z oczów.

— Ty wiesz co jest Aneta?

— Aneta? Jerzy! mój drogi: ale najprzód, cóż ci jest?

— Patrzaj na mnie, to ci odpowie! Jest mi, żem zabity na duszy, na sercu, na wieki; żem skalany, że brzydzę się sobą: że pokuta stu lat w włosiennicy i popiele nie obmyje mojej winy. Aneta! to szatan wcielony.

— Ale cóż się stało? co się stało?—zapytał Otto,—uspokój się: mów mi...

— Co się stało?—zawołał Jerzy,—ja sam nie wiem: stała się zbrodnia i okropność, którą mnie Bóg ukarał. Słuchaj, Lola żyła jeszcze, chore było biedne dziecię, i napisało do mnie; mój list, mówiła, miał ją uzdrowić, uspokoić, bo do duszy jój wkradła się trucizna niewiary i niepokoju. Przyniesiono mi list jój; szukałem do niej posłańca, nastęrczył się Lacyna: wiesz jak skończył, ale nikt nie wie czemu... Lacynie upojonemu przez Maxa list mój, by nie doszedł wydarto... Max z nim był, Max pił z nim w nocy: list zniknął... A wiesz gdzie go znalazłem? Wiesz? w posiadaniu tej kobiety, w rękach tego szatana.

A wczoraj jeszcze ona mnie obejmowała, jam całował jój usta. O zgrozo! o zbrodniol obrzydliwości i upodlenie.

Ottonie, na Boga, konia, tylko konia, i braterskie pożegnanie; polecę gdzie zginąć, życie mi cięży jak zbrodnia, a wszakże dając je, na coś się przydać można... Czysty wróciłem ze stepu, a tu! a tu!...

— Drogi mój Jerzy, uspokój się, na Boga! Jerzy, tyś może nie widział; posądzasz, domyślasz się.

— Jak to? ja list mój trzymałem w ręku, jam go téj potworze zemdlonej rzucił w oczy: to są zwierzęta nie ludzie!

Ottonie, konia, w step! w step! na koniec świata! Ja tu żyć nie mogę.

— A matka?

— Ja nie mam matki!

— A przyjaciele twoi?

— Zawsze się umiera: jam umarł, Ottonie... Pożegnajcie mnie jak do trumny, — dodał po chwili, — w życiu się już nie zobaczymy. To życie wasze nie było stworzone dla mnie; ci ludzie na to mnie wciągnęli by splamić, odebrać wiarę i nadzieję... Znam gdzieindziej prostacznych ludzi i pójdę do nich nazad, na pusty step, do wieśniaczych chat... I tam są namiętności, ale nie ma takiego fałszu, ale nie ma zbójczyń jak ona.

— Na Boga? cóżes z nią zrobił? — zapytał Otto przelękły, — nie zabiłeś jej?

— Nie: popchnąłem nogą, jak zmiję, uka-

mienowałem tym listem, a sobie włosy drę z głowy myśląc, że mi serce bić mogło do tej istoty skalaniej, fałszywej, spodłonej.

— Jerzy, — przerwał Otto, — nigdy ci jej nie chwalił, wyznaj: ale nie zapominaj że to kobieta i milcz. Może w tém jest coś i twojej winy: dlaczegoś się jej uśmiechnął? czemu nie odepchnąłeś? dlaczegoś szedł przeciw pokusie i sam szukałeś upadku?

— Nie mów mi nic, nie czynь wyrzutów: czuję że winienem, ale pokuta będzie okrutna.

To mówiąc Jerzy zerwał się i biegł do drzwi, ale Otto go pochwycił w silne barki i wstrzymał.

— Dokąd? — spytał.

— Najprzód na grób ofiary, potem w świat; niech to wszystko zostanie za mną jak sen i zmora, jak fałsz; niech zapomnę... na Boga! choćby umrzeć byle zapomnieć.

Widząc tę rozpacz gwałtownie znów wybuchająca, Otto go wstrzymywać nie umiał.

— Idę z tobą, — rzekł.

— Ty? dokąd?

— W świat jak ty! — odparł Otto, — samego cie nie puszcze: powlokę się z tobą dokądkol-

wiek pójdiesz. I ja tu nie rzucam nic prócz grobu.

Podał mu rękę.

— Idziemy razem.

Gdy o świcie przybyła instynktem wiedzioma do Robowa panna Morosz, ani Jerzego już ani Ottona tu nie zastała: znikli oba bez wieści. Rozesłano po okolicy, ale śladu żadnego dopytać nie było można, i co się z nimi stało, trudno się było domyślać.

Utrzymywano rozmaicie, rozpowiadano różnie; my tymczasem wstrzymamy się od powtarzania dziwnych pogłosek, bo może kiedy reszta historyi Jerzego na wierzch wypłynie i przybije do brzegu, a my z rozbitych jej szczętów coś jeszcze sklecić wam potrafim.

P. Izabella powróciwszy do Horycy pozostała tam znowu wdową i sierotą, z jakąś nadzieją w sercu, że kiedyś przybrane dziecko zobaczy. Hrabstwo w Zarubińcach pozostali przy dawném życiu, z nową tylko boleścią w sercu po stracie Jerzego, którego Hrabia już powoli przyswajać sobie zaczynał.

Aneta po długiej chorobie przyszła nareszcie do zdrowia, ale potrzeba było na długo z kraju wyjechać, aby zatrzeć wspomnienie wypadków, których tłumaczenia wszystkich od domu ich odstręczyły i otoczyły ich pustynią. Nim się to stało, biedny Jędrus zmarł sobie pocichu w swojej izdebce, a matka z córką znikły bez ślychu.

Co się tyczy Maxa, los który mu artystyczny zawód narzucił, dając skosztować jakby na żart obywatelskiego chleba, nie wyrzekł się widać zwrócenia go pierwszemu powołaniu. Żona Fermera, po dość nieszczęśliwem pożyciu, zmarła prawie nagle; zjawił się syn który po niej cały zagarnął majątek, a Max opyliwszy zarzuconą wiołonczellę, musiał z nią znowu w świat wędrować. Poprzypominał sobie dawne swe fantazyje i kaprysy, a szczególnie owe wielkie studyum z tematu „Wlazł kotek” które, jak wiemy, rozmaicie na afiszach jego figurowało. Czasami zwało się ono fantazyją z tematów ludowych, narodowych lub krajowych, czasem melodyją słowiańską, ale pod jakąkolwiek zjawiało się postacią, wszędzie od

światłej publiczności przyjmowane było z nadzwyczajnym zapalem. Imię Fermera stało się głośnem i uniesmiertelniło tym jednym utworem. Korrespondencye gazet z prowincyi, jeszcze dziś z Mławy i Łosic często wzmiankują: „Cichy nasz zakątek miał nareszcie szczęście napoić się nieporównanemi dźwiękami i grą mistrzowską, znakomitego ziomka naszego i t. d. i t. d.”

Jak sen tylko pozostało Fermerowi wspomnienie tych chwil, gdy włosy ostrzygł a wąsy nosił i zbierał się już być urzędnikiem od wyborów; mówiono nam bowiem że znowu zapuścił lwią grzywę, a wargę oczyścił z zarostu.

O innych postaciach, nie wiem czy mam wam jeszcze co powiedzieć: przeszły jak cień, zeschły jak trawy, znikły jak my wszyscy znikniemy z tych desek, na których przez chwilę robimy wiele wrzawy, jak mówi Szekspir, — o jedno nic.

K O N I E C .



ADAM FERMER PAN

Biblioteka

<http://rcin.org.pl>

ul. Nowy Świat Nr 72

00 220 11

F
1675
IV